Polityka orderowa • Partie wybierają wrogów • Mity o krwi pępowinowej
Uwaga: ceny dynamiczne • Auta na abonament • Kryzys Podsiadły

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 27 (3571), 1.07–7.07.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Co się stało z Ameryką?

250 LAT STANÓW ZJEDNOCZONYCH

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**



USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500 27 9 770032 350602

Wydanie w sprzedaży do 7.07.2026

PO PIERWSZE, AMERYKA!



W sprzedaży

KUP TERAZ

140 stron



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny m.in.:



eprasa.pl 332c627450



© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES, MICHAL MUTOR/AGENCJA GAZETA

10, 42, 58
Dziwne stany Ameryki

Tematy tygodnia
10 Łukasz Wójcik **Ameryce Trumpa ton nadają sporty walki**
14 Rafał Kalukin **Zakręty polityki orderowej**

Polityka
18 Michał Danielewski **Prawica szuka wroga**
21 Anna Dąbrowska **Audyt w MSZ: dotacje na zlecenie PiS**

Społeczeństwo
24 Paweł Walewski **Krew pępowinowa – dla jednych dziwna polisa, dla drugich niezły biznes**
28 Juliusz Ćwieluch **Morderstwo w gminie Pokój**
31 O swojej sztuce o menopauzie, granej już dwie dekady, opowiada **Elżbieta Jodłowska**
34 Natalia Sawka **Podsuwalska wieś: dramat rodzeństwa więzionego latami przez rodzinę**

Rynek
36 Cezary Kowanda **Ceny dynamiczne, czyli spersonalizowane**
39 Adam Grzeszak **Na abonament, wynajem, współdzielone... – nowe sposoby użytkowania aut**

Świat
42 O źródłach superwładzy prezydenta USA opowiada **Eric Nelson**, historyk polityki z Harvardu
45 Michał Bogusz CHINY **Mur z kutrów**
48 Mateusz Mazzini WIELKA BRYTANIA **Andy Burnham – prymus z Manchesteru**
50 Ziemowit Szczerek ROSJA **Afera z metropolitą Hilarionem**

Nauka/projektpulsar.pl
52 Jak dziś w Arktyce rozstrzygają się losy świata, opowiada geograf i geomorfolog **Mateusz Strzelecki**
55 Agnieszka Krzemińska **Azja Wschodnia: kraina duchów i technologii**

Historia
58 Bohdan Szklarski **Jak system dwupartyjny zmieniał Amerykę**
62 Praca zbiorowa studentów UW **Chorzy dyktatorzy**
65 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura
70 Aneta Kyzioł **Niezwykłe kariery aktorów serialu „Euforia”**
74 Tadeusz Lubelski **Przegląd filmowych dzieł Tadeusza Konwickiego**
77 Bartek Chaciński **O trasie Dawida Podsiadły i pierwszym kryzysie artysty**
80 Rozmowa z **Karoliną Tunajek** i **Marcinem Garbackim**, laureatami Nagrody Architektonicznej POLITYKI za nową siedzibę Wydziału Psychologii UW
83 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport
84 Marcin Piątek **Dziwy na mundialu**

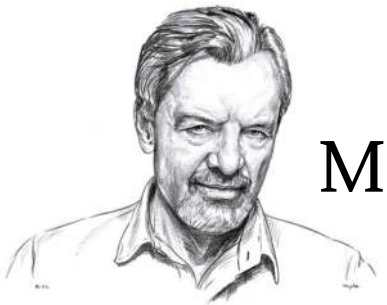
Stulecie urodzin Mariana Turskiego

92 **Jak uczciliśmy pamięć naszego Przyjaciela, wieloletniego szefa działu historycznego POLITYKI**

Ludzie i style
94–97 • **Bijatyka o luksusy** • **Coca z Barcelony** • POCZTÓWKA POLITYKI **Prosto z Meksyku**

Stałe rubryki
• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **66** Afisz • **87** Passent • **88** Koziołek • **89** Lis • **90** Witkowski • **91** Mizerski • **91**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 332c627450



Między dumą i żenadą

Jerzy Baczyński

Przykre, że 250-lecie Stanów Zjednoczonych przypada akurat w czasie prezydentury Donalda Trumpa. 46. prezydent USA w kilkanaście miesięcy rozmontował i ośmieszył budowany przez pokolenia wizerunek Ameryki jako ojczyzny demokracji i wolnej gospodarki, jako idealistycznego „miłego supermocarstwa", obiektu podziwu i zazdrości świata. Cały trumpowski ruch MAGA wbrew nazwie zaprzecza tej historycznej wielkości Ameryki, chce ją uczynić małą, prowincjonalną, wsobną, z podwórkową polityką, w której szacunek i wpływy wymusza się siłą, chamstwem, agresją. Nie przypadkiem ulubionym sportem prezydenta, ale też symbolem jego Ameryki (jak pisze na s. 10 Łukasz Wójcik) stają się walki MMA, czyli pozbawione reguł mordobicie, kiedyś zwane wolnoamerykanką. Same obchody 250-lecia administracja USA przerabia na jakiś spektakl kultu jednostki: podobizny prezydenta na banerach budynków federalnych, złote monety i jubileuszowy banknot 250-dolarowy z jego profilem, wiece i koncerty, których główną atrakcją mają być wystąpienia „atrakcji numer jeden na świecie", czyli jego samego. Trump wepchnął te obchody między dumę a żenadę.

Cały świat, a zwłaszcza wzgardzona Europa, zastanawia się, co się stało z Ameryką? Niby znamy poręczne odpowiedzi: że ruch MAGA wyrósł na frustracji białych mężczyzn z poprzemysłowgo „pasa rdzy"; na tłumionym przez poprawność polityczną rasizmie i niechęci wobec imigrantów; na prowokacjach obyczajowych „przebudzonej lewicy". Do tego katalogu wybitny politolog z Harvardu Eric Nelson dorzuca (w rozmowie na s. 42) kryzys amerykańskiego ustroju. Ojcowie założyciele USA dwa i pół wieku temu wymyślili system „przeciw tyranii", gdzie rozdzielone władze ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza miały się wzajem kontrolować i równoważyć. Ale nie przewidzieli, jak będzie działał system partyjny (o tym więcej na s. 58), a zwłaszcza w tej patologicznej formie, jaką stworzyła polaryzacja podsycana przez nowe internetowe media. Partyjność rozbiła misterną konstytucyjną konstrukcję.

Ojcowie założyciele zakładali też, że ich idealne państwo przetrwa, „jeśli będzie rządzone przez ludzi opanowanych, powściągliwych i skromnych". Dziś social media promują postawy dokładnie przeciwne: nagradzają lajkami i popularnością postaci radykalne, bezwstydne, narcystyczne, brutalne – w stylu gwiazd MMA.

My w Europie nie musimy się uczyć na amerykańskim kryzysie demokracji, mamy własne lekcje historyczne strasznego XX w. Wiemy, że demokracja wymaga i od polityków, i od wyborców zdolności do kompromisu, powściągania emocji, zwłaszcza tych najsilniejszych, najprostszych – nienawiści i pogardy wobec obcych, innych, ustawianych w pozycji wroga naszej wspólnoty (o tym pisze Michał Danielewski na s. 18). Cała Unia Europejska „jest o tym", powstała na tym fundamencie: wygaszania historycznych animozji, studzenia nacjonalizmów, szacunku dla prawa i procedur, wzajemnej pomocy. I politycznego umiaru. Europa długo nie dopuszczała do władzy w żadnym kraju sił skrajnych ani z prawicy, ani z lewicy. Ten mechanizm jeszcze działa, ale coraz słabiej. Przyszłoroczne wybory w wielu krajach, także w Polsce, pokażą, gdzie jesteśmy z tą naszą demokracją.

Najnowsze doświadczenia i Ameryki, i Europy potwierdzają tylko, że nie da się wymyślić, zapisać w konstytucjach ustroju, który chroniłby społeczeństwa przed wewnętrznymi wojnami i wojenkami. Być może ustroje prezydenckie niosą nawet większe ryzyko niż te parlamentarne, bo wybierając „najbardziej atrakcyjnego kandydata", można dać ogromną władzę w ręce zaburzonego egocentryka, czasem nawet szaleńca (o takich przypadkach przypominamy na s. 62). Prezydentura łatwo zakaża politykę emocjami i ambicjami wybrańca. Przecież i zachowania Wołodymyra Zełenskiego, i Karola Nawrockiego – niezależnie od cynicznych, doraźnych kalkulacji – mają komponent prężenia siły i godności osobistej, jak przed klatką MMA.

Nawrocki, w końcu były szef Instytutu Pamięci Narodowej, sam przecież odebrał sobie możliwości prowadzenia wobec Ukrainy jakiejkolwiek skutecznej dyplomacji historycznej. A to, że chce być tylko prezydentem swoich wyborców, redukuje go (dokładnie jak Trumpa) do roli głowy połowy państwa. Dobrą ilustracją tego stanu jest choćby polityka orderowa (tekst na s. 14), obsługująca tylko własne środowiska, co umieszcza państwowe odznaczenia (i nominacje) pomiędzy honorem i wstydem. W Polsce taka półprezydentura dodatkowo paraliżuje całą władzę wykonawczą. Wystarczy pomyśleć o tak teraz wałkowanej reformie ochrony zdrowia, żeby uświadomić sobie, na czym polega imposybilizm ustrojowy. Żadna poważna reforma nie da się dziś uzgodnić, przeprowadzić ani utrwalić. I to nie jest wina konstytucji.

Nowe czasy i nowe media promują w polityce bezproduktywny, często błazeński radykalizm, a polaryzacja oferuje politykom bezkarność i infantylną nieodpowiedzialność. Czy do decyzji o odbiorze Zełenskiemu Orderu Orła Białego ministrowie prezydenccy musieli dodać wyzwiska, określając Ukraińców jako złodziei, ludzi bezczelnych, niewdzięcznych? Powtarzamy: to szczucie nie tylko szkodzi naszemu bezpieczeństwu, interesom gospodarczym (relacja z gdańskiej konferencji na s. 8), ale wprost podgrzewa do przemocowych zachowań wobec ponadmilionowej mniejszości ukraińskiej w Polsce. W imię czego?

Obchodziliśmy w minionym tygodniu 100-lecie urodzin Mariana Turskiego. Przypominaliśmy jego niezwykłą osobowość, ale przede wszystkim przesłanie, które w dzisiejszych czasach brzmi szczególnie przejmująco. Mówił przecież, że „Auschwitz nie spadło z nieba, tylko zbliżało się małymi kroczkami", poprzez obojętność, brak reakcji porządnych obywateli na poniżanie „obcych", upajanie się wielkością własnego narodu, dumą nieznającą wstydu, poczuciem krzywd zaznanych od złych sąsiadów. Marian jako historyk i świadek historii przestrzegał; „trzeba pamiętać, ale nie być pamiętliwym. Przeszłość nie może przekreślać przyszłości". Z Funduszu Nieobojętnych im. Mariana Turskiego nagrodzone zostały organizacje wolontariuszy, którzy walczą z dyskryminacją, mową i aktami nienawiści. Dobrze, że są tacy ludzie. Demokracja nie obroni się bez demokratów.

eprasa.pl 332c627450

Albatros travel

Albatros 40 lat

Japonia
królestwo słońca

Klasyczna Japonia dla każdego! Nowa i dawna Japonia – od nowoczesnego Tokio do historycznego Kioto.

Wycieczka została zaplanowana z myślą zarówno o osobach odwiedzających Japonię po raz pierwszy, jak i tych, które wolą zwiedzać samodzielnie. Odwiedzimy Tokio, Kioto, Złoty Pawilon i Narę, poznamy japońską kulturę oraz spróbujemy lokalnych specjałów. Będziemy podróżować metrem i pociągiem Shinkansen, odkrywając Japonię podczas spacerów i wycieczek pieszych.

9 dni
Wylot z Warszawy
15/10 2026

od **13.498,-**







NOWOŚĆ

Malta – śladami rycerzy maltańskich

Poczuj romantyczną atmosferę na śródziemnomorskiej wyspie Malta, korzystaj z uroków wyspy i odkryj jedne z najstarszych i najbardziej imponujących skarbów dziedzictwa kulturowego na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Valletty. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta Valletta wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO z wizytą w katedrze św. Jana oraz rejs do Birgu. **Dz. 3** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do megalitycznej świątyni Hagar Qim, Błękitnej Groty i wioski rybackiej Marsaxlokk. **Dz. 4** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do miasta Mdina, lokalne maltańskie rzemiosło. **Dz. 5** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Mosty. **Dz. 6** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna na wyspę Gozo. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Lot powrotny do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 13/09 2026 | od **7.798,-**

Nowy Rok w Stambule

Wyrusz z nami w noworoczną podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 28/12 2026 | od **6.298,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL24**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 332c627450

Przez salonik do władzy



Gdyby politycy nie wyczuli politycznego złota, afera wokół Szpitala Południowego powoli zaczęłaby wygasać. Dawid Kacprzyk został ukarany szybko i surowo. Stracił pracę, legitymację partyjną, być może straci także prawo wykonywania zawodu. Opozycji nie o to chodzi. Jeśli uda się obarczyć winą Rafała Trzaskowskiego, Marcina Kierwińskiego oraz Donalda Tuska, droga do przejęcia władzy stanie otworem.

Na posiedzeniu Rady Warszawy, na którym, mimo sprzeciwu lewicy, zapadła decyzja o udzieleniu absolutorium prezydentowi miasta, dawno nie było tak tłoczno. Obok radnych stawili się posłowie, politycy i zadymiarze gotowi do akcji odzyskiwania stolicy. Maciej Wilk, były już współpracownik Kanału Zero, powołał w tym celu „SOR": **Stołeczną Operację Referendalną** – będzie organizować referendum w sprawie odwołania Trzaskowskiego i całej rady. Wcześniej Wilk dał się poznać jako organizator akcji „Tak dla CPK".

Z okazji, żeby przyłożyć Trzaskowskiemu, skorzystali także koalicjanci. Posłanka Żukowska ogłosiła program naprawy publicznej ochrony zdrowia; swoje dorzuciła też Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Dziwi tylko, że kiedy wiceministrami zdrowia byli przedstawiciele wszystkich koalicjantów, nie skorzystano z okazji, aby wspólnie uzgodnić program reformy systemu.

Winą próbuje się obarczyć także Marcina Kierwińskiego, odpowiadającego za struktury warszawskie KO. Parcie na karierę młodego doktora musiało go jednak zaniepokoić, bo uniemożliwił Kacprzykowi start w wyborach parlamentarnych – wystartował tylko w wyborach na radnego Ursusa, co zapewne nie było dla niego szczytem marzeń. Za to, co wyprawiał w szpitalu, akurat Kierwińskiego winić trudno, ale hasło „złote dziecko Platformy" sprzedaje się dobrze. Prawica nie wybaczy Kierwińskiemu, że to on jeszcze w czasach prezydentury Dudy sprawnie wyłuskał z Pałacu Prezydenckiego Mariusza Kamińskiego oraz Wąsika, którzy ukryli się tam przed wymiarem sprawiedliwości.

Tymczasem eksperci domagają się zmian w patologicznym systemie służby zdrowia. Tyle że argumenty merytoryczne działają słabiej niż epatowanie słowem „salonik". To ono niesie aferę – oburzają przywileje władzy, która w przeciwieństwie do reszty nie musi czekać na pomoc.

A że słowa mają wielką moc (zasięg), pokazał wywiad w Kanale Zero z dr. Emilem Jędrzejewskim, byłym ordynatorem chirurgii w Szpitalu Południowym, który obwieścił, że z powodu niekompetencji Kacprzyka „ginęli ludzie". A że zarzuty są najcięższego kalibru, więc prokuratura poprosiła Jędrzejewskiego, żeby złożył zeznania. Jędrzejewski nie pracuje w Szpitalu Południowym od września 2025 r., został wyrzucony, ponoć za nienależnie pobrane pieniądze. Jego wersja zdarzeń roznosi się jednak po kraju, budząc grozę. Wolniej dociera to, co mówi minister sprawiedliwości Waldemar Żurek – że jeszcze w lipcu 2025 r. szpital miał zwracać się do ówczesnego ordynatora, aby poinformował zarząd o wszystkich nieprawidłowościach, o których plotkuje się na korytarzach. Na tę prośbę doktor nie odpowiedział. (A skoro mowa o nieprawidłowościach, to na nocne dyżury dr. Jędrzejewskiego na SOR mieli się licznie zgłaszać jego prywatni pacjenci, a zarobki doktora przekraczały1,2 mln zł).

Śledztwo w sprawie nadzoru w szpitalu nie wydaje się trudne, sam Kacprzyk skorygował 33 faktury, co potwierdza, że ok. pół mln zł (z 1,6 mln zł zarobionych w 2025 r.) otrzymał nienależnie. O wiele trudniej będzie odsiać prawdę od fałszu w sprawie najcięższych zarzutów. Opozycja domaga się powołania komisji śledczej. Tymczasem Naczelna Izba Lekarska zapowiedziała, że jeśli prezydent nie zawetuje ustawy o zarobkach lekarzy, zwróci się do międzynarodowych trybunałów.

JOANNA SOLSKA

Swary o skwary



Mamy pierwszą tego lata falę gorąca. Koszty upałów dla unijnych gospodarek, w tym polskiej, liczone są w miliardach. Składają się na nie przestoje w produkcji, awarie infrastruktury czy pożary. Handel i branża usługowa przygotowały się na „zmniejszoną mobilność konsumentów". Skokowo rośnie za to sprzedaż wentylatorów i klimatyzatorów, choć indywidualne chłodzenie mieszkań to plaster na rozległe rany. W sumie upał to katastrofa naturalna i wiele nadliczbowych zgonów. Trudno jednak oczekiwać, by stał się lekcją, z której zostaną wyciągnięte jakieś praktyczne wnioski. Tegoroczne lato, przewiduje IMGW, będzie cieplejsze od średniej, w którym będą się przeplatać okresy gorące, burzowe i chłodniejsze.

Skrajne stany pogody testują wydolność transportu, zaopatrzenia w wodę i prąd. Sprawdzają gotowość ochrony zdrowia. Mierzą też czas reakcji władzy. Są więc naturalnymi sprzymierzeńcami opozycji. Ta zaprawiona w klimatycznym denializmie akurat w porze upałów nie wypada wiarygodnie. W styczniu i w lutym (-31 st. przy gruncie w Suwałkach) prawa strona co poranek witała się z sympatykami hasłem: „Dzień dobry. Planeta płonie". Z podobnych pozycji gorąca nie da się sprawnie unieważnić. Co otwiera pole dla strony lewej. Wysokie temperatury nie dotykają wszystkich jednakowo, uderzają w seniorów, pracujących fizycznie, mieszkańców kiepsko izolowanych domów i tzw. wysp ciepła, części miast projektowanych bezmyślnie lub w innej epoce klimatycznej.

Fale upałów pozostawały dotąd poza polem zainteresowania polityków. W przeciwieństwie do innych zjawisk pogodowych. „Zima zaskoczyła Tuska" podczas śnieżyc sprzed pół roku. „Rząd zawiódł" przy okazji powodzi sprzed dwóch lat, choć tamte gwałtowne wezbrania w Kotlinie Kłodzkiej mogły być też rezultatem „szokującej skali zaniedbań z okresu rządów PiS". W sierpniu 2017 r., „państwo nie zdało egzaminu", spóźniając się z reakcją na nawałnicę na Pomorzu. Oblodzenie trakcji kolejowej w styczniu 2014 r. zaowocowało klasycznym: „Sorry, taki mamy klimat". I tak jak była zima stulecia (1978–79), nie doczekaliśmy się jeszcze lata stulecia. Może dlatego, że upały co roku są coraz większe. (JWIN)

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, LUCA MATTIA VIGILANTE/FORUM

eprasa.pl 332c627450

Kolejny akt polsko-ukraińskiego dramatu?



Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15

Pogłębiający się kryzys w relacjach polsko-ukraińskich przeraża historyka. Stają mu przed oczami poprzednie akty tego dramatu, tragiczne dla obydwu narodów.

Pierwszy wielki konflikt, z XVII w., przeszedł do historii pod nazwą powstań kozackich. Bardzo osłabił Polskę, podkopując jej mocarstwową pozycję. Stało się tak dlatego, że po obydwu stronach przegrali zwolennicy porozumienia. Nie weszła w życie ugoda zawarta w Hadziaczu, przekształcająca dualistyczną polsko-litewską Rzeczpospolitą w monarchię trialistyczną, składającą się z królestwa polskiego, wielkiego księstwa litewskiego i księstwa ruskiego. Walnie przyczyniła się do tego Moskwa, mamiąc kozacką elitę pozornie korzystniejszą unią w Perejasławiu. Dwóch się biło, trzeci skorzystał. Najpierw Ukraińcy, potem Polacy, zostali zniewoleni przez Rosję.

Drugi akt dramatu rozegrał się po 1918 r., kiedy w wyniku przegranej wojny i bolszewickiej rewolty potęga Rosji legła w gruzach. Architekt odrodzonej Polski, Józef Piłsudski, gotów był to wykorzystać i trwale odepchnąć Rosję od Europy. Chciał rozciąć upadające imperium po szwach narodowych, wspierając państwowe aspiracje zniewolonych ludów. Klucz do sukcesu widział w przymierzu Polski i Ukrainy. Znalazł zrozumienie u ukraińskiego przywódcy Symona Petlury. W kwietniu 1920 r. zawarli sojusz i ruszyła polsko-ukraińska ofensywa, która wyzwoliła Kijów i wyparła bolszewików za Dniepr.

Jednak większość Ukraińców niechętnie przyjęła związanie się z Polską. Chłopi bali się powrotu polskich ziemian i zablokowania reformy rolnej. Inteligencję straszyła zmora zdominowania Kijowa przez Warszawę. Do armii Petlury nie napłynęli ochotnicy. Nie stała się sojusznikiem pozwalającym rozgromić Rosjan. Przeszli oni do kontrofensywy, która dotarła aż pod Warszawę. Błyskotliwe zwycięstwa nad Wisłą i Niemnem ocaliły naszą suwerenność i uratowały Europę przed ekspansją komunizmu. Ale z Ukrainy wroga nie dało się wypchnąć.

Zawinili tu także polscy nacjonaliści spod znaku Narodowej Demokracji, torpedujący działania Piłsudskiego. Wrogo traktowali oni Ukraińców, forsując podzielenie się ich ziemiami z Rosją, co przypieczętował podpisany w marcu 1921 r. pokój w Rydze. Lwia część Ukrainy trafiła pod but bolszewików. Niespełna ćwierć wieku później znalazła się pod nim i Polska, co potwierdziło trafność poglądu Piłsudskiego, że bez niepodległości Ukrainy i innych ludów zniewolonych przez Moskwę także nasza suwerenność jest śmiertelnie zagrożona.

Wydawało się, że te tragiczne lekcje historii uświadomią obydwu narodom potrzebę ścisłego współdziałania. Polacy zareagowali ogromnym wsparciem na agresję Rosji przeciwko Ukrainie w 2022 r. Przekazane przez rząd uzbrojenie pozwoliło przetrwać Kijowowi najgroźniejsze ataki, a ofiarność, z jaką polskie społeczeństwo przyjęło milionowe masy uchodźców, przekroczyła wszelkie oczekiwania.

Jednak nacjonalizm, i to po obydwu stronach, nie daje o sobie zapomnieć. Wymiana ciosów pomiędzy prezydentami Zełenskim i Nawrockim to najmocniejszy, ale przecież niejedyny akord tego zjawiska. Czas najwyższy, w Kijowie i Warszawie, na opamiętanie. Inaczej czeka nas kolejny akt polsko-ukraińskiego dramatu.

Nowacka nie zdała?

Nie tylko uczniowie otrzymali oceny na zakończenie roku szkolnego. „Żądamy dymisji Barbary Nowackiej. Promocji do następnej klasy nie będzie!" – ogłosiła Akcja Uczniowska, działająca na rzecz praw uczniów i uczennic, wręczając ministrze edukacji **świadectwo z... czarnym paskiem**. Nowacka otrzymała „niedostateczny" za: „dotrzymywanie obietnic", „szacunek okazywany uczniom oraz nauczycielom", „odwagę i kręgosłup moralny". „Bardzo dobry" – za populizm. A „celujący" – za „słuchanie swoich zwolenników", a także za „ewakuację z tonącego statku". Do świadectwa dla ministry dołączono raport z 50 postulatami, m.in. bezpłatnej komunikacji zbiorowej dla uczniów, obowiązkowej edukacji seksualnej, likwidacji biało-czerwonych pasków na świadectwach oraz rezygnacji z zakazu używania telefonów w szkołach.



– Obecna ministra obejmowała urząd jako ikona buntu, szła tam z mandatem samodzielności i nowoczesności. Tymczasem rzeczywistość obnażyła urzędniczą pustkę. Ministerstwo ubezwłasnowolnione przez partyjne kalkulatory nie jest zdolne do podjęcia jakiejkolwiek jednoznacznej decyzji, która mogłaby uszczuplić słupki poparcia – mówi Paweł Mrozek, założyciel Akcji Uczniowskiej.

Ale to nie koniec krytyki. Lipiec to gorący czas w oświacie; pojawiają się długo wyczekiwane wyniki egzaminów ósmoklasisty i matur. A sam sposób oceniania najważniejszych egzaminów też budzi wątpliwości i powszechną krytykę, o czym zresztą donosiła NIK w swoim raporcie na temat Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. „Rok szkolny zaczął się więc konfliktem i zapewne zakończy konfliktem" – podsumowywał minione 10 miesięcy na polityka.pl nauczyciel i publicysta Dariusz Chętkowski.

Jednocześnie słychać głosy oburzonych rodziców, którzy martwią się, że nowy rok szkolny będzie „półrokiem" – z uwagi na aż 177 dni wolnych od lekcji! Sprzyja temu nie tylko kalendarz, który przygotowało ministerstwo – okazji do „sklejania" wolnego będzie w roku szkolnym 2026/27 po prostu dużo. 24 grudnia wypada w czwartek, Święto Trzech Króli – w środę, Dzień Edukacji Narodowej i obchody Święta Niepodległości – w środy. Jedynie majówka układa się dla uczniów (i w tym wypadku często także dla rodziców) niekorzystnie, bo 1 maja to sobota. Może jednak przyda się trochę dodatkowego oddechu, bo szkoła nie będzie miała przerwy od kolejnych zmian, w tym zapowiedzianej nowej reformy – Kompasu Jutra. (AGSZCZ)

eprasa.pl 332c627450



W Gdańsku wygrały interesy

Konferencja o Odbudowie Ukrainy URC Gdańsk 2026 miała być katastrofą, a jest oceniana jako najważniejsza spośród pięciu zorganizowanych od 2022 r. Wydawało się bowiem, że Karol Nawrocki, podejmując kilka dni wcześniej decyzję o odebraniu Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego, pokrzyżuje plany rządowi Donalda Tuska i doprowadzi do fiaska przedsięwzięcia. Tym bardziej że prezydent Ukrainy podjął grę w eskalację. Nie tylko nie wycofał się z decyzji o nadaniu imienia Bohaterów UPA jednemu z oddziałów wojskowych, ale jeszcze odesłał order pocztą kurierską, pociągając za sobą innych ukraińskich polityków. A na koniec odwołał swój przyjazd do Gdańska, obniżając rangę ukraińskiej delegacji. Zabrakło także przewodniczącego Rady Najwyższej Rusłana Stefańczuka i szefa MSZ Andrija Sybihy.

Polsko-polskie i polsko-ukraińskie polityczne przepychanki nie zniechęciły innych uczestników. Stawili się nadzwyczaj licznie. Odpowiedzialna za organizację wiceministra aktywów państwowych Eliza Zeidler poinformowała, że do Gdańska przyjechało 7,5 tys. osób z ponad 70 krajów, w tym tysiące przedsiębiorców, 220 firm (82 z Ukrainy). Podpisano blisko 200 dokumentów, 15 między Polską i Ukrainą. Oprócz rozmów politycznych i biznesowych działało Forum Energii podejmujące kluczowy dla przyszłości Ukrainy temat, czyli odbudowę i modernizację systemu energetycznego; forum think tanków; Forum Społeczeństwa Obywatelskiego, które zgromadziło setki organizacji społecznych z Ukrainy, Polski i ze świata. Na koniec przyjęto Posłanie Gdańskie z apelem o uwzględnienie w planowaniu przyszłości społecznego wymiaru procesu odbudowy.

Julia Swyrydenko, premierka Ukrainy, w komunikacie podsumowującym swój wyjazd napisała, że przywozi do domu 160 podpisanych umów na ponad 10 mld euro. W tym 3,2 mld euro w pierwszej transzy z 90 mld europejskiej pożyczki dla Ukrainy. Do tego 3,4 mld dol. w ramach porozumienia z Bankiem Światowym; uruchomienie Europejskiego Flagowego Funduszu na rzecz Odbudowy Ukrainy z docelowym budżetem 1 mld euro i utworzenie Ukraińskiego Funduszu Wsparcia Transportu; porozumienie z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym.

Gdańska konferencja poświęcona była głównie sprawom gospodarczym, ale była i polityka – zwłaszcza że nie zabrakło polityków wysokiego szczebla: wydarzenie otwierali Donald Tusk, Julia Swyrydenko, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, przewodniczący Rady Europejskiej Antonio Costa; nie zabrakło kanclerza Niemiec Friedricha Merza i wielu innych premierów. Kwestie historyczne, które stały się przyczyną zaostrzenia stosunków polsko-ukraińskich, pojawiały się w sposób aluzyjny pod hasłem, że pojednanie dla przyszłości jest możliwe, czego przykładem jest pojednanie polsko-niemieckie.

Nieobecność Zełenskiego przyjęto z żalem. Zwracano jednak uwagę, że to prezydent Ukrainy popełnił błąd i stracił przez swoją absencję – wszak konferencja nie miała charakteru bilateralnego, tylko międzynarodowy. Na dodatek, jak zauważył jeden z ukraińskich komentatorów, gdańskie spotkanie miało przełomowy charakter. Odbywało się w zmienionej atmosferze: Ukraina nie występowała już jedynie jako kraj potrzebujący pomocy. Została w końcu uznana za podmiot, bez którego nie sposób myśleć o przyszłym systemie europejskiego bezpieczeństwa. I który już dziś zasługuje na uwagę inwestorów, bo ma wiele do zaoferowania mimo wojny. Tę zmianę atmosfery wyraźnie sygnalizowało wprowadzenie nowego tematu do konferencyjnych priorytetów – to kwestie bezpieczeństwa i przemysłu obronnego.

Jedną z przyczyn tej zmiany jest osłabienie stosunków transatlantyckich i decyzje Waszyngtonu o zmniejszaniu zaangażowania USA w zapewnienia bezpieczeństwa Europie. To zmusza europejskich polityków do gorączkowych poszukiwań rozwiązań, które będą wypełniać powstającą lukę. Ważnym sposobem na jej zasypywanie jest zwiększenie potencjału obronnego państw starego kontynentu przez reindustrializację i rozwój przemysłu obronnego.

Ukraina ze swoim doświadczeniem w rozwoju nowoczesnych systemów pola walki staje się ciekawym partnerem. Potwierdzają to podpisane w Gdańsku dokumenty, np. list intencyjny sygnowany przez Polską Grupę Zbrojeniową z ukraińską spółką TAF Industries przewidujący współpracę przy produkcji systemów bezzałogowych.

Postrzeganie Ukrainy zmienia się także pod wpływem jej sukcesów militarnych i narastających kłopotów Rosji. Coraz częściej mówi się, że do zakończenia działań wojennych jest już bliżej niż dalej, a Ukraina gromadzi silne argumenty na przyszłe rokowania pokojowe. Nie należy jednak wpadać w euforię, bo nic jeszcze nie jest przesądzone. Rosja ciągle może zaskoczyć na froncie; zaskoczyć może też rozwój sytuacji w polityce międzynarodowej. W 2027 r. we Francji odbędą się wybory prezydenckie, Polskę czekają wybory parlamentarne. Ich wynik nie jest przesądzony i będzie miał istotny wpływ nie tylko na przyszłość obu krajów, ale także całego kontynentu.

Gdańska konferencja przygotowała dobry grunt dla polityków w Polsce i Ukrainie, by znaleźli sposób na obniżenie napięcia we wzajemnych relacjach. Czy krokiem w tym kierunku jest zgłoszony przez Zełenskiego w niedzielę 28 czerwca, w 30. rocznicę uchwalenia konstytucji, projekt ustawy ustanawiającej narodowy panteon Ukrainy? Po to, by nikt nigdy nie mówił Ukraińcom, jakich bohaterów mają czcić – oznajmił Zełenski. Miejsce w panteonie przewidziano dla najważniejszych postaci dla ukraińskiego narodu i państwa, wśród nich m.in. dla głównodowodzących siłami zbrojnymi Ukraińskiej Republiki Ludowej, sojusznika Polski w wojnie z bolszewikami, ale także dla Ukraińskiej Powstańczej Armii. Projekt nie określa, kto rzeczywiście w panteonie się znajdzie. Dlatego nie należy pochopnie oceniać go jako eskalacji w sporze z Polską o historię. Na pewno jest w tej chwili obliczony na reakcję opinii publicznej Ukrainie.

Pamiętając o historii, należy mieć świadomość, że kluczowym aspektem odbudowy Ukrainy jest integracja tego kraju z UE. Bez zaangażowania Polski proces ten się nie powiedzie. Ale i w strategicznym interesie Polski jest, by integracja zakończyła się sukcesem.

EDWIN BENDYK

© ŁUKASZ GŁOWALA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 332c627450

Odchodzi i zostaje?



Aleksandar Vucić, prezydent Serbii, zapowiedział w sobotę, że ustąpi: „Będę prezydentem jeszcze tylko przez kilka tygodni". Czyżby wreszcie ugiął się pod presją antyrządowych protestów, które trwają w Serbii od 19 miesięcy? Niekoniecznie. Zapowiedź rezygnacji i przyspieszonych wyborów może oznaczać, że nigdzie się nie wybiera. Prezydent Serbii to funkcja ceremonialna, którą można pełnić przez dwie pięcioletnie kadencje. Ta druga kończy się Vuciciowi w maju 2027 r. Dotychczas prezydentura mu pasowała, bo mógł się przedstawiać jako ojciec narodu (wybory bezpośrednie), a jednocześnie – kontrolując prawicową Serbską Partię Postępową (SNS), największą siłę w parlamencie – sprawował realną władzę w kraju, choć ta formalnie jest przypisana premierowi.

Te kalkulacje uległy zmianie pod wpływem masowych protestów. Zaczęło się w listopadzie 2024 r., gdy na dworcu kolejowym w Nowym Sadzie zawaliła się świeżo wybudowana wiata, zabijając 16 osób. Z niezależnego śledztwa wynika, że był to skutek zaniedbań ze strony firmy, która dostała zlecenie za łapówkę. Od tamtej pory w Serbii odbywają się protesty antykorupcyjne, początkowo organizowane przez studentów, ale dziś angażujące wielu innych krytyków Vucicia. Prezydentowi zarzuca się m.in. wpuszczanie do kraju kontrowersyjnych inwestycji zagranicznych, w tym chińskich, które nie tylko nie przynoszą krajowi korzyści, lecz także niszczą środowisko naturalne.

Organizatorzy protestów świadomie nie stworzyli ruchu politycznego, licząc na jak najszersze poparcie społeczne. Osłabiona partia Vucicia nie ma już raczej szans (ani kandydata) na stanowisko prezydenta. Co innego w wyborach parlamentarnych, gdzie rozbudowana machina partyjna może zapewnić SNS zwycięstwo nad rozdrobnioną opozycją. Zakładając więc, że głową państwa może zostać kandydat apolityczny popierany przez protestujących, np. rektor Uniwersytetu Belgradzkiego Vladan Dokić, Vucić chce prawdopodobnie wrócić na stanowisko premiera, które sprawował już w latach 2014–17.

Wynik jednoczesnych wyborów prezydenckich i parlamentarnych może mieć duże znaczenie międzynarodowe, gdyż Serbia stała się areną zmagań amerykańsko-chińskich (i rosyjskich). Zachód rzadko krytykuje Vucicia w obawie, że wepchnie go w ręce Chin. Z kolei Amerykanie, w tym rodzina Donalda Trumpa, zapowiadają duże inwestycje w Serbii – pod warunkiem że jej władze wypchną z kraju Rosjan, szczególnie z sektora naftowego. Choć więc protesty zachwiały Vuciciem, utrzymanie jego skorumpowanej władzy może być Zachodowi na rękę. ŁW

Prezydent zapożyczeń

Nieformalna międzynarodówka skrajnej prawicy pod patronatem Donalda Trumpa święci w Ameryce Łacińskiej kolejne triumfy. Po zwycięstwach wyborczych w Chile i Boliwii w 2025 r. teraz zdobyła władzę w Kolumbii i Peru, choć w obu krajach minimalną przewagą, mniejszą niż jeden punkt procentowy. **Abelardo de la Espriella**, nowy przywódca Kolumbii, prawnik i biznesmen, objawił się jako zlepek pomysłów dotychczasowych liderów faszyzującej fali. Od Javiera Mileia z Argentyny zapożyczył symbol drapieżnego kota – Milei widzi siebie jako lwa, de la Espriella wybrał tygrysa. Tak jak Milei zamierza ciąć wydatki i zwalniać urzędników – mowa o likwidacji 700 tys. państwowych etatów. Od Nayiba Bukelego, zamordysty z Salwadoru, Kolumbijczyk przejął hasła twardej ręki wobec przestępców – obiecał budowę megawięzień. Zapowiedział też kryminalizowanie protestów społecznych – odrzucenie puszki z gazem w stronę policji może skutkować strzałami do demonstrantów.



© ANDREJ CUKIC/EPA/PAP, LUCAS AGUAYO ARAOS/ANADOLU/GETTY IMAGES

Kwestie bezpieczeństwa to serce dyskursu skrajnej prawicy. W Kolumbii idea „pokoju totalnego", i z rebeliantami, i z kartelami, lansowana przez ustępującego Gustava Petro (pierwszego w historii kraju lewicowca u władzy), nie spełniła się. Grupy zbrojne nie bardzo chcą się rozbroić, m.in. dlatego że w Kolumbii rebeliantom się nie wybacza. Gdy w 2016 r. prezydent Juan Manuel Santos wynegocjował pokój z partyzantką FARC i dostał za to pokojowego Nobla, 52 proc. jego rodaków odrzuciło w referendum układ kończący półwieczną wojnę domową. Dlaczego? Bo pakt był – według nich – zbyt łaskawy dla buntowników.

Od Donalda Trumpa de la Espriella ściągnął wizerunek miliardera, który ma zarządzać państwem jak koncernem, a także pogardę dla ONZ („polityczny zarząd lewicy"). Zapowiedział likwidację ambasady przy tej organizacji. Z kolei Jair Bolsonaro z Brazylii (nieudany puczysta odsiadujący wyrok) zainspirował go zawłaszczeniem koszulek piłkarskiej reprezentacji jako symbolu swojego ruchu politycznego. Związany z sektorem paliwowo-energetycznym, nowy prezydent chce wrócić do agresywnej polityki wydobywczej, którą Petro wyhamował, by chronić środowisko.

Kwestie środowiska i klimatu lekceważy zwyciężczyni wyborów w Peru – w czwartym podejściu – Keiko Fujimori. Córka zmarłego dyktatora Alberto Fujimoriego, którego skazano za zbrodnie przeciw ludzkości, była „trumpoidką" długo przed Trumpem i obecną falą. Ciągnie się za nią mroczna fama – nie tylko z powodu ojca. Od lat jest liderką, a to opozycji, a to frakcji popierających autorytarne rządy. Peru trapi wzrost pospolitej przestępczości i hasła twardej ręki trafiły na podatny grunt korupcji i związków mafijnych. AD

a.pl 332c627450

Ameryka w oktagonie



Gala mieszanych sztuk walki na trawniku Białego Domu

Nic tak dobrze nie opowiada o Stanach Zjednoczonych z okazji ich 250. urodzin jak tzw. sporty walki – w epoce Donalda Trumpa to one nadają ton amerykańskiej polityce.

ŁUKASZ WÓJCIK

Zakrwawiony zawodnik leży na plecach, ręce ma bezwładnie ułożone wzdłuż ciała. Komentatorzy nie wymieniają już jego nazwiska, jakby stracił twarz. Josh Hokit pozbawił go również przytomności. Teraz zwycięzca wychodzi z oktagonu, zbliża się do Donalda Trumpa i zawiesza mu na szyi tabliczkę z własnym imieniem. „To z okazji 80. urodzin" – mówi. Potem w trakcie wywiadu ze znanym podkasterem Joe Roganem Hokit chwyta mikrofon i krzyczy: „Michelle Obama to MĘŻCZYZNA!". Tłum wpada w euforię.

eprasa.pl 332c627450

Gdyby esencję trumpizmu dało się streścić w jeden wieczór, byłby to ten z 14 czerwca, gdy na południowym trawniku Białego Domu odbyła się gala mieszanych sztuk walki, MMA. To na pozór połączenie „szlachetnych" sportów: boksu, zapasów, judo i ju-jitsu. MMA korzysta z ich technik, nie przejmując zasad. W zamian daje publiczności posmak krwi, kontrolowanego bólu i surowej, męskiej dominacji bez udawania.

Galę zorganizowała największa federacja w tym „sporcie", Ultimate Fighting Championship, UFC, kierowana przez Danę White'a, dobrego znajomego prezydenta USA. To on wyprosił zgodę Trumpa na zbudowanie tuż obok Białego Domu gwiaździstego „pazura" – miniareny mierzącej 28 m wysokości, 47 m szerokości i ważącej 600 ton. „Pazur" powstał za ok. 60 mln dol. i przy udziale siedmiu agencji federalnych.

1 To była pierwsza z całej serii imprez, które uświetnią 250. urodziny USA przypadające na 4 lipca (tylko dla niepozoru odbyła się dokładnie w dniu urodzin Trumpa). W planach są jeszcze parada wojskowa i pokaz fajerwerków. A także Igrzyska Patriotyczne, podczas których chłopiec i dziewczynka z każdego stanu przyjadą do stolicy na „przyjacielskie zawody sportowe" („nie żadne Igrzyska Śmierci", jak przekonują organizatorzy, co już samo w sobie może niepokoić w czasach Trumpa). Ulicami Waszyngtonu pomknie również wyścig samochodów wyścigowych IndyCar.

Żadna impreza nie wzbudziła jednak tylu kontrowersji co gala UFC przed Białym Domem. Pod „pazurem" zasiadło 1,5 tys. wyselekcjonowanych kibiców, a w okolicy na gigantycznych telewizorach kolejne kilkanaście tysięcy oglądało galę na żywo. – *Byli to mniej więcej ci sami ludzie, którzy sześć lat temu, 6 stycznia, zaatakowali Kapitol – z tą różnicą, że wówczas przybyli nieproszeni, teraz na „galę przemocy", jak o niej mówił prezydent USA, sam ich zaprosił* – mówi Kyle Green, socjolog z Uniwersytetu Stanowego Nowego Jorku.

Zdaniem Greena przemoc, jak żadne inne zjawisko społeczne, od lat definiuje amerykańską politykę. Przenika ją w nieoczywisty sposób, czego najlepszym przykładem jest polityczna popularność tzw. sportów walki. Najpierw w latach 80. i 90. był wrestling, zgodna z duchem czasu udawana rozrywka, zwana czasem operą mydlaną dla mężczyzn. Kilkanaście lat temu tę rolę przejęły mieszane sztuki walki, brutalne, krwawe i gwałtowne, zgodne z duchem nowych czasów.

Kuszące jest zignorowanie obu tych „sportów" jako zaledwie prymitywnej rozrywki. Ale mówią one więcej o stanie amerykańskiej polityki 250 lat po Deklaracji Niepodległości niż najlepsze polityczne analizy. A fakt, że oba te dyscypliny łączy Donald Trump, mówi więcej niż tysiąc słów. Dlatego galę UFC na trawniku przy Białym Domu można uznać za symboliczny przełom.

W jej trakcie doszło do sześciu walk, z czego najważniejsza była ta ostatnia, krótko po północy. Amerykanin Justin Gaethje pokonał w niej dotychczasowego mistrza wagi lekkiej Ilię Topurię, z pochodzenia Gruzina. Po 20 minutach walki twarz Topurii nie przypominała już człowieczej. „Nigdy nie zadzieraj z prawdziwym Amerykaninem!" – krzyknął do pokonanego Gruzina stojący nieopodal kibic, triumfalnie unosząc pięść w powietrze.

Gaethje – podobnie jak wszyscy pozostali zwycięzcy – po walce podszedł do Trumpa i złożył mu ukłon. Tak jak w Koloseum 2 tys. lat temu ryk tłumu ucichł na chwilę, przechodząc w rodzaj rytualnej ciszy po tym, jak przemoc znów zatriumfowała.

2 Neron wyróżniał się z grona rzymskich cesarzy nie dlatego, że organizował igrzyska gladiatorów – to robiło wielu przed nim i po nim. Był wyjątkowy, bo identyfikował się z gladiatorami i ich etosem. Jego poprzednicy utrzymywali wobec tej rozrywki arystokratyczny dystans. Neron poszedł krok dalej i znalazł swoich naśladowców. Wielu polityków po nim utożsamiało się ze sportami walki. Przy czym sama rywalizacja była dla nich pretekstem – chodziło o raczej o przemianę rytuału walki w rytuał zbiorowej tożsamości.

Jednym z tych naśladowców Nerona jest dziś amerykański sekretarz obrony (czyli wojny) Pete Hegseth. Nie przypadkiem apeluje on o przywrócenie „etosu wojownika" w amerykańskim wojsku i życiu obywatelskim. W jego perspektywie wojownik staje się nie tylko żołnierzem, ale idealnym obywatelem: zdyscyplinowanym, odważnym, silnym fizycznie i gotowym do poświęceń. Masowe wiece, parady wojskowe i religijne – wszystkie te wydarzenia mogą wywoływać stany emocjonalne, w których jednostki czują się wchłonięte przez coś większego niż one same.

Brytyjski filozof Edmund Burke nazwał to kiedyś „wzniosłością": intensywnymi doświadczeniami niebezpieczeństwa, terroru i wielkości, które przekształcają strach w uniesienie przed przytłaczającą siłą.

Dlatego polityczny urok walk gladiatorów czy gali mieszanych sztuk walki tkwi nie tylko w brutalnej rozrywce. – *Kluczem do zrozumienia ich ponadczasowego fenomenu jest przeniesienie indywidualnych doznań na poziom zbiorowej opowieści o odwadze, poświęceniu, tożsamości i celu* – mówi Kyle Green. – *Przy czym ta opowieść wcale nie musi być prawdziwa – wystarczy, że jest zbiorowo przeżywana.*

3 W Stanach Zjednoczonych zaczęło się od wrestlingu. Święcił triumfy w latach 80., choć w Polsce dowiedzieliśmy się o tym dopiero dekadę później. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto po nocach nie oglądał pojedynków Hulka Hogana z Undertakerem. Na ringu – dwóch facetów w lajkrach i maskach. Od razu można poznać, który jest dobry, który zły. A potem była bijatyka, salta robione z lin, mordercze uderzenia. Wielu moich rówieśników zafascynowanych Ameryką długo nie chciało uwierzyć, że to wszystko było udawane.

Jak pisze Dave Meltzer, dziennikarz zajmujący się wrestlingiem, tym „sportem" od początku kierowała zasada *kayfabe*. To swego rodzaju konwencja: wszystko jest wyreżyserowane, wszyscy o tym wiedzą i nikomu to nie przeszkadza. Trump jako wielki fan wrestlingu szybko zrozumiał, że polityka działa na podobnej zasadzie. U zarania tamtej epoki stworzył biznesowy duet z Vince'em McMahonem, założycielem World Wrestling Entertainment, WWE, największej organizacji specjalizującej się w tym spektaklu. Jej flagowa impreza, Wrestlemania, kilkakrotnie odbywała się w Trump Plaza w Atlantic City.

To wtedy Trump zaczął się regularnie pojawiać na jej galach jako przerysowana wersja samego siebie. W 2007 r. razem z McMahonem wzięli udział w Bitwie Miliarderów, wspierając rywalizujących zawodników. Kiedy zawodnik Trumpa pokonał zawodnika McMahona, przyszły prezydent – w ramach nagrody – na środku ringu ogolił McMahona na łyso.

Jak pisze Maggie Haberman w biografii Trumpa „Iluzjonista", McMahon był jednym z niewielu ludzi w historii, których od biedy można by nazwać przyjaciółmi Trumpa. Przynajmniej do czasu, gdy kolejny skandal seksualny nie wypchnął ▶

© ZUMA PRESS/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 332c627450

▶ McMahona z życia publicznego. Ale Trump nie zapomniał o przyjacielu – żona McMahona Linda jest dziś sekretarzem ds. edukacji w jego gabinecie i odnosi sukcesy m.in. w ograniczeniu udziału osób transpłciowych w zawodach sportowych na wyższych uczelniach.

4 Podstawowa zasada wrestlingu już nie jako „sportu", ale jako widowiska, polegała na sprzymierzeniu się publiczności „za" lub „przeciw" konkretnej postaci wojownika. Walka rozgrywała się między dobrem i złem, z wyraźnie zarysowanymi antagonistami. I nigdy nie chodziło o samą walkę. Wspomniany Hulk Hogan nie był wybitnym zapaśnikiem (oczywiście w ramach tej konwencji). Jego popisowym numerem było uderzenie stopą lub kolanem w klatkę piersiową przeciwnika, co nie stawiało go w rzędzie z największymi „wariatami". Hulk był jednak mistrzem autopromocji i tzw. śmieciowego gadania.

W krótkich filmikach poprzedzających walki straszył, opowiadając o swoich „24-calowych pytonach" (to o bicepsach), i zapowiadał, co dokładnie zrobi przeciwnikowi. Wyzywanie i wyśmiewanie, a potem – nawet po zwycięstwie – bezzasadne poniżanie konkurentów było nieodłącznym elementem wrestlingu.

Trump podczas swoich publicznych tyrad i w mediach społecznościowych robi dokładnie to samo. Opowiada o tym, jak „zabije" swoich przeciwników (w sondażach), wyśmiewa się z ich wyglądu, zapowiada, gdzie skończą, jak już będzie po wszystkim. – *Jest mistrzem wyśmiewania i poniżania nie tylko słabszych przeciwników, ale również sojuszników, budując w ten sposób relację dominacji wynikającą również z psychologicznego (psychopatycznego) oddziaływania* – przekonuje Heather Levi, amerykańska antropolożka pisząca o wrestlingu i MMA.

A to tylko początek podobieństw. Zwolennicy Trumpa często opiewają jego instynkt polityczny, dzięki któremu prezydent „zawsze trafia w sedno", a on stosuje po prostu technikę zaczerpniętą z wrestlingu. Gdy tworzona była nowa postać, zapaśnik wcielający się w nią testował na fanach kolejne zagrywki i hasła, sprawdzając, które działają, a potem rozwijając te podchwycone przez publikę. Chodzi o to, aby wywołać reakcję tłumu – pozytywną czy negatywną, nie ma znaczenia.

Trump w podobny sposób testuje swoje hasła. Jeśli nie wywołują wzmożenia w przestrzeni publicznej, porzuca je bez żalu. Potem promuje tylko te zwycięskie, tworząc wrażenie, że tych nietrafionych w ogóle nie było. To szczególnie utrudnia sytuację jego podwładnych, którzy odruchowo wspierając prezydenta, regularnie muszą „połykać własny język".

5 Wielcy prezydenci USA odgrywali różne role. George Washington został bohaterem narodowym nie tylko jako obrońca młodej republiki, ale również dlatego, że po zwycięskiej wojnie o niepodległość oddał władzę Kongresowi, choć mógł zostać dyktatorem. To jest też opowieść o Abrahamie Lincolnie, uosabiającym autorytet moralny, który ostatecznie okazał się silniejszy od potęgi militarnej. W końcu chodzi też o dwóch wielkich prezydentów połowy XX w., Franklina Delano Roosevelta i Dwighta Eisenhowera, którzy symbolizują ideał służby i poświęcenia ojczyźnie. Wszyscy ci bohaterowie demokracji służyli czemuś większemu niż oni sami.

Ten amerykański ideał zaczął się sypać po 11 września 2001 r., gdy terroryści zaatakowali World Trade Center i Pentagon. Od kolejnych prezydentów nie oczekiwano już służby, ale zwycięstwa. Spektakl trwał, zmieniały się tylko role, co zaprezentował już George W. Bush, występując w kostiumie pilota pod napisem „Mission Accomplished" na pokładzie lotniskowca USS Abraham Lincoln.

Za finał tego procesu można uznać plakat zaprezentowany przez Biały Dom na 80. urodziny prezydenta Trumpa (oczywiście w ramach obchodów 250-lecia Ameryki). Motyw ten sam od stu lat. Ale wymowa już zupełnie inna. Historycznego Wuja Sama, który na plakatach z 1917 r. wzywał Amerykanów do wstępowania do armii, zastąpił nowy Wuj Sam: napakowany kolos w estetyce, na którą zdobyć się mogła tylko sztuczna inteligencja. I jeszcze ten zmieniony napis na plakacie: Ameryka nie potrzebuje już ciebie, „Ameryka potrzebuje mistrza" (America needs a champion).

6 Ową transformację amerykańskiej polityki symbolicznie odzwierciedla przejście od wrestlingu do mieszanych sztuk walk jako ulubionej rozrywki Donalda Trumpa.

W MMA nie ma udawania. Jest za to osiem sposobów na nokaut – od podduszenia po złamanie ręki przeciwnikowi. Generalnie chodzi o to, aby ustać na nogach. Jeśli upadniesz, sprawy potoczą się bardzo szybko. MMA różni się od boksu np. tym, że dozwolone jest atakowanie przeciwników nawet wtedy, gdy leżą już na macie. Walki mają trzy lub pięć rund, ale zazwyczaj trwają tylko kilka minut, co jest formą dobrze dopasowaną do czasów obniżonej koncentracji.

Jeszcze całkiem niedawno MMA było niszową atrakcją. Walki można było oglądać tylko za pośrednictwem linków umieszczanych niemal w darknecie, na małych forach dyskusyjnych, często zakładanych przez ludzi o wyrazistych poglądach politycznych. Taka właśnie – w większości męska, biała i młoda – grupa fanów dorastała w toksycznej atmosferze, gdzie łatwo natykała się na skrajnie prawicowe tematy.

Na przełomie wieków, kiedy jeszcze poważni politycy, jak np. John McCain, porównywali MMA do walki kogutów i próbowali uchwalić federalną ustawę zakazującą bijatyk w oktagonie, Trump był ich zagorzałym zwolennikiem i często organizował walki w swoich hotelach. Dostał nawet od UFC honorowy pas mistrzowski, wzorowany na tych bokserskich.

MMA trafiły na swój czas. Gdy w pierwszej dekadzie XXI w. rozbijany na kolejne federacje boks tracił na swej popularności, MMA było jeszcze niszową i tak brutalną rozrywką, że większość stanów zakazywała walk w oktagonie. Wtedy na scenę weszła mała federacja UFC i jej szef Dana White, który ujednolicił zasady, rozszerzając w ten sposób rywalizację, i wzmocnił nadzór medyczny, co skłaniało kolejne lokalne władze do wydawania pozwoleń na zawody.

Jak twierdzi Haberman, White zachwycił Trumpa tak, jak kiedyś McMahon, i został jego przyjacielem. A UFC kilkakrotnie ratowało polityczne życie Trumpowi. Po ataku jego zwolenników na Kapitol w styczniu 2020 r. były prezydent stał się politycznie trędowaty. Odwróciła się od niego nawet Partia Republikańska. Ale nie Dana White, który regularnie zapraszał go na gale UFC. Znów przedstawiał go młodej męskiej publiczności jako ikonę antyestablishmentu. „Za każdym razem, gdy Trump miał problemy, pojawiał się przy oktagonie" – pisze Haberman.

Podczas kampanii prezydenckiej w 2024 r. Trump poprosił White'a, aby ten skrócił wakacje we Włoszech i wystąpił

eprasa.pl 332c627450

na konwencji wyborczej, przyznając mu zaszczyt ostatniego mówcy, który go przedstawi. Dotychczas było zwyczajem, że prezydenckiego kandydata przedstawiali członkowie jego rodziny. Ale White to w zasadzie rodzina. Tę zażyłość potwierdziła kluczowa rola White'a podczas ceremonii zaprzysiężenia Trumpa 20 stycznia 2025 r.

Do dziś gale MMA to jedyne wydarzenie sportowe, w trakcie którego Trump może mieć pewność, że nie zostanie wybuczany lub wygwizdany, czego nie można powiedzieć nawet o turniejach golfowych.

7 Dla Trumpa walki w oktagonie, tak jak kiedyś zmagania gladiatorów dla Nerona, są narzędziem budującym nową tożsamość zbiorową. Tym bardziej że od amerykańskich (i nie tylko) przywódców coraz częściej oczekuje się, że będą



Zawodnik Josh Hokit wita się z prezydentem Trumpem po wygranej walce

pełnić nie tylko funkcję urzędników, ale także ikon kulturowych budujących wspólnotę wokół siebie – nie wokół urzędu. Doszło tu do pewnej inwersji. Przez dekady amerykańskich prezydentów określały ich działania – jak radzili sobie z kryzysami, jakie ustawodawstwo wprowadzali itd. Prezydent USA nie musiał zabiegać o uwagę opinii publicznej, bo miał ją niejako z automatu.

Dziś konkretne efekty rządzenia wciąż mają znaczenie – o ile prezydent jest w stanie je sprzedać opinii publicznej. A to z kolei zależy od tego, czy potrafi wygrać z konkurencją w walce o uwagę Amerykanów. Tyle że ta konkurencja to już nie są polityczni oponenci, ale niekończący się strumień rozrywki i mediów krążący po internecie. Właśnie do tego Trumpowi potrzebne są mieszane sztuki walki – jako zjawisko budujące nową tożsamość zbiorową.

Nie oznacza to, że w przeszłości wizerunek prezydenta nie miał znaczenia. Amerykańska polityka do pewnego stopnia zawsze była widowiskiem. Młody John F. Kennedy odniósł ogromne korzyści z telewizji, którą potrafił się posłużyć. Franklin D. Roosevelt starannie pielęgnował swój wizerunek poprzez „pogawędki przy kominku" w radiu. Różnica polega na tym, że w tamtych czasach pielęgnowanie wizerunku postrzegano przede wszystkim jako narzędzie wzmacniające polityczne przywództwo i wiarygodność, a nie jako ich zastąpienie.

Widać to na przykładzie autorytetu. Wcześniej polityk wprowadzający się do Białego Domu przejmował autorytet urzędu i z niego korzystał. Dziś politycy zachowują się bardziej jak influencerzy, m.in. dlatego, że instytucje, które kiedyś nadawały autorytet, straciły publiczną legitymację. Zaufanie do mediów, szkolnictwa wyższego, korporacji i religii spadło. W rezultacie źródłem legitymacji politycznej przywódców takich jak Trump stają się kontrolowane przez nich nowe tożsamości zbiorowe, wnoszone jako wiano do urzędów, które przejmują. Tak jest właśnie z MMA.

8 Nie przypadkiem Trump zarządza swoim gabinetem jak federacją mieszanych sztuk walki. A jego sekretarze udają wojowników. Jak pisze Heather Levi, „ta administracja i cały ruch prawicowy są pełne bladych i radykalnych mężczyzn szukających innych mężczyzn, dzięki którym mogliby pośrednio doświadczyć męskości. A najbardziej pociąga ich pokaz męskości – przemoc, czy to na ringu, czy na ulicy, gdy zamaskowany agent ICE (federalna agencja ds. imigracji – przyp. red.) bije protestujących."

Dyrektor FBI Kash Patel ogłosił niedawno, że zawodnicy UFC będą szkolić agentów FBI w technikach MMA. Obecnego szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, byłego senatora Markwayne'a Mullina, prawicowe media określają jako „byłego zawodowego zawodnika MMA", choć na jego karierę składa się kilka walk w lokalnej lidze. Mullin kiedyś chciał się bić z uczestnikiem przesłuchania w Kongresie (sytuację rozładował Bernie Sanders).

Listę republikańskich „zawodników" można ciągnąć. Senator Josh Hawley robi pompki na korytarzu Senatu. Sekretarz Hegseth ćwiczy z żołnierzami, a na konferencjach prasowych niemal pęka z sadystycznej radości na myśl o rozwalaniu innych ludzi na kawałki. Robert F. Kennedy jr wykonuje dziwaczny (homoerotyczny?) trening z Kid Rockiem.

Ale gdy się nad tym zastanowić, mamy do czynienia z kolejną mistyfikacją, doskonalszą jeszcze niż wrestling. Bo przecież cała ta administracja składa się z „silnych mężczyzn" (niemal wyłącznie), którzy jednak ulegają przed mistrzem pozerstwa, człowiekiem, który jest zaprzeczeniem ich wyobrażenia wojownika – przed 80-latkiem z brzuchem, który codziennie nakłada makijaż, ma obsesję na punkcie swoich włosów i nigdy nie ćwiczy.

9 Gdy na koniec pytam naszych rozmówców, co jest najważniejsze w relacji Trump–MMA, powtarza się jedna odpowiedź. To w dużej mierze dzięki Trumpowi prawicowy entuzjazm dla mieszanych sztuk walki działa coraz częściej na zasadzie kontry – na złość liberałom i kobietom, dla których te zawody są z zasady odrażające. To największy psychologiczny paradoks trumpizmu: publicznie eskalując swoje najgorsze strony, można odnaleźć satysfakcję w przerażaniu ludzi, których się nienawidzi.

ŁUKASZ WÓJCIK

© ZUMA PRESS/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 332c627450



Od dwóch dekad polityka orderowa Rzeczpospolitej stała się polityką jednej opcji. Prawicowi prezydenci używali jej do wzmocnienia własnego środowiska. Prawdziwi bohaterowie byli w niej zapomniani. Ale przypadek Zełenskiego to już grubsza sprawa.

Orzeł Czarno-Biały

© STUDIO POLITYKA

RAFAŁ KALUKIN

Odebranie Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego wywołało reperkusje dyplomatyczne o nieznanych jeszcze konsekwencjach. Na razie klimat w naszym sąsiedztwie zrobił się fatalny, co zrozumiałe, gdyż swoją decyzją Karol Nawrocki uczynił ukraińskiemu prezydentowi coś więcej niż afront. O ile bowiem wzajemne honorowanie się odznaczeniami przez przywódców bliskich sobie państw jest w polityce międzynarodowej utrwaloną od wieków rutyną, o tyle ich pozbawianie to zarezerwowany na skrajne sytuacje akt wrogości.

Najczęściej reagują w ten sposób państwa w stanie konfliktu zbrojnego. To choćby przypadek Wielkiej Brytanii, która po wybuchu pierwszej wojny światowej odebrała Order Podwiązki cesarzowi Niemiec Wilhelmowi II oraz jego austriackiemu odpowiednikowi Franciszkowi Józefowi I, a w kolejnej wojnie „ukarała" w ten sam sposób włoskiego króla Wiktora Emanuela III i premiera Benita Mussoliniego (skądinąd do dziś kawalera Orderu Orła Białego). Pomiędzy sojusznikami takie incydenty nie powinny się jednak zdarzać nawet po wystąpieniu istotnych rozbieżności. Tym bardziej że praktycznych korzyści nie ma z tego żadnych. Upokorzona druga strona może się później co najwyżej dodatkowo usztywnić.

eprasa.pl 332c627450

Toteż trudno się dziwić reakcji ukraińskiej elity. Odesłanie Orderów Orła Białego nadanych trzem poprzednikom Zełenskiego okazało się kolejnym precedensem w parowiekowych dziejach najważniejszego polskiego odznaczenia. Eskalacja w orderowej wojnie na tym się jednak nie skończyła, gdyż swoje trzy grosze dołożył prezes PiS Jarosław Kaczyński, zapowiadający z kolei odesłanie do Kijowa przyznanego mu trzy lata temu Orderu Księcia Jarosława Mądrego. Ale może to i lepiej, bo najwyraźniej nie każdy Jarosław zasługuje na takie miano.

Czyj zaszczyt i czyje upokorzenie?

Przy okazji sporu ujawniła się za to istotna rozbieżność w interpretacji polityki orderowej. Ogłaszając swoją decyzję, Nawrocki zaznaczył, że jest to akt dezaprobaty wobec polityki Zełenskiego, natomiast stosunek polskiego prezydenta do ukraińskiego państwa pozostaje jednoznacznie pozytywny. Elity w Kijowie widziały to jednak inaczej i to prędzej im należałoby przyznać rację.

Order Orła Białego nie jest bowiem prywatną nagrodą, którą jeden prezydent przyznaje drugiemu, gdyż czuje do niego osobistą sympatię. Obaj reprezentują bowiem swoje państwa, w jakimś sensie nawet je uosabiając. Zresztą bez uwzględnienia elementu ciągłości władzy państwowej Nawrocki nie miałby prawa unieważnić aktu uhonorowania Zełenskiego, który podpisał przecież Andrzej Duda. Jego próbę zmiany logiki z państwowej na osobistą, co miało osłabić radykalizm wykonanego gestu, trudno więc uznać za przekonującą. To jednak zachowanie dosyć typowe dla Nawrockiego, który nie grzeszy nadmiarem wyobraźni państwowej, za to lubi rozciągać swój mandat do granic możliwości, tak jakby powtarzał za pewnym francuskim monarchą, że „państwo to ja".

Kto kogo zatem ostatecznie bardziej upokorzył? To trochę jak w znanym aforyzmie Sørena Kierkegaarda: „Są ludzie, którym ordery przynoszą zaszczyt i ludzie, którzy przynoszą zaszczyt orderom". Do dziejów Orderu Orła Białego pasuje on znakomicie, gdyż najwyższe polskie odznaczenie zostało na początku XVIII w. cynicznie ustanowione głównie po to, żeby odznaczający mogli wkradać się w łaski odznaczanych, wyciągać od nich pieniądze, korumpować. Stąd ówczesne nagromadzenie wątpliwych dam i kawalerów orderu, z Katarzyną II Wielką na czele.

Współczesna Polska kieruje się już oczywiście inną logiką, niemniej honorowanie kolejnych ukraińskich prezydentów też przecież w stosunkowo niewielkim stopniu wynikało z uznania dla ich osobistych zasług, przede wszystkim służąc cementowaniu partnerstwa, co jeszcze niedawno było naszym strategicznym celem.

Jeżeli więc naszym potomnym przyjdzie kiedyś zajrzeć do starych kronik, zapewne trudno im będzie zrozumieć, dlaczego w czasach rosyjskiego zagrożenia skazane na współpracę państwa zaczęły sobie wzajemnie odsyłać ordery. To historia równie kuriozalna jak uhonorowanie imperatorowej z Petersburga.

Panteon pana prezydenta

Uderzając w Zełenskiego, prezydent dodatkowo wybrał taki moment, żeby zabolało również Tuska, gdyż to jego ukraiński prezydent miał „upokorzyć" swoją nieobecnością na konferencji odbudowy w Gdańsku. I trudno odtąd mieć wątpliwości, że polityka orderowa w rękach Nawrockiego będzie po prostu kolejnym instrumentem do prowadzenia wojny z rządem. Źle to wróży hierarchiom naszych bohaterów, które już dzisiaj stoją na głowie po dwóch dekadach stosowania orderowej selekcji z coraz szczelniejszym politycznym filtrem. Teraz pewnie będzie jeszcze gorzej, na co wskazywały już zresztą pierwsze odznaczenia dokonane przez Nawrockiego w końcówce poprzedniego roku.

Jego decyzja z października ub.r. o nadaniu Orderu Orła Białego Andrzejowi Poczobutowi oczywiście nie budziła wątpliwości. Był to jednak wyjątek od reguły, który skupił powszechną uwagę, podczas gdy pozostałe nadania przeszły bez większego echa. Chociaż niektóre z nich powinny budzić zdumienie, przynajmniej gdybyśmy mieli do tej kwestii podejść z szacunkiem do wspólnych dziejów i dorobku narodowej kultury.

W tym samym rzucie prezydent uhonorował również Orderem Orła Białego („za wkład w rozwój polskiej kultury i sztuki") Waldemara Łysiaka, czyli pisarza swego czasu chętnie przez Polaków czytanego, ale bardziej popularnego niż istotnego. Funkcjonującego daleko poza docenionym przez krytykę kanonem, cenionego przez fanów głównie za radykalizm politycznych sądów i ogólną niepoprawność.

Nawrocki ma oczywiście prawo cenić Łysiaka za jego książki, a choćby i felietony publikowane niegdyś w „Gazecie Polskiej" bądź pokrewnych tytułach, ale jako strażnik kulturowego dziedzictwa Rzeczpospolitej powinien mimo wszystko uwzględniać kontekst. A wygląda on dzisiaj tak, że najważniejszego polskiego orderu nie doczekał się zmarły niedawno Wiesław Myśliwski. Tak samo konsekwentnie od lat pomijani są jeszcze bardziej wiekowy Józef Hen, Hanna Krall, Ryszard Krynicki, Andrzej Stasiuk czy wreszcie noblistka Olga Tokarczuk.

Literacką listę naprawdę wielkich można jeszcze trochę pociągnąć, chociaż nic z tego nie wyniknie. Dożyliśmy czasów, w których uhonorowanie przez prawicowego prezydenta kogokolwiek z tego grona zostałoby uznane za sensację. Za to umieszczenie Łysiaka w narodowym panteonie – na równi z przepasanymi w przeszłości błękitną szarfą Czesławem Miłoszem, Stanisławem Lemem i Wisławą Szymborską – na dobrą sprawę nikogo nie zdziwiło.

I podobnie jest z bohaterami naszej wolności. Ostatnio również za sprawą Nawrockiego, który „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, w szczególności dla przemian demokratycznych i wolnej Polski, za działalność państwową, publiczną i społeczną" nadał Order Orła Białego Czesławowi Nowakowi. To postać mało dziś znana nawet w jego rodzinnym Trójmieście. Niegdyś działacz Solidarności z Portu Gdańskiego, który na początku stanu wojennego zorganizował kilkudniowy strajk i zapłacił za to rocznym więzieniem. Aktywny również w późniejszych latach, chociaż jedynie w skali lokalnej. W „Solidarności Podziemnej 1981–89" Andrzeja Friszkego, bodaj najważniejszej monografii ruchu na tym etapie, nazwisko Nowaka pojawia się jedynie dwa razy, i to wyłącznie w przypisach.

I nie chodzi teraz o to, żeby unieważniać zasługi tego człowieka, niewątpliwie odważnego w trudnych czasach, kiedy odwaga okazała się towarem deficytowym. Warto jednak pamiętać, że najważniejszego polskiego orderu do dziś nie nadano prawdziwym przywódcom solidarnościowego podziemia, którzy przez lata się ukrywali, organizowali konspirację, ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ byli symbolami tamtej epoki. Takim jak Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Wiktor Kulerski albo Bogdan Lis.

Tyle że prezydentowi hierarchia zasług zapewne nie była w głowie. Najwyraźniej chciał na początek kadencji wynieść jakiegoś radykalnego prawicowca ze swojego Gdańska. Co nie było proste, gdyż takich środowisk po 1989 r. w mieście Solidarności prawie nie było. Wyróżniał się jedynie nierozłączny duet posłów Porozumienia Centrum, czyli właśnie Czesław Nowak oraz Edmund Krasowski. Ten drugi został pod koniec dekady szefem gdańskiego IPN i zasłynął wydaniem Lechowi Wałęsie zaświadczenia o statusie pokrzywdzonego przez SB. Drogi przyjaciół się wówczas na zawsze rozeszły z powodów politycznych. Wygląda więc na to, że Nawrocki nie tyle zamierzał wyróżnić konkretnego człowieka z jego biografią, ile raczej bliską jemu samemu polityczną postawę. To jednak podobny rodzaj małostkowości, co w przypadku Zełenskiego, którą upływ czasu zweryfikuje zapewne okrutnie.

Wędrówki Orła Białego

Uprawnienia prezydentów w polityce orderowej są praktycznie nieograniczone. Niby powinni uzgadniać swoje decyzje z kapitułami poszczególnych orderów, ale nie są do tego zobligowani. Zarazem określone w ustawie kryteria wybitności kandydatów na damy i kawalerów raczej nie grzeszą precyzją (w przypadku Orderu Orła Białego: „za znamienite zasługi zarówno cywilne, jak i wojskowe, położone w czasie pokoju lub wojny, dla chwały i pożytku Rzeczypospolitej Polskiej").

Obowiązuje co prawda formalna reguła, żeby pomijać osoby pełniące publiczne stanowiska, ale je również można dowolnie obejść. Kiedyś zrobił to Lech Wałęsa, który na koniec swojej kadencji nadał Order Orła Białego Tadeuszowi Mazowieckiemu, co zostało zresztą przyjęte z podziwem, gdyż niewiele wcześniej obaj byli w politycznym sporze. Kolejny wyłom uczynił po latach Andrzej Duda, który uhonorował tym orderem Antoniego Macierewicza i Piotra Naimskiego. Tym razem wywołało to sporo cierpkich uwag i nic dziwnego, bo obaj kawalerowie nie należą do grona ludzi powszechnie podziwianych, dla których warto naginać reguły.

Prezydenci mogą sobie jednak na orderowym poletku folgować do woli, zmuszeni co najwyżej tłumaczyć się przed opinią publiczną. A i to niekoniecznie, bo mamy przecież polaryzację. Swoi przyklasną zatem każdej decyzji, szczególnie kontrowersyjnej. A z tamtymi nie warto gadać.

Nieprzypadkowo orderowe zwichnięcie pamięci przydarzyło nam się dopiero po nastaniu polaryzacji w obecnej postaci. Wcześniej dużo łatwiej było się porozumieć w sprawie hierarchii naszych bohaterów. Za prezydentury Wałęsy praktycznie w ogóle nie było tarć. Na dobry początek nadano przywrócony w 1992 r. Order Orła Białego Janowi Pawłowi II, który kropelką swojego autorytetu potrafił w tamtych czasach rozpuścić całe polityczne spektrum od prawej do lewej. W dalszej kolejności honorowano jeszcze żyjących (a niekiedy też pośmiertnie) bohaterów pokolenia wojennego, o których w PRL nie wolno było wspominać.

Pierwsze spory pojawiły się dopiero w czasach Aleksandra Kwaśniewskiego, który prowadził bardzo aktywną politykę orderową, podporządkowując ją idei pojednania ponad historycznym podziałem. Ówczesny prezydent naprzemiennie odznaczał więc osoby ważne dla swojego obozu (najgłośniejszy był przypadek Orderu Orła Białego nadanego Włodzimierzowi Reczkowi, działaczowi olimpijskiemu z czasów PRL, ale również wieloletniemu członkowi KC PZPR) oraz wielkie figury opozycji demokratycznej, na czele z Jackiem Kuroniem, Karolem Modzelewskim, Bronisławem Geremkiem i Wiesławem Chrzanowskim (jedynym w tym gronie politykiem wywodzącym się z tradycji prawicowej, ale odległym od antykomunistycznego zacietrzewienia). Już na odchodnym docenił jeszcze w roli bohatera transformacji Leszka Balcerowicza.

W samą porę, bo po nim przyszedł Lech Kaczyński, który jeszcze w kampanii zapowiadał, że użyje polityki orderowej do zasadniczej zmiany obowiązującej do tej pory hierarchii. Umownym kryterium nowego podziału był w tamtym czasie stosunek do sprawy agenta Bolka. Skłoniło to Kaczyńskiego do uhonorowania najwyższym orderem obojga bohaterów solidarnościowego apokryfu i zarazem najdawniejszych wrogów Wałęsy, czyli Andrzeja Gwiazdy i Anny Walentynowicz. Gest był jawnie wrogi wobec elity odrodzonego po 1989 r. ruchu, chociaż – co ciekawe – „Gazeta Wyborcza" pochwaliła wówczas prezydenta za jego decyzję. Wspólnota dawnej walki okazała się jeszcze silniejsza od późniejszego konfliktu, a Kaczyński – chociaż niewątpliwie jego celem była zmiana państwowej aksjologii – nie był fanatykiem. Z jednej strony kazał odrzucić wniosek o odznaczenie Adama Michnika Orderem Orła Białego, z drugiej umiał się wznieść ponad osobiste urazy, honorując Zbigniewa Bujaka i Władysława Frasyniuka Krzyżami Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski.

Pechowe pokolenie

Wprowadzający się do Pałacu Prezydenckiego Bronisław Komorowski oczywiście nie miał świadomości, że jego prezydentura okaże się z perspektywy czasu wąskim oknem możliwości na zrównoważenie pisowskiej historiografii. Wierzył w sondaże i sądził, że ma przed sobą dużo czasu. W swoim tempie nadrabiał dotychczasowe zaległości, nakładając błękitną szarfę z Orderem Orła Białego na ramiona m.in. Adama Michnika (wcześniej wniosek w jego sprawie odrzucił Kaczyński), Aleksandra Halla, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Andrzeja Wielowieyskiego, Adama Strzembosza, Jerzego Buzka, Andrzeja Wajdy bądź Henryka Samsonowicza, którzy u prawicy nie mieliby szans. Z drugiej strony potrafił docenić w ten sam sposób niewątpliwe zasługi związanego z PiS Zbigniewa Romaszewskiego.

Ale jego dawni współpracownicy i tak mają dziś żal, że nie spieszył się bardziej. Uważają za niesprawiedliwość, że nie doczekał się najważniejszego orderu legendarny przywódca KPN Leszek Moczulski, który pod względem więziennego stażu w PRL rywalizował jedynie z Kuroniem. Komorowski miał przesunąć tę sprawę na swoją drugą kadencję, której już nie było. A dwa lata temu Moczulski umarł i jest już za późno. Innym pominiętym do dziś działaczem przedsierpniowej opozycji o porównywalnych zasługach pozostaje Andrzej Czuma, lider podziemnej organizacji Ruch oraz ROPCiO, również wieloletni więzień polityczny.

Podobnie rzecz się miała z młodszymi o pokolenie Bujakiem i Frasyniukiem. Ich również Komorowski zamierzał uhonorować Orderem Orła Białego w drugiej kadencji, żeby minęło więcej czasu od nadania orderów niższej rangi. Miało to uzasadnienie, tyle że również w tym przypadku okienko zamknęło się na co najmniej półtorej dekady. Tamto pokolenie bohaterów Solidarności ogólnie miało pecha, gdyż najpierw musiało czekać w kolejce po ordery, puszczając przodem pokolenie wojenne, a kiedy już miał

eprasa.pl 332c627450

nadejść ich czas, zmieniła się polityczna optyka i dzisiaj łatwiej jest dostać najwyższe odznaczenie dawnemu solidarnościowemu radykałowi niż ludziom z samego rdzenia wielkiego ruchu.

Po dekadzie Andrzeja Dudy niewiele już zostało z prestiżu Orderu Orła Białego. Ta historia w jakimś sensie wróciła do XVIII-wiecznych korzeni, kiedy z kryterium wybitności obchodzono się nader swobodnie. Już poprzednim prezydentom można było zarzucać, że używają orderów do realizowania własnych politycznych koncepcji. Ale mimo wszystko (z drobnymi wyjątkami) starali się wynosić osoby godne miejsca w panteonie.

Galopująca inflacja

W czasach Dudy to już nie było takie oczywiste. Jeśli nawet wynosił osoby o realnych zasługach w dawniejszych czasach – jak Macierewicza i Kornela Morawieckiego – to ich postawa po 1989 r. budziła głównie konsternację. Czy III RP powinna jednak honorować ludzi, którzy występują przeciwko tej formie państwowości? Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi, chociaż sprawę dałoby się pewnie łatwiej obronić, gdyby Duda potrafił zbalansować prawicowy przechył odznaczeniem kogoś podobnie zasłużonego z drugiej strony barykady. Tak się nie stało, pomijając przypadek nadania Orderu Orła Białego Henrykowi Wujcowi. Niestety już pośmiertnie, bo za życia ludzie z jego biografią nie byli mile widziani w Pałacu Prezydenckim.

Pod wieloma względami najbardziej dla czasów Dudy typowy był przypadek nadania Orderu Orła Białego Bronisławowi Wildsteinowi. Otoczonemu w swoim środowisku heroiczną legendą „niepokornego", który z czasem awansował do statusu mędrca. Chociaż jedno i drugie było mocno na wyrost. Wildstein miał godny szacunku epizod jednego z liderów studenckiej opozycji w Krakowie lat 70., ale szybko wyjechał z kraju i kolejną dekadę spędził na politycznej emigracji, nie zapisując się niczym szczególnym. Później był już tylko zaangażowanym prawicowym publicystą, który realizował się głównie w wojnach o lustrację, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się zupełną stratą czasu, gdyż trudno wskazać obiecywane wówczas przez Wildsteina korzyści moralne po otwarciu akt bezpieki. A kiedy temat się wyczerpał, zastygł w pozie marudnego krytyka nowoczesności.



Polityka orderowa przestała łączyć i od samego orderu dużo bardziej liczy się to, kto go nadaje.

I takich ludzi o wycinkowych zasługach i autorytecie już niemal wyłącznie środowiskowym Duda czynił kawalerami najważniejszego orderu niemalże hurtowo, gdyż za jego czasów inflacja miała również charakter ilościowy, bijąc rekordy nadań. Miał też szczególne upodobanie do wynoszenia księży, nie pomijał wreszcie luminarzy kultury bądź życia intelektualnego. Ale choćby chodziło o autora partytur, dziwnym trafem najczęściej miał on słuszne poglądy i jego nazwisko pojawiało się w odpowiednich komitetach społecznych przy okazji kampanii.

Kolejny raz powracał problem relatywności. Bo jeżeli dorobek filozofa Ryszarda Legutki jest wystarczający do nadania Orderu Orła Białego, to dlaczego nie zasłużyli na taki honor Jerzy Szacki, Zygmunt Bauman, Andrzej Walicki bądź Marcin Król (wszyscy odeszli w czasie prezydentury Dudy)? A w czym lepsi historycy Wojciech Roszkowski i Andrzej Nowak od Andrzeja Paczkowskiego (też już nieżyjącego) bądź Andrzeja Friszkego? Czy zaangażowany politycznie poeta Jan Polkowski nie powinien jednak poczekać w kolejce, bo dużo bardziej zasługiwał na Orła Białego jego krakowski krajan Adam Zagajewski? Ale on również musiał mieć niesłuszne poglądy, a potem odszedł i dzisiaj to już bez znaczenia.

Co jest na końcu tej drogi?

I tak docierając do końca długiej listy dam i kawalerów najwyższego polskiego orderu, przyjdzie nam dojść do wniosku, że już nie posiadamy miarodajnych wspólnotowych kanonów. Nadania Orderu Orła Białego to zresztą tylko najbardziej wyeksponowana część problemu, który dotyczy całej polityki orderowej. Ordery Odrodzenia Polski, kolejne pod względem prestiżu, tak samo nadawane są od wielu lat z wyraźnym prawicowym przechyłem.

Państwowe odznaczenia przede wszystkim powinny przynosić zaszczyt, ale tak już od dawna nie jest. W latach 90. głośny był przypadek Jerzego Giedroycia, który odmówił przyjęcia Orderu Orła Białego z rąk Lecha Wałęsy, z którego polityką się nie zgadzał. Kilka lat później krewni Kazimierza Pużaka i Zbigniewa Herberta (uhonorowanych pośmiertnie) wykonali podobny gest pod adresem „postkomunisty" Kwaśniewskiego. Ale to były incydenty, które paradoksalnie w najlepszym świetle stawiały ówczesnych prezydentów, będących w stanie doceniać zasługi swoich oponentów i krytyków. Od czasów Dudy to rzecz nie do pomyślenia i gdyby jego następca jakimś cudem postanowił teraz wznieść się ponad podział i odznaczyć kogoś z przeciwnego obozu, najpewniej taki gest zostałby uznany za próbę politycznej korupcji i w konsekwencji odrzucony. Polityka orderowa przestała bowiem łączyć i od samego orderu dużo bardziej liczy się to, kto go nadaje.

I pewnie nie należy sobie robić nadziei, że w epoce politycznej polaryzacji i cyfrowej segmentacji będziemy jeszcze w stanie uzgodnić wspólną pamięć. Co najwyżej wymusić równowagę pomiędzy tradycjami, do czego potrzebne są wygrane wybory. Tylko w sumie po co nam polityka orderowa, która już nie kreuje realnych autorytetów, a jedynie służy do politycznych przepychanek?

I jest coraz gorzej, gdyż do tej pory toczyły się one wyłącznie na krajowym boisku. Nadawanie orderów obcych państw wcześniej nie budziło większego zainteresowania, ale po awanturze z Zełenskim można się spodziewać, że to się teraz zmieni. Pojawiły się również pierwsze apele, żeby zrewidować panteon bohaterów naszej wolności, wyrzucając z niego kilka nazwisk. I, niestety, znając już całkiem nieźle nawyki obecnego prezydenta, jak również jego czarno-białe podejście do historii, nie można wykluczyć otwarcia w przyszłości również i takiej furtki. Chociaż skutki tego mogą być wyłącznie opłakane.

RAFAŁ KALUKIN

© MP

eprasa.pl 332c627450

Nowi wrogowie narodu

Populistyczna prawica wygrywa w Polsce wybory, gdy dobrze zdefiniuje wroga. Kiedy ostatnio tego zabrakło, musiała oddać władzę, ale dziś wyciąga wnioski. Kogo ustawią pod pręgierzem Kaczyński, Mentzen i Braun?

MICHAŁ DANIELEWSKI



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Trwa ostrzenie kos. Oddziały zwiadowcze rozpoznają bojem warunki na linii frontu i definiują przeciwnika. Już za chwilę kosy staną na sztorc, a gdy pełną parą ruszy kampania wyborcza, rozpocznie się krwawa młócka, jakiej polska demokracja jeszcze nie widziała, choć przecież widziała już sporo. To nie będzie klasyczna walka z władzą. Ani dobrotliwa licytacja na nierealne obietnice z kosmosu. Populistyczna prawica pójdzie na wybory, by wygrać je z wrogami Polek i Polaków. Scenę pod ten spektakl rozstawili już prezydent Karol Nawrocki oraz obie Konfederacje, a PiS skrupulatnie kroczy po ich śladach. Ramię w ramię będą gonili Ukraińca, darmozjada i skorumpowanych biurokratów, udowadniając, że Polska to dziś zasadniczo państwo obce, świadomie działające wbrew interesom obywateli. Badania socjologiczne zaś pokazują, że wielu ludziom ta gonitwa może się spodobać.

Kij narodowy

Wagę figury wroga we współczesnej polityce odkrył już lata temu Jarosław Kaczyński. Zrozumiał, że w skutecznej retoryce lepiej walczyć z przeciwnikiem zmitologizowanym, a nie po prostu z innym politykiem. Należało więc pokonać Niemców, którzy rozkazują Platformie Obywatelskiej. Ujawnić i ukarać spisek smoleński Putina, w którym polscy wspólnicy byli posłusznymi wykonawcami. Powstrzymać inwazję migrantów nasyłanych przez Zachód opłacający nasze uległe, kompradorskie elity. Wreszcie *last but not least* obronić polskie dzieci przed deprawacją LGBT narzucaną przez cynicznych ideologów z Brukseli, których rodzima lewica jest tylko ogłupionym naśladowcą.

Ta strategia była nie tylko zabójczo skuteczna w kontekście wyborczym, ale działała również długofalowo, paraliżując konkurencję strachem i prowokując ją do zmiany języka, by upodobnić się do zwycięzców. Po latach przesuwania debaty publicznej w stronę populistycznego, agresywnego wrzasku rzadko już to przepoczwarzenie zauważamy, bo stało się nową normą. Nawet na wskroś inteligencka partia Razem nie piętnuje teraz liberałów jako przeciwników politycznych, ale w przebraniu trybunów ludowych gardłuje przeciwko wrogom w postaci demonicznych, chciwych „koryciarzy”. Prawda czasu stała się

eprasa.pl 332c627450

prawdą języka i politycznej wyobraźni także dla podkreślającej swoją ideowość lewicy.

Tymczasem na prawicy starym wrogom skończył się termin ważności, czego boleśnie doświadczył PiS w 2023 r., gdy stare zaklęcia straciły swoją moc. Ani wróg odwieczny i egzystencjalny (Niemcy), ani kulturowy (LGBT), ani polityczny (Tusk) nie działali już wtedy na wyborców tak dobrze jak dawniej. A na wskazanie wroga etnicznego (Ukraińcy) niedługo po rosyjskiej agresji nie było wtedy w PiS jeszcze ani odwagi, ani przekonania.

Jednak to na naszych oczach właśnie się zmienia, tamta kampania się nie powtórzy. Na horyzoncie są już określeni kandydaci do napiętnowania i pokonania. A w okładaniu ich kijem narodowej i społecznej słuszności nie będzie żadnych hamulców ani granic.

Front jedności patriotów

Do pierwszego ataku sygnał dał Karol Nawrocki, odbierając Order Orła Białego prezydentowi Ukrainy, za nim ruszyły w zwartym szyku oddziały internetowego poszerzania narracji, zapamiętale tropiące (na razie głównie w sieci) banderowców oraz ich jawnych i ukrytych sojuszników. Operacja odebrania Orderu jest uzasadniana jako odpowiedź na ukraińską prowokację z oddziałem nazwanym imieniem bohaterów UPA oraz przedstawiana jako misternie utkana akcja dyplomatyczna, przydająca Polsce siły, znaczenia i honoru.

Wszystko to oczywiście opowieści dla naiwnych. Ukraińcy od dekady co rusz nazywają coś w hołdzie UPA albo jej zbrodniczych z polskiego punktu widzenia przywódców – taki mają bowiem narodowy panteon, który po wybuchu pełnoskalowej wojny z Rosją dodatkowo nabrał wewnętrznego, symbolicznego znaczenia. Jeśli nie byłoby więc tej prowokacji, nasza prawica szybko znalazłaby inną. Efektów dyplomatycznych odebrania orderu nie tylko zaś nie widać, ale nawet nikt nie potrafi wytłumaczyć, na czym miałyby w zasadzie polegać.

Trudno zresztą się temu dziwić, bo cała ta akcja nakierowana jest wyłącznie na obsługę politycznego rynku wewnętrznego. Konfederacja i prezydent Nawrocki sygnalizują w ten sposób narodową cnotę, ustawiając przy okazji całą scenę polityczną pod dyktando własnej nacjonalistycznej agendy. Zyski czerpie także PiS, który wreszcie ma okazję, żeby zmyć z siebie „winę" pomocy Ukraińcom po wybuchu wojny i oczyścić się zwłaszcza w oczach radykalnego elektoratu. Stąd ochocze wskazywanie ukraińskiej piątej kolumny w rządzie i podbijanie antyukraińskiego bębenka przy każdej możliwej okazji. Celem nie jest bowiem wpływ na politykę historyczną państwa ukraińskiego, ale radykalizowanie nastrojów i wykorzystanie w kampanii wyborczej rosnących negatywnych emocji wobec Ukraińców żyjących w naszym kraju.

Niestety, jest na czym budować. Negatywny stosunek do Ukraińców deklaruje dziś w badaniach (CBOS) aż 43 proc. Polek i Polaków, o wiele więcej niż do Niemców (30 proc.) i więcej niż do Żydów (40 proc.). Do tego niechęć systematycznie rośnie: w 2023 r. wyrażało ją zaledwie 17 proc. ankietowanych, w 2024 – 30 proc., a w ubiegłym roku – 38 proc. Prognoza, że w konsekwencji rozkręconej nagonki ten wskaźnik w kampanii wyborczej przekroczy 50 proc., wydaje się uzasadniona.

Antyukraińska histeria i budowany na jej bazie konstrukt „banderowskiego zagrożenia" będą też dla Kaczyńskiego poręcznym pretekstem do zawarcia powyborczego sojuszu z partią Grzegorza Brauna, od czego PiS dziś się jeszcze odżegnuje. Jednak już teraz retoryka frontu jedności patriotów i antybanderowskiej koalicji donośnie wybrzmiewa w słowach prezydenta Nawrockiego: oto nie ma w kraju wewnętrznych podziałów, bo „wszyscy patrioci" są razem i jednoczą się w pamięci ukraińskich zbrodni oraz rozumieją, że w Polsce „nie akceptujemy czerwono-czarnej banderowskiej flagi", pod którą tyle zła „zrobiono Polkom, Polakom, polskim dzieciom".

Kipiąca frustracja

Mimo niezłych wskaźników gospodarczych, dobrych nastrojów na rynku pracy i utrzymującego się zadowolenia z poziomu życia, widać w Polsce rosnącą społeczną frustrację. Tak jakby emocje skumulowane przez lata ciężkiej pracy i budowania własnego dobrobytu znalazły wreszcie swoje wygodne ujście w niechęci do Ukraińców.

„Rozmówcy, nie ukrywając negatywnych emocji, wyrażają sprzeciw wobec – ich zdaniem – nierównego traktowania obywateli Polski i obywateli Ukrainy, a tym, co szczególnie wzbudza wśród nich irytację i złość, jest sposób, w jaki Ukrainki i Ukraińcy korzystają z usług publicznych" – piszą analitycy CBOS we wnioskach z badań jakościowych przeprowadzonych w kwietniu tego roku. Rosną mity o szczególnych i nienależnych przywilejach ukraińskich współmieszkańców, zwłaszcza jeśli chodzi o dostęp do dóbr uważanych za reglamentowane i niewystarczające: do systemu ochrony zdrowia i mieszkań. Równolegle mamy też szerszą, ramową opowieść, w której państwo służy nie „nam", tylko „tamtym", rozdając rozmaite bonusy grupom, którym się to nie należy, a pozostałe w najlepszym razie lekceważy, a w gorszym – utrudnia im życie.

Ukraińcy mieszkający w Polsce stali się wygodnym kozłem ofiarnym, któremu towarzyszy dwóch pobocznych nowych wrogów: uprzywilejowana kasta darmozjadów ciągnących ze wspólnej kasy niezasłużone frukty oraz opanowane i wykorzystywane do własnych celów przez oderwanych od życia polityków opresyjne państwo. Emblematyczne dla tego światopoglądu są dwie historie, które ostatnio rozpaliły opinię publiczną.

Pierwsza dotyczy projektu ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów, która przez opozycję została sprawnie ubrana w szaty zasiłków dla mało utalentowanych leni. Według tej opowieści dochodzi tu do zapośredniczonego przez państwo rabunku: ten sam kraj, który nie potrafi zapewnić nam godnej ochrony zdrowia, usług, emerytur, bezczelnie przekazuje nasze ciężko zarobione pieniądze różnym uprzywilejowanym grupom. Ta sprawa wzbudziła tak ogromne, negatywne emocje oraz skupiła tak wiele uwagi, że spektakularnie przyćmiła nawet uchwalenie ustawy o związkach partnerskich, a przecież jeszcze niedawno to prawa osób LGBT+ były standardowym prawicowym diabłem. W opisywaną emocję wpisuje się również afera o specjalnej ścieżce przyjęć dla politycznych VIP-ów w warszawskim szpitalu.

Druga historia to przypadek urzędniczki skarbowej z Sopotu, która nałożyła mandat na właściciela jednej z pizzerii. Sprawa wzburzyła Krzysztofa Stanowskiego z Kanału Zero, który zaproponował – można domniemywać, że metaforycznie – by za karę urzędniczkę rozebrać i przywiązać do słupa na rynku. Brutalne słowa Stanowskiego rozpaliły debatę publiczną, szeroko potępiono je w medialnym głównym nurcie, ale wśród internetowych mas, zwłaszcza o tzw. antysystemowym nastawieniu, i wśród widzów Kanału Zero opowieść o państwie tak opresyjnym, ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ że aż obcym, wzbudziła duże zrozumienie. Puentę dopisała informacja z ostatnich dni o zaatakowaniu kamieniami budynku warszawskiego urzędu skarbowego.

PiS, Konfederacja, Braun oraz sympatyzujące z nimi otoczenia medialne skutecznie i systematycznie odmalowują obraz dzisiejszej Polski jako państwa, któremu nie wolno ufać, przejętego przez wewnętrznych wrogów i wykorzystywanego na różne sposoby przeciwko ciężko pracującym obywatelom. Państwa, które jak najszybciej należy odzyskać.

Kraj ukradziony przez wrogów

Coraz mocniej czuć w powietrzu atmosferę podobną do tej z 2014 i 2015 r. Wtedy opowieść o Polsce jako o państwie w ruinie, które dodatkowo chce wpuścić na swoje terytorium tysiące muzułmańskich migrantów, pozbawiła władzy koalicję PO-PSL. Państwo oczywiście w ruinie nie było, więcej – zaczęło się właśnie podnosić po stagnacji wywołanej przez światowy kryzys z 2008 r. (z czego notabene po przejęciu władzy PiS szybko skorzystał). Nie groziła nam również inwazja migrantów. Ale nieudolna komunikacja rządzących, kryzys przywództwa w koalicji oraz skumulowana po kryzysowych latach frustracja zaowocowały zwycięstwem PiS.



Dziś nie ma mowy o ruinie, wręcz przeciwnie, słyszymy o państwie obiektywnie bogatym, ale ukradzionym zwykłym Polakom. Przez pasożytujących na nas, niewdzięcznych Ukraińców. Przez kastę polityków rozdających po uważaniu przywileje grupom społecznym, którym się one nie należą. Wreszcie przez biurokrację torpedującą nasze wysiłki na rzecz poprawy jakości życia. We wspomnianym już badaniu CBOS donośnie wybrzmiewa potrzeba kraju, który w relacji z partnerami zagranicznymi pilnuje narodowego interesu i maksymalizuje własne korzyści, a jednocześnie wewnętrznie wsłuchuje się w głos obywateli i działa przede wszystkim na ich rzecz. Zarazem jako podstawa nowego społecznego zdrowego rozsądku coraz mocniej ugruntowuje się teza, że państwo jest empatyczne wobec „tamtych", natomiast wrogie wobec „nas".

Sytuację z 2014 r. przypomina również dojmująca pasywna narracja obozu władzy, którego szczytem ambicji jest, aby jeszcze przez chwilę, miesiąc, rok utrzymać się na powierzchni i nie utopić w rwącym nurcie dominujących nastrojów. Rządzący nawet dobrze rozpoznają społeczne emocje, ale nie po to, żeby je zmieniać, ale aby im ulegać. Stąd twarda i brutalna praktyka działania wobec migrantów na granicy z Białorusią, stąd dużo bardziej niż za rządów PiS asertywna polityka zarówno wobec Ukrainy, jak i Ukraińców w Polsce, stąd wreszcie kolejne inicjatywy antybiurokratyczne i deregulacyjne. Problem w tym, że w tych tematach to zawsze prawicowa opozycja będzie siłą rzeczy bardziej radykalna, głośniejsza i zazwyczaj również bardziej wiarygodna. Tym samym próba wytrącania jej broni z ręki kończy się w praktyce oddaniem jej pola.

Koniec ery uników

A sytuacja jest naprawdę poważna i niebezpieczna. Pierwszy raz w historii III RP politycznie wykreowany główny wróg nie tylko jest wewnętrzny, ale również liczny i łatwo rozpoznawalny. Mówimy przecież o liczbie ok. 1,5 mln Ukrainek i Ukraińców żyjących oraz w większości pracujących w Polsce. Mówimy o osobach, które ze względu na swój język lub akcent są dla każdego banalnie łatwe do zidentyfikowania: za ladą w sklepie spożywczym, na ulicy, koncercie, w taksówce. Mieliśmy (i wciąż mamy w wykonaniu Brauna) w Polsce kampanie polityczne oparte na antysemityzmie, mieliśmy władzę PiS, która przez lata z cyklicznych homofobicznych nagonek uczyniła swój sposób działania, ale nigdy wcześniej celowe rozkręcanie politycznej kampanii niechęci nie dotyczyło grupy nie tylko licznej, lecz również tak istotnie, wyraziście obecnej w naszym codziennym życiu.

Co gorsza, łatwo też przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Zacznie się dzielenie po uważaniu Ukraińców w Polsce na tych dobrych, wdzięcznych i pokornych oraz na złych banderowców, którzy nienawiść do Polaków wyssali z mlekiem matki. To z kolei będzie nakręcało spiralę ksenofobii i wzajemnej niechęci, a społeczna atmosfera stanie się napięta i mroczna. Skokowo wzrośnie ryzyko głośnych konfliktów oraz incydentów z udziałem przemocy. A każde z tych zdarzeń będzie wykorzystywane przez populistyczną prawicę jako potwierdzenie ich tez: że Ukraińcy się panoszą, a państwo nie działa w interesie zwykłych obywateli.

Szacunek dla mniejszości, równość, definiowanie wspólnoty jako fenomenu politycznego, a nie etnicznego to fundamenty demokratyczno-liberalnego porządku, którego wyznawanie – przynajmniej deklaratywnie – jest aksjologiczną podstawą obecnej władzy. Nie byłoby więc chyba niczym nadzwyczajnym oczekiwać od rządzących, by jednoznacznie stanęli w kontrze do szowinistycznych nastrojów, nawet jeśli stają się nastrojami większości. Zamiast tego mamy jednak defensywne niuansowanie. Premier Tusk mówi, że „cały świat był pod wielkim wrażeniem" pomocy Polaków dla setek tysięcy Ukrainek i Ukraińców, że nie będzie ulegał nastrojom i sondażom, ale też że rozumie „bardzo często uzasadnioną irytację ludzi". Widzimy również próbę przeniesienia sporu na poziom bardziej abstrakcyjny jako konfliktu dwóch nakręcających emocje prezydentów: Zełenskiego i Nawrockiego.

To dość oczywisty pomysł ustawienia się w centrum, kłopot w tym, że to centrum jest dziś raczej puste. A polityczne lawirowanie pozostawia w osamotnieniu wciąż całkiem istotną grupę wyborców, którzy zarazem są przerażeni powszechnością ksenofobicznej retoryki i jednocześnie stale bombardowani prawicową propagandą i fake newsami. Od polityków potrzebują zaś jednoznacznego potwierdzenia, że wartości, w które wierzą, ciągle mają sens. I dziś tego od rządzących polityków nie dostają.

A wyborczy walec PiS, Konfederacji i Brauna pod patronatem prezydenta Nawrockiego właśnie ruszył. Co więcej, mimo chwilowych, wewnętrznych sporów będzie sunął w jednym kierunku aż do dnia głosowania, usuwając z drogi wrogów z Ukrainy i wyrównując ścieżkę do odzyskania zagrabionego państwa, aby Polak mógł wreszcie w pełni korzystać z Polski. Tym samym dla koalicji 15 października kończy się era narracyjnej kosmetyki, drobnych poprawek, uników i retuszy. Rozpędzającej się machinie populistycznej prawicy trzeba przeciwstawić własną: z własnymi wartościami, sensem i planem działania. Albo przyjdzie walec. I wyrówna.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 332c627450

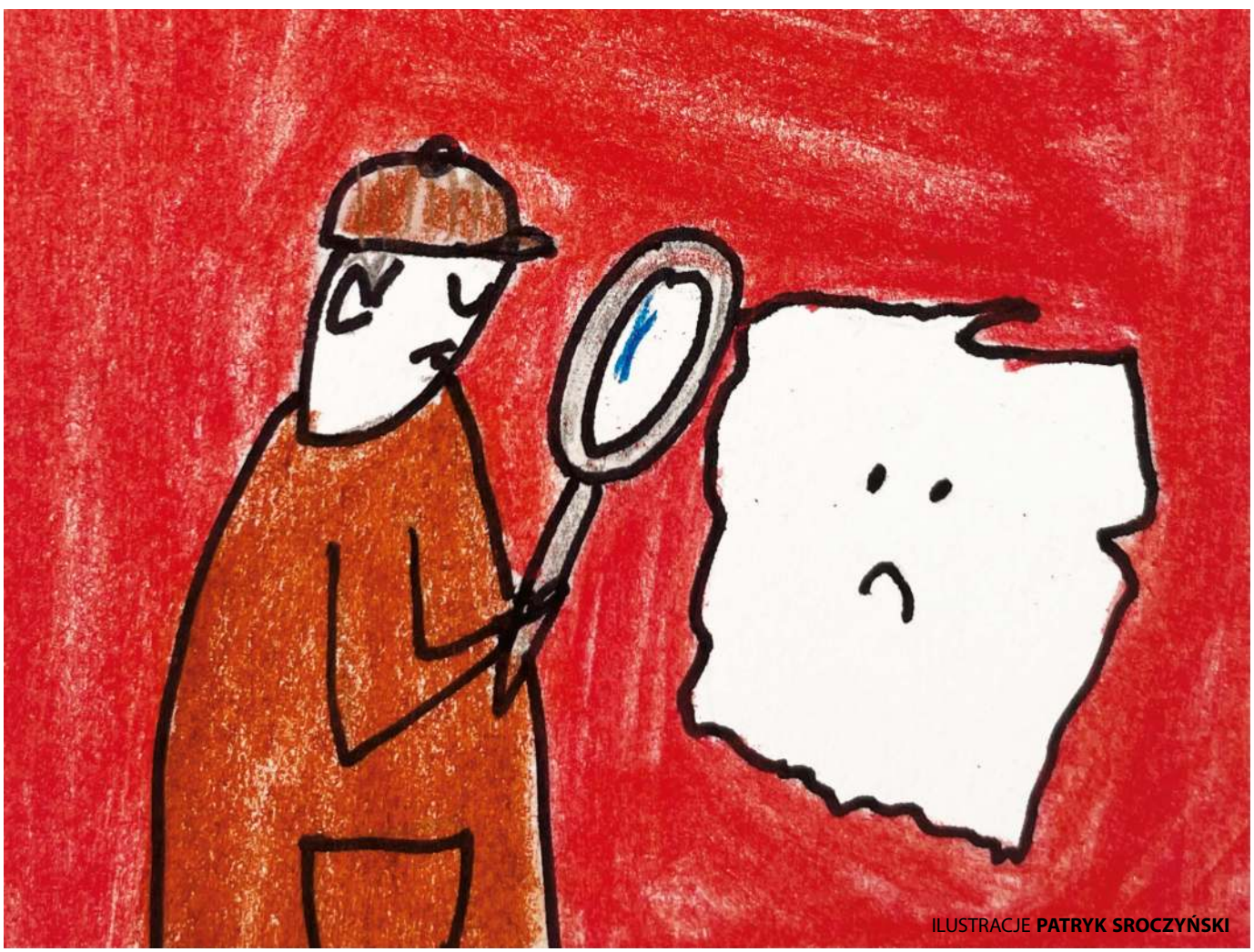
Dyplomacja dotacji

Władza się zmieniła, polityczne powiązania przetrwały. Audyt w MSZ pokazuje, jak i komu za rządów PiS przyznawano w tym resorcie publiczne pieniądze.

ANNA DĄBROWSKA

Audyt Krajowej Administracji Skarbowej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w zakresie przyznawania środków publicznych przez ostatnie trzy lata rządów Prawa i Sprawiedliwości wykazał m.in., że minister Zbigniew Rau udzielił bezprawnie 109 dotacji na 48 mln 313 tys. zł. Kontrolerzy prześledzili tysiące dokumentów, wyciągów bankowych i wyjaśnienia pracowników. „Dotacje zostały udzielone nie tym podmiotom, które w wyniku oceny merytorycznej uzyskały najwyższą punktację od komisji konkursowej, lecz tym, które zostały wskazane do zawarcia umowy dotacji przez właściwego członka kierownictwa MSZ" – napisali kontrolerzy.

Kontrola trwała ponad dwa lata i zakończyła się w kwietniu. POLITYKA zapoznała się z ponad 550-stronicowym ▶



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl 332c627450

▶ sprawozdaniem. Opisujemy tylko kilka przykładów, jak pieniądze dzielono po uważaniu i na polityczne zlecenie. Okazuje się, że ważnymi rozdającymi byli wiceministrowie MSZ z PiS – Szymon Szynkowski vel Sęk i Paweł Jabłoński, dziś zaangażowani w stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego.

Argumentacja co najmniej chybiona

W konkursie „Dyplomacja publiczna 2022" celem było kształtowanie pozytywnego wizerunku Polski na arenie międzynarodowej, w tym „obrona dobrego imienia Polski poprzez monitorowanie działań o charakterze zniekształcającym i dyfamacyjnym oraz adekwatne reagowanie na nie". Ministerialna komisja rekomendowała udzielenie dotacji dla 31 projektów na łączną kwotę 3,9 mln zł. Wiceminister Szynkowski vel Sęk dokonał licznych modyfikacji na przedłożonej mu liście wybranych podmiotów. Ośmiu odmówił, a dwunastu z listy rezerwowej przyznał pieniądze. Niczego nie uzasadniał.

Obdarował kwotą 100 tys. zł fundację o. Tadeusza Rydzyka Lux Veritatis (LV), którą komisja umieściła na 59. miejscu listy rezerwowej. Za te pieniądze LV miała przygotować i wyemitować na antenie TV Trwam, a więc też należącej do redemptorysty, trzy filmy dokumentalne o generałach Maczku, Sosabowskim i Andersie. Jak ocenili eksperci z komisji, „argumentacja oferenta, zgodnie z którą, jeżeli trzy czwarte populacji korzysta z internetu, a film będzie dostępny na stronie internetowej TV Trwam, to odbiorcami będzie ponad 3 mln osób, jest co najmniej chybiona".

Rok później, także w ramach konkursu „Dyplomacja publiczna", wiceminister Piotr Wawrzyk zdecydował, że wbrew rekomendacji ekspertów (umieścili projekt na 33. miejscu listy rezerwowej) MSZ przekaże pieniądze na trzy 15-minutowe odcinki, w których historycy z Instytutu Pamięci Narodowej i Uniwersytetu Jagiellońskiego będą omawiać zbrodnię katyńską. Filmy miały być emitowane na stronie LV i w TV Trwam. W maju 2023 r. podpisano umowę dotacyjną na 125 tys. zł.

Opiniotwórcze siostry zakonne

W tym samym rozdaniu i także po uważaniu wiceministra Wawrzyka 100 tys. zł (mimo 50. miejsca na liście rezerwowej) otrzymała bliska Jarosławowi Kaczyńskiemu Fundacja Polska Wielki Projekt. Za tę kwotę zorganizowano jednodniową konferencję na Chorwackim Uniwersytecie Katolickim „Dezinformacja – wyzwanie XXI wieku". Miała z tego powstać publikacja, ale materiały ukazały się tylko na stronie Fundacji.



Chorwacka konferencja Fundacji Polska Wielki Projekt. Jako ciało decyzyjne i opiniotwórcze wzięła w niej m.in. udział grupa zakonnic.

„Co do zawartości merytorycznej należy zauważyć, że jest to kolejny projekt, którego beneficjentami są: organizator i grono osób z nim współpracujących oraz kilku pracowników naukowych, którzy otrzymują wynagrodzenie za prelekcje". Znaczną część pieniędzy pochłonęły koszty przelotów, wyżywienie i zakwaterowanie. Na zdjęciach na stronie PWP widać, że w konferencji wzięło udział „około 30 osób, a część widowni stanowiły siostry zakonne, które trudno uznać za decydentów i środowisko opiniotwórcze, a takie miało być zgodnie z ofertą adresatem projektu".

W lipcu 2023 r. komisja konkursowa zarekomendowała wiceministrowi Jabłońskiemu dotację dla dziesięciu projektów w ramach konkursu „Pomoc humanitarna 2023". Jednak 7 sierpnia do komisji wpłynął mail od asystenta Jabłońskiego, w którym zmienił listę beneficjentów. Na nowej liście również znalazło się dziesięć projektów, ale tylko trzy z nich zostały wcześniej zarekomendowane przez komisję. 7,2 mln zł wiceszef MSZ miał rozdać wbrew rekomendacjom. Wcześniej 24 ekspertów pracowało nad oceną ofert przez dwa miesiące i wszyscy złożyli oświadczenia o braku konfliktu interesów. Wiceministrowi wystarczył jeden mail do zmiany ich decyzji.

Na liście przekazanej przez Jabłońskiego jest Stowarzyszenie Bezpieczna Lubelszczyzna, które otrzymało 522 tys. zł na projekt „Bezpieczny uchodźca – kompleksowa pomoc osobom dotkniętym konfliktem zbrojnym na Ukrainie". Eksperci dali mu zero punktów na 30. Wskazali m.in., że twierdzenia o braku żywności we Lwowie i w Kijowie nie są prawdziwe, że zakup z publicznych środków żywności i środków higieny w Polsce i kosztowny ich transport do Ukrainy to marnotrawstwo. Negatywną rekomendację dała także polska placówka dyplomatyczna. W sprawozdaniu KAS czytamy, że ta kwota powinna zostać zwrócona.

Latem 2023 r. Stowarzyszenie Bezpieczna Lubelszczyzna otrzymało od Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (czyli Morawieckiego) 3,38 mln zł z rezerwy budżetowej, przeznaczonej głównie na wypłatę środków w sytuacjach nagłych. Stowarzyszenie dostało tę kwotę na zajęcia dla kobiet, które firmowała posłanka PiS Monika Pawłowska. Z kontroli przeprowadzonej przez KPRM po zmianie władzy wynika, że projekt był elementem kampanii wyborczej. Billboardy ze zdjęciem Pawłowskiej zachęcały kobiety z Lublina i powiatu lubelskiego do udziału w kursach samoobrony i pierwszej pomocy.

W PiS nie dziwią się, że Morawiecki zgodził się na wydanie publicznych pieniędzy na kampanię, której twarzą była Pawłowska. W 2021 r. to on zabiegał o to, by przeszła z Lewicy do klubu PiS. Zarówno ona, jak i Jabłoński należą do frakcji Morawieckiego, a w kwietniu dołączyli do stowarzyszenia Rozwój Plus.

Brak kryteriów

W maju 2022 r. w MSZ ruszył konkurs „Pomoc Humanitarna 2022", chodziło głównie o wsparcie Ukrainy, na co przeznaczono 12 mln zł. Komisja rekomendowała osiem projektów, ale wiceminister Jabłoński odrzucił trzy, m.in. Polskiego Zespołu Humanitarnego (87 pkt na 100) i Stowarzyszenia Polska Misja Medyczna (81 pkt) i wskazał trzy z listy rezerwowej.

© POLSKAWIELKIPROJEKT.PL, TVN24

eprasa.pl 332c627450

Wśród nich Fundację Leny Grochowskiej (65 pkt). To żona Władysława Grochowskiego, właściciela grupy deweloperskiej Arche, który w styczniu br. wynajął jeden ze swoich hoteli na kongres Korony Grzegorza Brauna.

Istotą projektu Fundacji było zapewnienie schronienia dla ok. 660 osób z Ukrainy w tzw. domach uchodźczych. To nieruchomości pozyskane od firm i instytucji w bezpłatnym użyczeniu. Wśród nich są budynki w Ożarowie Mazowieckim (od Arche), Konstancinie-Jeziornie (Metsa Tissue Poland), Sannikach (przekazany przez Urząd Miasta i Gminy Sanniki) i Lublinie (Uniwersytet Medyczny w Lublinie). Na utrzymanie tam uchodźców pozyskano z MSZ 2 mln 490 tys. zł. Partnerem projektu była Grand Circle Foundation z Bostonu (od dawna współpracująca z Arche), która finansowała adaptację i wyposażenie domów. Prawdą jest, że za swoją działalność Fundacja odbierała prestiżowe nagrody, jednak – jak czytamy w raporcie KAS – pieniądze z MSZ zostały przyznane po uważaniu wiceministra z PiS, a nie na podstawie ustawowych kryteriów. I tu znów pojawiają się powiązania prezesa grupy Arche z politykami. Przypomnijmy, że gdy zrobiło się głośno wokół kongresu braunistów, Grochowski zarzekał się, że o niczym nie wiedział.

Grupa Arche jako deweloper zbudowała 10 tys. mieszkań, należy też do niej 20 hoteli, głównie tzw. condohoteli, których budowę sfinansowali drobni inwestorzy. Arche nimi zarządza, dzieląc się zyskami. Wielu samorządowców nazywa ten proceder patodeweloperką. Mieszkania na wynajem są malutkie, nie ma tu wystarczającego dostępu do światła, a w okolicy – odpowiedniej infrastruktury. Wiceminister rozwoju i technologii Tomasz Lewandowski przygotował nowelizację ustawy o własności lokali, która ma to ukrócić. Jak pisała Joanna Solska w POLITYCE 7, gdyby weszła w życie, biznes Grochowskiego i wielu innych deweloperów byłby zagrożony. Grochowski jako największy deweloper zarządzający condohotelami w kraju ostro przeciw temu lobbuje. Sojuszników znalazł wśród narodowców i w PiS. 25 marca Karol Nawrocki powołał go jako doradcę do Rady Biznesu w Kancelarii Prezydenta.

Wydatki okołoświąteczne

Kiedy w kwietniu 2024 r. ukazał się raport NIK na temat niektórych dotacji przyznawanych w MSZ, były asystent wiceministra Jabłońskiego wyjaśnił kontrolerom Izby: „Minister wydał mi polecenie służbowe przygotowania notatki decyzyjnej – o ile dobrze pamiętam, ustnie – skierowanej do przewodniczącej komisji. Wskazał projekty, które mają otrzymać dofinansowanie. Zakładałem, że jest to zgodne z regulaminem".

Po publikacji raportu Jabłoński pisał na X, że wszystkie dotacje przyznano zgodnie z regulaminem, a rekomendacje nigdy nie miały wiążącego charakteru. Kontrolerzy KAS podważyli te tłumaczenia, bo choć opinie komisji konkursowej nie są dla ministra wiążące, to nie może on przyznawać dotacji bez rzetelnego uzasadnienia. W przypadku odrzucenia rekomendacji powinien wyjaśnić swoje motywy, wskazując inne podmioty, które otrzymały dotację. Nie zrobił tego i dlatego jego decyzja jest uznawana za dowolną i sprzeczną z obowiązującymi przepisami i trybem konkursowym.

Mimo braku rekomendacji pieniądze trafiły też np. do Fundacji Klaster Innowacji Społecznych, która dostała w dwóch konkursach 1 mln 342 tys. zł. Wnioskowała o środki m.in. na pomoc humanitarną dla ludności w Ukrainie. Eksperci zwracali uwagę, że wskazany przez Fundację partner lokalny (Fundacja Cerberus) nie widnieje w żadnym ukraińskim rejestrze i nie ma o niej żadnej informacji w internecie.

Fundacją kieruje Petros Tomavsyan, wówczas działacz Partii Republikańskiej Adama Bielana, rozwiązanej w grudniu 2023 r., kiedy ten ostatni wstąpił do PiS. To nie pierwsza publiczna dotacja dla tej organizacji. Jak opisywały wcześniej media, Klaster na zakup i remont ośrodka w Międzybrodziu Bialskim dostał m.in. 320 tys. zł z Funduszu Patriotycznego, 307 tys. zł z Narodowego Instytutu Wolności i 93 tys. zł z Funduszu Promocji Kultury.

Wiceminister Jabłoński zdecydował też o przyznaniu dotacji Fundacji „Hagia Marina", którą kieruje Patryk Panasiuk, w przeszłości współpracownik Porozumienia Jarosława Gowina i ekspert ds. polityki międzynarodowej w biurze ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka. Na projekt Polska-Ukraina: Sąsiedztwo 4.0 (w 2021 r.) oraz „Polska – Ukraina: Sąsiedztwo Przyszłości" (w 2023 r.) przekazano ponad milion złotych.

W pierwszym projekcie celem było wyrównanie szans ukraińskiej młodzieży w zakresie innowacyjnej przedsiębiorczości i europejskich standardów rynku pracy. Jak wskazał jeden z ekspertów komisji konkursowej, „nie jest jasne, dlaczego zaplanowano przyjazd do Polski dwóch grup po 30 osób i ich przeszkolenie w Polsce. Nie jest jasne, dlaczego takie działania planowane były w czasie pandemii".

Długa droga do rozliczeń

KAS wydał zalecenia pokontrolne. To m.in. wdrożenie rozwiązań gwarantujących wybór ofert wyłącznie na podstawie rzetelnej oceny merytorycznej na które przekazano pieniądze.

KAS skierował też zawiadomienia do Prokuratury Krajowej. Łączna kwota zawiadomienia to ponad 45 mln zł. Sprawą dziś zajmuje się Prokuratura Okręgowa w Kielcach, a jej rzecznik prasowy wyjaśnia: – *Postępowanie prowadzone jest w sprawie, materiał dowodowy zgromadzono w kilkudziesięciu tomach. Gromadzone są dokumenty i przesłuchiwani świadkowie. Czynności zaplanowano na co najmniej kilka miesięcy.*

ANNA DĄBROWSKA



Plakat posłanki PiS Moniki Pawłowskiej, czyli kampania wyborcza pod płaszczykiem społecznym

Biznes we krwi

W medycynie niewiele jest historii bardziej fascynujących niż los krwi pępowinowej, którą przez setki lat uznawano za odpad, a która nagle zaczęła być przechowywana jak skarb. Są poważne wątpliwości, czy jest nim naprawdę.

PAWEŁ WALEWSKI

Prokuratorzy dwóch amerykańskich stanów – Teksasu i Arizony – postanowili dobrać się do skóry firmom obiecującym rodzicom nowo narodzonych dzieci medyczne cuda. Na celowniku znalazł się największy w branży prywatny bank krwi pępowinowej Cord Blood Registry z Tucson, któremu zarzucono sprzedawanie marzeń przebranych za medycynę. Według pozwów firma przekonywała przyszłych rodziców, że zamrożona krew pępowinowa może pomóc w leczeniu ponad 80 chorób, a jej przechowywanie jest „jedyną okazją w życiu".

Rzeczywistość jest mniej spektakularna. Prywatnie przechowywaną krew pępowinową wykorzystuje się bowiem niezwykle rzadko; od 2010 r. w USA zaledwie w kilkunastu przypadkach użyto jej u pacjentów, którzy mieli ją zdeponowaną. Za to jej gromadzenie rozwinęło się w niemały biznes. W prywatnych amerykańskich bankach czekają ponad dwa miliony tzw. jednostek, a system publiczny ma ich setki tysięcy do przeszczepień dla osób niespokrewnionych. Przez lata właśnie ten model był przedstawiany jako wzór solidarności transplantacyjnej.

W Polsce rynek bankowania krwi pępowinowej również istnieje, choć w mniejszej skali. W wyniku konsolidacji na placu pozostał w zasadzie jeden dominujący gracz, Polski Bank Komórek Macierzystych (PBKM), oraz spółka Progenis. Obie firmy mają ogólnokrajowy zasięg, choć laboratorium PBKM znajduje się w Warszawie, a Progenisu – w Krakowie. Na stronie internetowej spółki podkreślono ponad 22 lata działalności, ale brak danych o liczbie przechowywanych próbek. Z kolei w PBKM, które rozpoczęło działalność w 2002 r. i jest częścią dużej europejskiej grupy FamiCord, zdeponowano ponad milion tkanek popłodowych, z czego 60 proc. stanowi krew pępowinowa z różnych krajów Europy. Wbrew swojej nazwie to również firma prywatna i jeśli chodzi o język, którego używa w reklamach kierowanych do rodziców, jest on łudząco podobny do tego, który w Ameryce wzięli pod lupę prokuratorzy. Dlatego i u nas warto przyjrzeć się tej narracji, bo nadzieja, szczególnie przy narodzinach, bywa towarem wyjątkowo drogim.

Polisa na wszelki wypadek

Na sali porodowej wszystko trwa kilka minut. Noworodek już oddycha samodzielnie, pępowina została przecięta. Rodzice po raz pierwszy patrzą na swoją pociechę, położna wykonuje rutynowe



Od ponad 20 lat setki rodziców w Polsce płacą za przechowywanie krwi pępowinowej swoich dzieci. W europejskiej transplantologii od jej wykorzystania się jednak odchodzi.

eprasa.pl 332c627450



© AMELIE-BENOIST/BSIP/EAST NEWS

czynności. W normalnych okolicznościach krew pozostająca w pępowinie i łożysku za chwilę trafiłaby do odpadów medycznych. Ale czasami nie trafia i zostaje umieszczona w specjalnym worku, który kurier zabierze do laboratorium. Stamtąd, po serii badań, przeniosą ją do kriogenicznego zbiornika, gdzie przez lata będzie przechowywana w temperaturze niemal 200 stopni poniżej zera.

To jedna z najdziwniejszych polis ubezpieczeniowych, ale od ponad dwóch dekad setki rodziców w Polsce płacą za nią niemałe pieniądze. Podstawowy pakiet obejmuje opłatę wstępną (ok. 300 zł) za zestaw do pobrania, kolejną na badania wstępne (co najmniej 2,5 tys. zł w zależności od tego, czy jest to sama krew pępowinowa, czy również tzw. sznur pępowiny i łożysko) oraz comiesięczny lub roczny abonament za przechowywanie (w sumie rocznie ok. 650 zł). Tomasz Baran, wiceprezes PBKM, nie chce zdradzić, ile kobiet się na to decyduje: – *Odsetek ten jest właściwie stały, ok. 2–3 proc. rodzących rocznie.*

Firma dużo robi, aby je do tego zmotywować – od 2019 r., przez trzy kolejne lata, w standardzie opieki okołoporodowej był nawet obowiązek uwzględniania w edukacji ciężarnych informacji o możliwości bankowania krwi pępowinowej, póki Ministerstwo Zdrowia się nie zorientowało, że może on sugerować szczególną rekomendację państwa, choć stoi za tym prywatna firma. – *To była ewidentna wrzutka PBKM* – mówi szef jednej z klinik położniczych, na którym bank wywierał wówczas presję, dopytując, czy ów standard właściwie realizuje, skoro nie zapraszano jego przedstawicieli na regularne wykłady w szkole rodzenia. – *Grzecznie pogoniłem, wyjaśniając, że to nie PBKM jest upoważniony do sprawowania kontroli nad realizacją standardu. Ale jak nie drzwiami, to oknem – pracowały u nas położne, które miały podpisane umowy na pobieranie tej krwi.*

Dziś nakazu informowania o bankowaniu nie ma, ale który rodzic, słysząc o „polisie ubezpieczeniowej" dla własnego dziecka, nie będzie chciał wysupłać kwoty na wyprawkę premium? – *Czujesz się jak zła mama, jeśli tego nie zrobisz* – mówi pani Dorota. – *Miałam przy głowie lufę poczucia winy i nawet się nie zorientowałam, że to prywatny biznes podsuwa mi terminal płatniczy.*

Na stronie PBKM „Opinie naszych klientów" trudno znaleźć język medycyny opartej na dowodach. Dominuje słownik emocji: „inwestycja", „polisa na życie", „dowód miłości". Jedna z matek pisze, że bankowanie to „najlepszy sposób, by po raz pierwszy powiedzieć dziecku: kocham", inna przekonuje, że nie chciałaby pluć sobie w brodę, że zmarnowała jedyną szansę na uratowanie życia dziecka. Nie brakuje opinii aktorek, dziennikarek, sportowców. Trudno o bardziej wyrafinowany marketing niż taki, który zręcznie przekształca decyzję finansową w test rodzicielskiej odpowiedzialności.

Moda na bankowanie

Niemal identycznych słów używają nasi rozmówcy. Tyle że w ich opowieściach, pozbawionych reklamowego retuszu, pobrzmiewają też wątpliwości. Pan Robert, ojciec dwóch córek, wspomina, że gdy pierwsza przyszła na świat w 2008 r., bankowanie było wręcz modą: – *Wspartą autorytetem lekarzy i prostym mechanizmem psychologicznym: a co, jeśli czegoś nie dopilnujemy? Przy drugim dziecku zadziałał syndrom równości – skoro płaciliśmy już na pierwsze dziecko, to przy drugim nie wypadało zaniechać.* ▶

Prenumerata.pl 332c627450

▶ Jego teściowa, ginekolożka, przekonywała rodzinę, że warto. Szkoły rodzenia także o tym mówiły. A skoro istnieje nowoczesna metoda leczenia, wspierana przez ekspertów, to rozsądny rodzic powinien z niej skorzystać. Dziś zmieniły się kanały dotarcia. Ewa, która właśnie została mamą, mówi, że w jej szkole rodzenia tematu co prawda nie poruszano, za to algorytmy Instagrama i Facebooka wiedzą doskonale, kto jest w trzecim trymestrze. – *Takie reklamy wyświetlają się matkom bardzo często* – opowiada. Szpital pyta już właściwie tylko, czy rodzice mają z PBKM własny zestaw do pobrania.

W najnowszej informacji prasowej firma ta przekonuje, że przeszczepienia komórek z krwi pępowinowej stanowią „fundament nowoczesnej hematologii i transplantologii". Ale międzynarodowe raporty temu przeczą: 2024 r. (najświeższe dane) był już kolejnym, kiedy liczba takich transplantacji skurczyła się w całej Europie o 6 proc. Na 47 tys. przeszczepień było zaledwie 242 tych z krwi pępowinowej, w tym tylko u dwojga pacjentów wykorzystano ich własną!

Bo choć medycyna zrobiła ogromny postęp od pierwszego takiego udanego zabiegu w 1988 r. (przypadek Matthew Farrowa z tzw. niedokrwistością Fanconiego) i światowe wytyczne zrównały je ze szpikiem oraz krwią obwodową jako równoprawne źródło pozyskiwania komórek do transplantacji, to współczesna hematologia rozwija się w innym kierunku. – *W całej grupie FamiCord od 2002 r. odnotowaliśmy 270 wydań, z czego połowa była w hematologii* – informuje Tomasz Baran (ta druga połowa to stosowanie komórek macierzystych w eksperymentalnych terapiach schorzeń genetycznych i neurologicznych). Czy to jest liczba, która uzasadnia komercyjną narrację o „polisie biologicznej" albo o fundamencie hematologii? Dlaczego nie przyznać, że transplantolodzy częściej wybierają inne opcje?

Historia upadłej nadziei

Gdyby cofnąć się do końca lat 80. XX w., krew pępowinowa wyglądałaby jak jedna z najbardziej obiecujących technologii współczesnej medycyny. Świeżo odkryto, że zawiera komórki macierzyste zdolne do odbudowy układu krwiotwórczego. – *Wielu wierzyło, że znaleziono rozwiązanie jednego z największych problemów transplantologii, czyli chronicznego braku dawców* – mówi prof. Marek Ussowicz, pediatra i onkolog dziecięcy z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. – *Na przełomie lat 70. i 80. przeszczepy były robione wyłącznie ze szpiku kostnego. Nie było praktycznie dawców niespokrewnionych, bo niewiele wiedziano o tzw. zgodności HLA.*

Krew pępowinowa wydawała się idealnym źródłem komórek do przeszczepów w leczeniu białaczek i podobnych chorób. Można było ją stosować nawet przy częściowej niezgodności tkankowej. W czasach, gdy światowe rejestry dawców praktycznie nie istniały, była to ogromna przewaga. W latach 90. popularność tej metody rosła na świecie lawinowo. W USA nawet jedna czwarta dziecięcych transplantacji była wykonywana właśnie z wykorzystaniem krwi pępowinowej.

Ale później wydarzyło się coś, co całkowicie zmieniło krajobraz transplantologii. – *Powstały ogromne rejestry dawców szpiku. Rozwinęły się techniki dokładnego doboru zgodności tkankowej. Wreszcie pojawiły się przeszczepienia haploidentyczne, czyli od dawców zgodnych jedynie w połowie – najczęściej rodziców, rodzeństwa lub dzieci pacjenta, co jest dość proste i tańsze* – wylicza prof. Ussowicz. W historii medycyny bardzo często przegrywa nie ten wynalazek, który jest gorszy. Przegrywa ten, który okazuje się mniej potrzebny. I być może tak stało się z krwią pępowinową.



Próbki komórek macierzystych, przechowywane w ciekłym azocie w laboratorium

W obecnej debacie o znaczeniu krwi ścierają się dwa równoległe światy. Pierwszy opisują transplantolodzy leczący pacjentów. Drugi tworzą badacze patrzący na przyszłość terapii komórkowych. W pierwszym świecie dominuje przekonanie, że krew pępowinowa wcale nie musi być idealnym rozwiązaniem, zwłaszcza jeśli chodzi o przeszczepy z „własnych" próbek, a ponadto wyniki transplantacji od dawców niespokrewnionych tak bardzo się poprawiły i są oni dostępni właściwie „od ręki", że nie ma sensu liczyć na krew pępowinową. – *Nie zdarzyło mi się przez ostatnie siedem lat, by nie znaleźć dawcy dla naszego pacjenta, a jesteśmy największym w Polsce ośrodkiem transplantacyjnym* – mówi prof. Grzegorz Helbig, kierownik Oddziału Hematologii i Transplantacji Szpiku ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. – *W rejestrze światowym jest teraz 44 mln dawców, a polski rejestr liczy ich 2,5 mln, więc po co mamy myśleć o krwi pępowinowej?*

Oto punkt widzenia hematologów z klinik dla dorosłych: nie ma sensu sięgać po metodę bardziej skomplikowaną, jeśli istnieje prostsza. Po co korzystać z krwi pępowinowej, skoro zastępują ją zgodni lub alternatywni dawcy? Jaki sens wybierać trzecią opcję, gdy pierwsza (dawcy rodzinni) i druga (dawcy niespokrewnieni) działają dobrze?

Więcej entuzjazmu

Inne spojrzenie mają jednak hematolodzy pediatrzy. Jak zapewnia prof. Katarzyna Drabko z Kliniki Hematologii, Onkologii i Transplantologii Dziecięcej w Lublinie, choć w praktyce do przeszczepów z krwi pępowinowej dochodzi sporadycznie, to gdyby w Polsce lepiej funkcjonował bank publiczny, byłoby ich więcej, ponieważ są choroby, niekoniecznie nowotworowe, w których takie przeszczepy świetnie się sprawdzają. Prof. Marek Ussowicz przeprowadził przez ostatnie pięć lat w Klinice Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu dwa przeszczepy z krwi pępowinowej własnej pacjentów chorych na anemię aplastyczną.

eprasa.pl 332c627450



Polskiego Banku Krwi Pępowinowej w Warszawie

Szef tej placówki, prof. Krzysztof Kałwak, który w maju na konferencji sponsorowanej przez PBKM zachwalał krew pępowinową na wiele sposobów, w rozmowie z POLITYKĄ przytacza liczby, które są wymowne: przez blisko 20 lat wykorzystał krew pępowinową u 28 pacjentów, przy ok. 70 transplantacjach wykonywanych rocznie. Oznacza to, że materiał z krwi pępowinowej znalazł zastosowanie nieczęściej niż raz, dwa razy w roku. A większość tych przypadków (15) dotyczyła porcji sprowadzanych z publicznych banków zagranicznych, tylko 11 zaś z krwi pępowinowej od rodzeństwa z polskich banków.

Stoi to w sprzeczności z opublikowanym pół roku temu stanowiskiem Polskiego Towarzystwa Onkologii i Hematologii Dziecięcej. W dokumencie tym siedmiu profesorów medycyny z ośrodków transplantacyjnych najpierw umiejętnie zbudowało poczucie zagrożenia, przywołując dane demograficzne: blisko połowa polskich rodzin ma obecnie tylko jedno dziecko, więc w razie tragedii nie będzie ono miało zgodnego rodzeństwa, od którego można pobrać szpik. Wyjściem ma być – a jakże – krew pępowinowa.

Stanowisko pęka w szwach od entuzjazmu nad nowymi terapiami, roztacza też wizje leczenia autyzmu i porażenia mózgowego (choć badania te trwają i wyniki nie dla wszystkich są pomyślne), a także chwali nowe technologie namnażania komórek. Na koniec czcigodne grono postuluje potrzebę przywrócenia do standardu opieki okołoporodowej informacji „o możliwości publicznego lub prywatnego zabezpieczenia krwi podczas porodu", co wygląda na ponowną inspirację PBKM (aż czterech z siedmiu podpisanych ekspertów przyznało się do relacji z tą firmą).

Od kilku sygnatariuszy tego stanowiska dowiadujemy się czegoś innego: nie szuka się dziś w pierwszej kolejności krwi pępowinowej nawet dla chorych dzieci. Lekarze standardowo zaczynają procedury poszukiwania komórek od zdrowego rodzeństwa lub żywych dawców dorosłych, którzy najczęściej oddają po prostu krew obwodową. Dlaczego? Bo w naszym kraju, u pacjentów tej samej rasy, szansa na znalezienie dobrego, tradycyjnego dawcy jest ogromna i bezproblemowa. O krew pępowinową pyta się w trybie *on request*, rzadko i przy specyficznych rozpoznaniach.

Fundament czy nisza?

Stanowiskiem towarzystwa hematologów dziecięcych zaskoczona jest Małgorzata Dutkiewicz, kierująca Centralnym Rejestrem Niespokrewnionych Potencjalnych Dawców Szpiku i Krwi Pępowinowej Poltransplantu, który trzyma pieczę nad jej polskim bankiem publicznym. Jest w nim teraz 3976 próbek (niemal tyle samo, ile 10 lat temu). – *I nie ma nimi zainteresowania* – tłumaczy. – *Po co więc wzywać do jego powiększania, skoro z naszych danych wynika, że ostatni raz w 2015 r. wpłynęło 16 próśb z Polski o przeszukanie zasobów krwi pępowinowej, a w następnych latach były to prośby pojedyncze lub nie było ich wcale?*

Okazuje się, że jest na to wytłumaczenie! Otóż gdy lekarze kierują pacjenta do transplantacji, nie oni wyszukują dawców, tylko robią to oddzielne laboratoria typujące, które przeszukują bazy potencjalnych dostawców szpiku i komórek macierzystych. Polska krew pępowinowa jest w światowym rejestrze, ale żeby algorytm do niej dotarł, trzeba przejrzeć osobną zakładkę, i wygląda na to, że ośrodki dobierające dawców tego nie robią. Żywych dawców jest dużo więcej, więc algorytmy nie szukają igły w stogu siana.

– *Żałuję, że jednostek krwi pępowinowej nie ma włączonych do spektrum poszukiwań z automatu, bo wygląda na to, że trzeba o to specjalnie prosić* – mówi prof. Drabko. Tak tłumaczy to prof. Kałwak: – *To jest kwestia nawyku, doświadczenia. Przeszczepów u dorosłych robi się w Polsce rocznie 1,8 tys., u dzieci 170–180, więc ośrodki dobierające dawców zaczynają od tego, co wykorzystuje się najczęściej, a więc dawców oddających szpik, a teraz najczęściej krew obwodową.* Po co więc namawiać rodziców, by płacili za prywatne bankowanie krwi pępowinowej albo oczekiwać od Ministerstwa Zdrowia, że wyłoży co najmniej 100 mln zł na powiększenie banku publicznego?

Zwolennicy tej idei nie zgadzają się z tezą, że jej czas minął. Prof. Emilian Snarski, hematolog i dyrektor medyczny PBKM, uważa, że potencjał krwi pępowinowej jeszcze nie został w pełni ujawniony, a jej ograniczenia są już do pokonania: – *Przez lata głównym zarzutem wobec tej metody była zbyt mała liczba komórek. Ale dzięki nowym technologiom ten problem udało się rozwiązać i mamy już na rynku dwa produkty, które są krwiotwórczymi komórkami macierzystymi pobranymi z krwi pępowinowej i namnożonymi w laboratorium w celu zwiększenia ich liczby przed przeszczepieniem. Można więc je przeznaczyć dla dorosłych.*

Druga nowa zaleta: możliwość użycia komórek z krwi pępowinowej w bardzo modnej dziś i skutecznej terapii CAR-T różnych schorzeń hematologicznych. – *Okazuje się to o wiele tańsze i ma wyższą skuteczność niż klasyczne CAR-T, oferowane przez firmy farmaceutyczne* – argumentuje prof. Snarski. – *Europa i Polska popełniają grzech zaniechania, rezygnując z krwi pępowinowej, bo najlepsze ośrodki przeszczepowe na świecie, w Seattle i Nowym Jorku, postawiły na krew pępowinową, uzyskując przełomowe wyniki.*

Paradoks tej historii polega na tym, że wszyscy mają częściową rację. Zwolennicy bankowania nie mijają się z prawdą, że istnieją sytuacje, w których krew pępowinowa może być znakomitym materiałem do transplantacji. Krytycy nie kłamią, gdy wskazują, że jej realne wykorzystanie w codziennej praktyce pozostaje rozwiązaniem niszowym. Ale biznes się kręci.

PAWEŁ WALEWSKI

© WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 332c627450



Szef Solidarności w Elektrowni Opole siedzi na ławie oskarżonych w procesie o zabójstwo przewodniczącego Ruchu Ciągłego. Narzędziem zbrodni było szkolne krzesełko.

Morderstwo w gminie

JULIUSZ ĆWIELUCH

Opowieść o tym zabójstwie jest jak błądzenie w mgle. Coś, co wydaje się oczywiste, za chwilę już takie nie jest. A przyjaźń nie chroni przed śmiercią. Znajomość okazuje się powierzchowna. Faktem jest śmierć w wyniku wielokrotnych uderzeń krzesłem o konstrukcji stalowo-drewnianej. Krzesłem solidnym. Dobrze zespawanym, a jednak finalnie kompletnie rozwalonym, z taką furią zadawano nim ciosy. Trudno się dziwić, że w notatce policyjnej z pierwszych oględzin znalazło się zdanie: „na betonowym podeście oraz stopniu znajdowała się wielka, krwawa plama. Obok głowy Tomasza W. ujawniłem wybity ząb".

Policjant piszący tę notatkę jest bohaterem incydentalnym tego zdarzenia. Miał pecha, że akurat tego dnia dyżurował. Pecha, bo przez urzędowy język jego opowieści przebija się przerażenie jednego człowieka bezwzględnością drugiego. Po zabraniu ciała na betonowym stopniu powstało coś na kształt kałuży lawy. Z ciemnym i zgrubiałym brzegiem oraz jasnym, jakby pulsującym centrum. Ta nieskrzepnięta krew była pewnie pretekstem do prób reanimacji. Przy czym ratownicy z ochotniczej straży pożarnej, którzy jako pierwsi przyjechali na miejsce, mogli tylko uciskać klatkę piersiową. Reanimacja metodą usta-usta była niemożliwa, bo ofiara właściwie nie miała połowy twarzy. Profesjonalni medycy zaczęli od zbadania temperatury ciała: 24 stopnie. Na miejscu zrobili też EKG. Wynik badania w postaci długiej prostej kreski ciągnącej się przez sam środek wydruku załączony jest do akt sprawy. Na kopercie data 23 sierpnia 2025 r. i godz. 4.15.

Martwa natura

Nowoczesne aparaty techników policyjnych potrafią płatać figle. Zaprojektowane do pięknych zdjęć, same ostrzą tam, gdzie program podpowiada im najlepsze ujęcie. Stąd pomiędzy serią koszmarnych kadrów zdarzają się takie zupełnie nieprzystające do reszty. Jak na przykład zdjęcie wnętrza altanki letniskowej, gdzie

eprasa.pl 332c627450



Oskarżony Dariusz K. przed Sądem Okręgowym w Opolu

© TVP3 OPOLE

Pokój

toczyła się libacja, w której udział brało czterech prominentnych związkowców. Kadr zdominowały bujne liście winogron. Soczyście zielone, dobrze wyostrzone. Podobnie zresztą jak dorodna żółta cukinia w lewym dolnym rogu. Cała reszta pozostała nieostra, rozmyta. Nie sposób dokładnie powiedzieć, co stoi na stole, choć stół widać.

Na tych bardziej technicznych zdjęciach widać nie tylko stół, ale też niedojedzone dania i szyjki butelek. Choć, jak wszystko w tej sprawie, i to okazuje się względne. „Myśmy ze sobą nie mieli dużo alkoholu, bo na czterech chłopa 1,5 litra wódki i jeszcze jakaś nalewka Janusza, która nie ma więcej niż 30 proc., to jest nic. Potem Tomek dowiózł jeszcze flaszkę i się impreza rozkręciła" – zeznawał jeden z uczestników spotkania.

Tyle że jego zeznania nijak się mają do tego, co uwiecznił policyjny fotograf. Jedna butelka leżała obok ciała zabitego. Jakieś 30 cm od lewej ręki, tak jakby właśnie skończył pić i po prostu mu wypadła, a on sam upadł na ganek z rękoma rozłożonymi jak Chrystus na krzyżu. Ze zdjęcia stołu z altany wynika, że butelek jest sześć. To już w sumie 3,5 litra alkoholu. Ten sam stół sfotografowany z innej perspektywy ujawnia kolejne szyjki. Butelek jest osiem. Plus ta z ganku – to 4,5 litra wódki. Do tego 12 piw, po które jeden z uczestników pojechał przy okazji kupna kapusty na tzw. kociołek, ale – jak zaznacza – piw tych nie wypili.

Ten i inne szczegóły są ważne, bo pokazują, jak ciężko poruszać się w sprawie, w której jedynym trzeźwym świadkiem zdarzenia był 11-letni syn oskarżonego o zabójstwo. A dwóch świadków było tak pijanych, że przybyła na miejsce policja nie mogła ich dobudzić. Nawet jak już wstali z łóżek, byli w takim stanie, że nie wiedzieli, kim była osoba leżąca przed wejściem do domku, w którym spali. Oskarżony o zabójstwo miał prawie 2 promile, jego koledzy nieco mniej niż po promilu, i to po kilku godzinach snu.

Wujkowie

Rekonstrukcja tego, co się wydarzyło w gminie Pokój, jest spójna właściwie tylko w punkcie wejścia. W piątek 22 sierpnia trzech działaczy NSZZ „Solidarność" uczestniczyło w XXXII Walnym Zgromadzeniu Regionu Śląsko-Opolskiego. Spotkanie odbyło się z pompą. Garnitury, medale i przemówienia, w tym samego szefa związku Piotra Dudy.

Wcześniej jednak pochylono się nad problemami szeregowych członków. Ze smutkiem odnotowano, że pomimo zaangażowania w akcję protestacyjną 800 osób nie udało się uchronić przed zwolnieniami 450 pracowników walcowni rur w Hucie Andrzej w Zawadzkiem. Nie udało się też obronić 215 pracowników opolskiej wytwórni generatorów do turbin wiatrowych. I to pomimo boomu inwestycyjnego w tej branży. Prelegent podkreślał, że winę ponosi niemiecki właściciel, który przeniósł produkcję do kraju. Mówił również z dumą, że choć polskim pracownikom zaproponowano przeprowadzkę wraz z rodzinami, to z niemieckiej oferty skorzystały zaledwie dwie rodziny.

Jednak w aktach sprawy trudno szukać śladów tych związkowych trosk. Trzej działacze Solidarności, którzy 30 godzin później fotografowani będą w samej bieliźnie na okoliczność dowodów zbrodni, po walnym zgromadzeniu związku czuli wyraźnie niedosyt konsumpcji.

Pierwszy alkohol kupili już podczas powrotu. Ale zorientowali się, że jest już późno. Spotkanie przełożyli więc na sobotę. To najbardziej spójny element zeznań całej trójki. Później, jak u Kurosawy w filmie „Rashomon", narracje się rozjeżdżają.

Parę punktów jest spójnych. „Po przyjeździe Janusz P. poszedł zbierać stonkę w kartoflisku, a Krzysztof K. poszedł łowić ryby nad staw. W międzyczasie spotykali się na przysłowiowym kielichu". Pierwszy „przysłowiowy kielich" wypijają ok. 11 rano w sobotę. Później kolejne, aż do 17, kiedy na działkę dojechał Dariusz K., wieloletni szef Solidarności w Elektrowni Opole i działacz w prestiżowym Sekretariacie Górnictwa i Energetyki Solidarności. Do tego szef opolskiego klubu „Gazety Polskiej" i niedoszły (nie został wybrany) polityk samorządowy z list PiS.

Przewodniczący K. na działkę przyjeżdża z 11-letnim synem. Ten imprezą wydaje się niezainteresowany. Tu wersje wszystkich trzech są spójne. Nie interesuje go nawet łowienie ryb, czym jeden z „wujków" próbuje go zaciekawić. Kilka godzin później to ten chłopiec zadzwoni pod numer 112 i wezwie pomoc. Zapis tej rozmowy jest podwójnie dramatyczny: „Tato, gdzie my jesteśmy, bo ja nie wiem". Odpowiedź opisana zostaje jako „mowa bełkotliwa, niezrozumiała". „Jakiś pan bardzo krwawi, leży nieruchomo i nie oddycha" – on również nie rozpoznał przyjaciela taty.

Zadrapania

Świadkowie w tej sprawie właściwie niewiele wnoszą. Chłopiec nie tylko nic nie widział, bo spał w przyczepie kempingowej, ale jest rodziną oskarżonego. Pozostali byli tak pijani, że trzeba było poczekać kilka godzin z odebraniem zeznań. Policja każdego z uczestników imprezy potraktowała jako potencjalnego sprawcę, fotografując najdrobniejsze zadrapania i szukając ewentualnych śladów walki na ciele. W zbliżeniach na butach Dariusza K. widać drobne plamy krwi. Jedna wygląda tak, jakby ten, który ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ projektował czerwone wyłogi na butach, zaprojektował i tę plamkę. Z takich właśnie mikrośladów utkany zostanie akt oskarżenia.

Najwięcej zadrapań odkryto na rękach Dariusza K. Każde jednak szczegółowo uzasadniał. Kilka kresek, które układają się w jeden ciąg, najpierw biegnących prosto, a później nagle skręcających do góry i tam się urywających, K. przypisał pracy nad klatkami dla przepiórek. W zeznaniach dodawał, że ma ich tysiąc. Kolegom też o tym opowiadał. To był jego plan na emeryturę. Tyle że rozpoczęty już na etacie. Na związkowym to jednak łatwiej. Rozbity łokieć tłumaczył upadkiem. Zakrwawione ręce – próbą reanimacji przyjaciela, bo tak wypowiadał się o ofierze.

Kilka tygodni po śmierci żona zabitego nie chciała o tym rozmawiać. Podobnie reagowali na telefony inni: żona oskarżonego, jeden z uczestników libacji, koledzy ze związku. Ci ostatni albo wprost odmawiali, albo nagle tracili pamięć, ewentualnie nie mieli nic do powiedzenia. Jeśli już, to anonimowo. – *Jak się dowiedziałem, że Tomek nie żyje, to myślałem, że coś z sercem, bo się skarżył. W poniedziałek było już wiadomo, że zatrzymali K. Mnie się to w głowie nie mieściło, bo oni niby byli z konkurencyjnych związków, ale to był taki teatr, bo tam ręka rękę myła* – opowiada jeden ze związkowców. Konkurencyjność związana była z utrzymaniem struktur.

Zabity Tomasz W. był przewodniczącym Związku Zawodowego Pracowników Ruchu Ciągłego Elektrowni Opole. Dariusz K. był przewodniczącym Solidarności w tej samej elektrowni. W energetyce i w samej Elektrowni Opole to Ruch Ciągły rozdawał karty. Z kolei w kraju karty rozdawała Solidarność. – *Chłopaki kluczowe sprawy ze sobą uzgadniali, a później grali głupiego i jak trzeba było, to nawet potrafili sobie publicznie skakać do oczu* – dodaje nasz rozmówca. Ruch Ciągły miał 300 związkowców w Opolu. Solidarność dużo mniej. Związki formalnie ze sobą konkurowały, np. organizacją zagranicznych wycieczek, na które szło dofinansowanie z funduszu świadczeń socjalnych. Jak jedni robili wyjazd do Turcji, to drudzy do Tunezji. Siła związków była tak przytłaczająca, że w spółce nikt nie miał wątpliwości, że to ogon macha psem.

Czasem machał we właściwą stronę. 1 kwietnia 2016 r. media podały informację, że nowym dyrektorem Elektrowni Opole został starszy dyżurny elektroenergetyk i były sołtys okolicznej wsi. Byłaby to kariera na miarę Lecha Wałęsy. Początkowo myślano, że to prima aprilis. Tym bardziej że elektrownia realizowała wówczas największą inwestycję w kraju: wartą 11 mld zł budowę dwóch megabloków. – *Związki się postawiły i nowy dyrektor stracił posadę równie szybko, jak ją zyskał. Dariusz K. podobno osobiście pojechał w tej sprawie do Kaczyńskiego* – opowiada nasz rozmówca. Wtedy wszyscy chętnie się przyznawali do Dariusza K.

Zdrajca

Dariusz K. z imprezy, na którą wybrał się w sobotę 23 sierpnia 2025 r., wrócił rok i trzy dni później. Areszt dla przewodniczącego Solidarności był dla lokalnej społeczności głębokim szokiem. Decyzja prokuratora zapadła bardzo szybko. O skrócenie aresztu zabiegało kilkanaście osób, w tym ks. Mirosław Mróz z Parafii św. Józefa Robotnika z Zawiści. Kilka miesięcy po wysłaniu pisma ksiądz nie chciał już rozmawiać na temat poręczenia indywidualnego. Wystawił je swojemu parafianinowi, bo żona oskarżonego przekonała go, że jej mąż został po prostu wrobiony.

Wątek wrobienia pojawia się nie tylko tu, ale też w zeznaniach, jakie w trakcie pierwszych posiedzeń sądu złożył sam oskarżony. „Znając swój charakter i pamiętając, co pamiętam, twierdzę, że nic nie zrobiłem Tomkowi. Twierdzę, że nie zabiłem Tomka. Mogę opowiedzieć to, co ja pamiętam z tej pamięci, gdzie byłem trzeźwy lub w miarę trzeźwy". Oskarżony sięgnął również do nowego zasobu pamięci. „Pamięci z odtworzenia, które uzyskałem, będąc w areszcie między drugim a szóstym tygodniem. Te pamięci moje się różnią. W więzieniu odtworzyłem pamięć, będąc w głębokim stresie i szoku. Nie jestem pewien, czy do końca odtworzyłem, czy to mi się czasem nie śniło" – wyznał oskarżony.

Z tej nowej pamięci wydobył np. taką scenę, w której Tomasz W. zarzucał Januszowi P., że nie dość, iż nie chce się podzielić schowanym alkoholem, to jeszcze jest zwykłym zdrajcą. „Tomek powiedział do mnie: ty wiesz Darek, że on przychodzi do mnie codziennie, mówi, co robicie, co planujecie, co zamierzacie, że cię zdradza? Ja mu powiedziałem, że domyślałem się".

Pamięć zaczęła wracać również świadkom. Janusz P. zapytany, czy zdarzyło mu się kiedykolwiek kogoś uderzyć, zdecydowanie zaprzeczył. Przyparty do muru zeznaniami innych powiedział: „Zdarzyło mi się na zebraniu kolegę Plutę uderzyć w twarz. Spoliczkowałem go, bo była dyskusja, a ja próbowałem go przekonać". Jednak – jak zapewnia – z morderstwem nie miał nic wspólnego, bo ma wartości. „Wszyscy tam byliśmy konserwatystami. Mieliśmy jedną linię polityczną, podobne wartości, a nie jakieś LGBT, gendery. O tym staraliśmy się dyskutować, czy coś w tym temacie możemy zrobić jako obywatele tego kraju". Zapytany o kontakt z alkoholem, określił go jako sporadyczny.

Postać

Przewodniczący K. w swoich zeznaniach przed sądem przyjął linię obrony, że zabić mógł właściwie każdy z obecnych na imprezie. A smartwatch ofiary nosi jego ślady, bo przypomniał sobie, że w całym zajściu uczestniczył jeszcze ktoś. Konkretnie kto, nie wie, ale nazywa tę osobę Postacią. I ta Postać próbowała zrobić krzywdę jego koledze. „Zobaczyłem, że ktoś Tomka ciągnie za plecy. Chwyciłem Tomka za tę rękę, na której miał zegarek. Starałem się złapać i niejako przyciągnąć Tomka, zatrzymać, żeby przestał ktoś go ciągnąć" – opowiadał przed sądem. Krew na rękach tłumaczył próbą udzielenia pomocy. „Chciałem podłożyć pod głowę jakąś szmatę, bo miałem przekonanie, że spod głowy cieknie mu krew". A na koniec stwierdził: „Wygląda na to, że sprawcą może być Janusz, ale nie jestem pewny".

Z pewnością postacią jest sam Dariusz K., który pomimo rocznego aresztu i zarzutów z art. 156 par. 3 kk (ciężki uszczerbek na zdrowiu ze skutkiem śmiertelnym, co kwalifikowane jest jako zbrodnia i zagrożone karą pozbawienia wolności na czas niekrótszy niż 5 lat do lat 25), nadal pełni funkcję przewodniczącego związku w Elektrowni Opole. – *Odkąd pamiętam, on tam był. Od 2002 r. ma etat związkowy, nie pracuje, zajmuje się pracą związkową. Zna wszystkich i wszyscy znają jego, więc nikt tego nie dotyka i nikt mu stanowiska zabrać nie pozwoli* – mówi jeden z wieloletnich pracowników Elektrowni Opole. I prosi o anonimowość, bo dyrektorzy się zmieniają, a przewodniczący, jak widać, nie.

JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 332c627450



Sorry, takie mamy klimakterium

Elżbieta Jodłowska – artystka kabaretowa, piosenkarka, aktorka, autorka tekstów. Zdobywczyni licznych nagród, m.in. Czerwonej Róży na przeglądzie kabaretów studenckich w Gdańsku, Nagrody Dziennikarzy na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w 1974 r. W 2006 r. zadebiutowała ze spektaklem „Klimakterium... i już".

Rozmowa z Elżbietą Jodłowską o tym, dlaczego sztuka o menopauzie nie schodzi z afisza już 20 lat. I o tym, jak dobroczynnie wpływa na życie kobiet. Ale też i mężczyzn.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Pani sztuka „Klimakterium... i już" to zjawisko nie tylko artystyczne, ale też socjologiczne.**

ELŻBIETA JODŁOWSKA: – To prawda. 20 lat temu w ogóle nie wymawiało się tego słowa na głos. Przełamałyśmy pewne tabu. Cztery przyjaciółki z dystansem i humorem mówią o swoim życiu, o zmarszczkach, włosach na brodzie, otyłości, atakach histerii czy uderzeniach gorąca. Kobiety identyfikują się z tymi problemami i wychodzą ze spektaklu z przekonaniem, że życie po pięćdziesiątce jest nie tylko nadal możliwe, ale może być też twórcze i radosne.

I mężczyźni o tym wiedzą?

Myślę, że nasz spektakl jest ważny także dla mężczyzn, bo pozwala im lepiej zrozumieć, co się dzieje z ich matkami, żonami czy partnerkami. Oni naprawdę niewiele wiedzą, dlaczego nagle bliska kobieta zachowuje się jakoś dziwnie, popłakuje, chodzi rozdrażniona, stała się „inna". Ale mamy też w księdze gości na naszej stronie internetowej wpisy mężczyzn, którzy po obejrzeniu spektaklu piszą żartobliwie, że zazdroszczą kobietom ich klimakterium. Mogą żyć pełnią życia, jak w piosence Magdy Czapińskiej: „dzieci dawno odchowane, egzaminy wszystkie zdane i nie muszę się już męczyć z tym nudziarzem i tyranem, mogę nagle rzucić wszystko, zacząć życie od początku, może znajdę jakąś miłość gdzieś w Krynicy albo w Lądku".

A w czasie spektaklu słyszą: „Mężczyzna musi się nachlać i zapłacić barmanowi, żeby go wysłuchał. Oni muszą płacić za miłość, a my nie musimy się już bać niechcianej ciąży. My możemy się malować, farbować, a jak oni się ufarbują, to widać...".

Myślę, że kluczowe jest tu dzielenie się problemami; wygadanie się, wysłuchanie. Kobietom przychodzi to łatwiej. Mężczyźni dopiero się tego uczą, od małego im się wpaja, że mężczyźni nie płaczą.

Pani debiutowała na scenie bardzo wcześnie. Jak to było?

Jeszcze przed maturą. Związałam się z kółkiem teatralnym w domu kultury na warszawskim Żoliborzu. Należeli do niego także uznani i wielcy Andrzej Seweryn czy Stanisława Celińska. Myśmy ze Staśką chodziły do jednej szkoły, ale do równoległych klas; ja z łaciną, a ona z angielskim. Po niej od razu było ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 332c627450

▶ widać, że jest piekielnie zdolna i temperamentna. Na jednej z prób entuzjastycznie wyznała, że wygrała właśnie milion w totolotka. Uwierzyłam. Zagrała to tak realistycznie, że cieszyłam się wraz z nią.

Jednak związała się pani z kabaretem, a nie z teatrem.

Pierwszy to studencki kabaret BUFOR, który założył i prowadził Maciej Szwed, piekielnie utalentowany autor tekstów piosenek, m.in. „Fizycznego hobby". To ona pozwoliła wypłynąć mi na szersze wody. Ciągnęło mnie na scenę i zdałam na wydział piosenkarski do szkoły muzycznej. To w tamtym czasie rozpoczęłam romans ze Stodołą. Klub i kabaret Stodoła stały się moim drugim domem. Tam się wszystkiego nauczyłam, tam spotkałam wybitne indywidualności. Na początku lat 70., gdy zaczęła się złota era Stodoły, firmowały ją takie nazwiska, jak Ewa Bem, Czesław Niemen, Jan Tadeusz Stanisławski, Magda Umer czy niesamowity kompozytor Krzysztof Knittel. Byliśmy zachwyceni, że możemy razem tworzyć. I żyliśmy razem – wspólne wyjazdy, sylwestry, noce zarwane na grę w karty, wino, miłości, wygrane festiwale. I wiara, że tak będzie zawsze.

Zaczęło się od przygotowania ludowych piosenek amerykańskich. Po premierze wszyscy zaproszeni byliśmy do attaché kulturalnego USA na uroczystą kolację, a później wszyscy indywidualnie wylądowaliśmy na przesłuchaniu w bezpiece. Potem zagrałam w widowisku „Cicho, bo przyjdzie Zdzicho". Ale spektaklem, który stał się legendą, było „Jak dobrze mi w pomarańczowym jest". Rzecz działa się w Biurze Prześpiewywania Problemów. Ja grałam w nim kilka postaci, m.in. hrabinę czy sprzątaczkę Zaśmiecaczyńską. Wraz z odejściem naszej ekipy Stodoła jako scena kabaretowa w zasadzie się skończyła. Skończył się kabaret, zaczęła dyskoteka.

Wtedy zdecydowała się pani na emigrację?

Nie, jeszcze nie. Wcześniej zostałam zawodową aktorką estradową. Po szkole muzycznej miałam papiery zawodowej piosenkarki. Przysługiwała mi określona z góry stawka i nie miałam przywilejów, które należały się aktorom. Marzyłam o mieszkaniu większym niż M-2; jako aktorka mogłabym się o takie ubiegać. W związku z tym poszłam do Ministerstwa Kultury i Sztuki, gdzie zdałam egzamin na aktora estradowego. Na samochód Fiat 126p, zwany Maluchem, też trzeba było czekać w kolejce. Wystosowałam długie podanie do Ministerstwa Kultury i Sztuki i uzyskałam talon od ministra. Wszystko trzeba było zdobywać. Przyszły lata 80. i było coraz trudniej. Zaczęły się strajki, brak pracy, ludzie byli zajęci tym, jak zdobyć chleb, a nie szukaniem rozrywki. Wtedy zaczęłam myśleć o emigracji do Ameryki. Miałam tam rodzinę.

Ale wcześniej przydarzył się pani niezapomniany epizod w „Misiu" Barei, gdzie zagrała pani kelnerkę. Pamięta pani swój tekst?

– Dwie kawy i dwie wuzetki. Coś jeszcze?

– Dlaczego?

– Kawa i wuzetka są obowiązkowe. Bijemy się o Złotą Patelnię.

Jakoś tak to szło. Pojawiam się w jeszcze jednej scenie, gdy tłumacząc, że dzisiaj jestem jakaś klapnięta, upijam kawę przeznaczoną dla klienta i proszę koleżankę, żeby ubytek uzupełniła wodą. Ludzie do dziś pamiętają mnie z tej roli. Ale filmy to dla mnie tylko przygoda. Najważniejsze są scena, estrada, żywy kontakt z publicznością.

Amerykański sen się nie spełnił?

Wymyśliłam sobie naiwnie, że będę tam śpiewać rosyjskie romanse. Do Restauracji Rasputin zaniosłam swoją płytę „Dziewczyna do wzięcia". To były delikatne piosenki z pięknymi tekstami. Do Rasputina kompletnie nie pasowały i oczywiście nic z tego nie wyszło. Trzeba było z czegoś żyć. Założyłam firmę sprzątającą. Żadna praca nie hańbi. Najpierw nauczyłam się sprzątać, potem uczyłam tego innych. Lekko nie było. Czasem płakałam po nocach. Sporo w tych Stanach przeżyłam. Kilka trzęsień ziemi, w tym jedno naprawdę silne. Relacjonowałam je nawet dla polskiej telewizji. Uczestniczyłam też w napadzie na bank.

Aktywnie?!

Broń Boże, pasywnie. Stałam w kolejce, żeby zrealizować czek, gdy z tyłu zaczęła się jakaś szarpanina. Patrzę, a facet z bronią każe nam się wszystkim położyć. Myśmy leżeli na podłodze, a urzędniczki podawały mu pliki banknotów; jak na filmie. Potem bank został zamknięty, przyjechała policja i nas przesłuchiwała. Wiele nie pomogłam.

Wróciła pani, mając prawie 50 lat, i musiała zaczynać wszystko od początku. Ciężko było?

W Stanach dzięki tej firmie sprzątającej dawaliśmy sobie radę finansowo. Założyłam też Radio Ela, popularne wśród Polonii. Ale ja tam byłam głęboko nieszczęśliwa. W Polsce zostały moja córka z małym dzieckiem i mama. Bardzo tęskniłam. Dostałam zaproszenie z kraju na udział w benefisie Maćka Zembatego. To był wspaniały czas, znowu publiczność, scena, emocje, brawa. Dzień przed planowanym odlotem do USA przeżyłam dramat – zmarł nagle mój wnuczek. Wiedziałam, że jestem córce bardzo potrzebna, żeby ją przytulić, potrzymać za rękę. No i zostałam.



Krynica-Zdrój, 2010 r. Spektakl „Klimakterium... i już".

To był 1996 r. Brałam każdą robotę, jaka się trafiła, nie patrząc na stawki. Wiadomo – nieobecni nie mają racji. Opuszczone miejsce jest szybko zajmowane przez innych. Ale okazało się, że jednak parę osób mnie pamięta. Śpiewałam do tekstów Magdy Czapińskiej, Marka Grechuty, Wojciecha Młynarskiego, Agnieszki Osieckiej. Dołączyłam do Babskiego Kabaretu Krysi Sienkiewicz. Udało się wrócić do dawnej roli. Kupiłam starego, rozwalającego się Malucha, żeby być mobilna. To były czasy, kiedy zastanawiałam się nad wydaniem każdej złotówki. Do Ameryki już nie wróciłam.

Ale „Klimakterium" to była inspiracja amerykańska?

Tak. Siostra napisała, że grają u nich widowisko „Menopause the Musical", na które baby walą drzwiami i oknami. Wtedy ledwo przędłam, ale pojechałam, zobaczyłam, chciałam to kupić i przenieść do Polski. Nawet skontaktowałam się z ich prawnikami. Wypytywali, jaką mam salę, na ile miejsc. A ja oprócz dobrych chęci nie miałam nic. Moja przyjaciółka, która wyemigrowała do Ameryki, aktorka Alicja

eprasa.pl 332c627450



Od lewej: **Grażyna Zielińska, Ewa Śnieżanka, Krystyna Sienkiewicz, Elżbieta Jodłowska.**

Szpak, mówi: „Elka, to jest okropne. Ty sama napisz. Lepiej ci wyjdzie". Ale ja nie umiem pisać. W każdym razie wcześniej nic nie pisałam. Po powrocie do Polski zwróciłam się do kilku autorów. Odmawiali. Jedna pisarka nawet zaczęła, ale się wycofała. Ostatecznie musiałam to napisać sama. Ja objawy klimakterium miałam okropne, przytyłam, miałam straszne uderzenia gorąca. I skojarzyło mi się to z „Lokomotywą" Tuwima: uf, jak gorąco, puf, jak gorąco, buch jak gorąco. Zainspirowało mnie to i powstał tekst o objawach menopauzy. Od tego się zaczęło.

Podobno Marcin Wolski skwitował: „Dwie godziny o klimakterium? Kto to wytrzyma?".

Powiedział to po setnym spektaklu. Kiedy pisałam, moja przyjaciółka Magda Czapińska miała wątpliwości, czy temat nie jest zbyt drastyczny i zbyt, powiedzmy, odważny. Ale bardziej chodziło jej o mnie. Zawsze mnie wspierała, a to był trudny moment w moim życiu. Bała się, że zostanę skrzywdzona złymi recenzjami. Przegadałyśmy o tym „Klimakterium" wiele nocy, żartowałyśmy, wymyślałyśmy rymowanki. Niektóre znalazły się potem w scenariuszu. Napisała do niego parę piosenek. Początkowo odmawiały mi też aktorki, uznając, że temat jest za bardzo fizjologiczny. W pierwszym składzie obok mnie wystąpiła Krysia Sienkiewicz, która mimo olbrzymiego dorobku i talentu cienko wtedy przędła. Za dużo mówiła w wywiadach, że ma chore oczy i może stracić wzrok; bali się ją angażować. A jako kobieta nowoczesna pod każdym względem nie zrażała się tematem. Dołączyły do nas Iga Cembrzyńska i Ewa Szykulska. Potem doszła jeszcze Buba, czyli Grażyna Zielińska jako dublerka Szykulskiej. Z czasem Szykulska odeszła, a Buba została.

A jak reagowały na temat dyrekcje teatrów?

Też nie było łatwo. Odbijałam się od ściany. Byłam w Buffo, byłam w Teatrze na Woli, gdzie zaprotegował mnie Emilian Kamiński. Potem dyrektor miał do niego pretensje: „Kogoś ty mi tu przyprowadził?!". W końcu Rampa odważyła się spektakl zakontraktować, ale tylko na trzy seanse w miesiącu i bez żadnej reklamy. Ostrożnie zaproponowali nam małą salę, na 90 miejsc. Ale szybko okazało się, że na bilety trzeba czekać pół roku. Już w czasie prób można było odczuć, że szykuje się sukces frekwencyjny. Różne aktorki zaczęły wpadać popatrzeć, ludzie przychodzili i podglądali. Rozniosło się, że coś ciekawego się szykuje. Do dziś wiele aktorek przewinęło się przez obsadę. Jedne lepsze, drugie gorsze. To trudny gatunek, bo trzeba nie tylko stworzyć postać, ale też mieć dystans, żeby nie przeszarżować.

Kto wymyślił, że będziecie jeździć z „Klimakterium" po całej Polsce?

To przyszło bardzo szybko. Chyba Krzysiek Jaślar zorganizował nam pierwszy wyjazd do Gdańska. A potem tak się zrobiło, że wszyscy nas chcieli. Organizatorzy w całej Polsce wiedzą, że bilety dobrze się sprzedadzą, a każdy lubi, jak mu się coś dobrze sprzedaje. Z czasem troszkę zmieniałam tekst, bo zmieniała się rzeczywistość, trochę go skracałam. Początkowo spektakl trwał trzy godziny, a do tego trzeba doliczyć spotkanie z publicznością, autografy, zdjęcia. Zrobiła się z tego instytucja. Publiczność domagała się drugiej części. No to w 2021 r. napisałam „Klimakterium 2, czyli menopauzy szał". To już trochę inna rzeczywistość niż „Klimakterium 1". W jedynce moja bohaterka zmaga się z prostym telefonem komórkowym, w dwójce Malina szaleje na portalach randkowych, szukając przygód w sieci. Do pierwszej części większość tekstów piosenek napisali wybitni autorzy, m.in. Artur Andrus, Maciej Szwed, Kasia Lengren czy Magda Czapińska. Ja odważyłam się napisać tylko kilka. Druga część to już głównie moje piosenki. Jedynie ostatnia „Ech mała, nie szalej" jest autorstwa Andrzeja Brzeskiego. Napisał ją dla swojej mamy. Teraz ludzie domagają się części trzeciej. Może AI się za to weźmie?

Podobno ma pani zamiar powoli wycofywać się ze spektaklu?

Klimakterium już dawno za mną. Granie to dla mnie nadal olbrzymia przyjemność, wyzwala humor, energię i apetyt na życie. Natychmiastowa nagroda w postaci reakcji publiczności dodaje skrzydeł. Chciałabym to kontynuować, ale czasem zdrowie nie pozwala. W tym roku kończę 79 lat; to wiek, gdy człowiekowi należy się trochę odpoczynku. Nawet nie o to chodzi, że trzeba jeździć po całej Polsce. Dwie godziny na scenie to jest ciężki wysiłek fizyczny. Trzeba śpiewać, tańczyć. Na szczęście nie mam kłopotów z pamięcią, ale z kręgosłupem czy kolanami, to i owszem. Jest scena, kiedy spadam z wielkiej piłki. I cholera, nie mogę wstać; trzeba mnie podnosić. Ludzie myślą, że ja to gram, a ja naprawdę nie mogę wstać. Zaczynam sobie dawkować scenę. Ale chciałabym, żeby „Klimakterium" było ciągle grane, bo to moje dziecko. Uświadomiłam sobie, że muszę wychować następczynie – aktorki, które to dalej pociągną.

Pisząc „Klimakterium", miała pani poczucie misji czy po prostu chciała zrobić coś zabawnego?

Tak jak mówiłam, chciałam przekazać kobietom, że istnieje życie po pięćdziesiątce; ale że jest ono strasznie krótkie, szybko leci i trzeba cieszyć się małymi sprawami. Chciałam pokazać, jak różne jesteśmy. Jedna szuka randek w internecie, druga woli pichcić kotlety, ale potrafimy się przyjaźnić. Nie miałam zamiaru pouczać mężczyzn, ale dobrze by było, gdyby zauważyli, kogo mają obok siebie; że te istoty bywają kruche i męczy je mnóstwo problemów, o których oni nie mają pojęcia.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP

eprasa.pl 332c627450

Więzi rodzinne

W podsuwalskiej wsi przez 30 lat rodzeństwo było przetrzymywane w izolacji, bez żadnego kontaktu ze światem. Prokuratura podejrzewa, że rodzina znęcała się nad nim psychicznie. I przez cały ten czas nikt we wsi niczego nie zauważył.

NATALIA SAWKA

W weekendy wiejską drogą w Wiatrołuży przejeżdżają rowerzyści, podziwiając okolice Wigierskiego Parku Narodowego. Spokojnie płynie rzeka, od której nazwę wzięła maleńka miejscowość na Suwalszczyźnie. Mieszka w niej kilkadziesiąt osób, większość trudni się gospodarstwem, na łąkach pasą się krowy i konie. Wśród pól i lasów stoi kilkanaście domów. Z pozoru sielanka. Nic nie zdradza, że wydarzyło się tu coś dziwnego. Ale w jednym z tych domów, z dala od głównej drogi i starego przystanku PKS, toczyło się życie rodziny, której historia wstrząsnęła mieszkańcami okolicy.

Dom rodziny Z. stoi dziś pusty. Od ulicy odgradza go biały płot. Na bramie tabliczka „Uwaga pies", choć żaden pies dziś już tam nie szczeka. Wszystkie okna szczelnie pozamykane i zasłonięte firankami. Jasnozielone ściany dawno nie były odświeżane, miejscami schodzą z nich tynk i farba. Za płotem zadbany ogród, z podwórka słychać kury. Na pobliskim słupie telekomunikacyjnym bocian zbudował gniazdo. Przed furtką w nieskoszonej trawie można dostrzec zmiętą kartkę. To ponaglenie o przesyłce, której nikt już nie zdążył odebrać.

Kiedyś mieszkała tu pięcioosobowa rodzina. W oczach sąsiadów zwykli ludzie ze zwykłymi problemami. Jan Z., emerytowany rolnik, prowadził gospodarstwo, pomagała mu żona Jadwiga. Wychowywali trójkę dzieci: dwie córki – Marzenę i Beatę oraz syna Janusza.

Marzena i Janusz mają dziś 47 lat, ale sąsiadom znikli z oczu we wczesnych latach 90. Ludzie pamiętają, że ze wszystkimi dziećmi ze wsi chodzili do jednej podstawówki. – *Biegaliśmy razem za dzieciaka, choć ja to cztery lata jestem od nich starszy. Tu wszyscy się znają, przecież mieszkamy kilka metrów od siebie* – mówi jeden z sąsiadów, którego dom znajduje się przy głównej ulicy. – *Marzenę ostatni raz widziałem na weselu brata. Tańczyła i widać było, że dobrze się bawi. To byli normalni ludzie* – wspomina, zaciskając usta.

Z czasem brat z siostrą przestali się pojawiać na wiejskich uroczystościach, nie robili zakupów w okolicznym sklepie i nie modlili się w kościele, nie brali udziału w dożynkach. Ludzie powoli o nich zapominali. Myśleli, że rodzeństwo wyjechało do pracy za granicę, przynajmniej tak sąsiadom mówiła ich matka. Nikt nic nie podejrzewał. Przesyłki od listonosza odbierała albo ich matka Jadwiga, albo siostra Beata. Pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej w okolicznej Nowej Wsi. Uczyła polskiego, niemieckiego i edukacji zdrowotnej. Sąsiedzi wspominają też, że kiedyś była dyrektorką gimnazjum w Słobódce. Dyrektorka szkoły w Nowej Wsi nie chce rozmawiać o sytuacji rodziny Z.; do czasu rozwiązania sprawy nie będzie udzielać komentarza.

W styczniu 2026 r. zmarł Jan, ojciec rodziny. Sąsiedzi wspominają go jako człowieka powszechnie lubianego i darzonego zaufaniem. To właśnie nieobecność córki i syna na pogrzebie wzbudziła ich podejrzenia. – *Pytaliśmy matkę, gdzie są. Tłumaczyła, że ciężko im było załatwić urlop, by przyjechać do Polski* – mówi jeden z sąsiadów. Nie kryje wyrzutów sumienia i zastanawia się, czy mieszkańcy wsi mogli wcześniej dostrzec, że obok dzieje się coś złego. – *Nie drążyliśmy tematu. Skoro mówiono, że Marzena i Janusz wyjechali za pracą, to uznaliśmy, że gdzieś indziej ułożyli sobie życie.*

Dom rodziny Z. opustoszał, gdy 18 czerwca prokuratura postawiła dwóm kobietom zarzuty, a sąd zdecydował o ich tymczasowym aresztowaniu. Śledczy podejrzewają, że 70-letnia Jadwiga i jej 50-letnia córka Beata nie sprawowały właściwej opieki nad rodzeństwem. Miało być przetrzymywane w zamknięciu – na strychu lub w piwnicy.





eprasa.pl 332c627450

– *Zarzuty dotyczą fizycznego i psychicznego znęcania się nad rodzeństwem w latach 2010–26* – mówi rzecznik Prokuratury Okręgowej w Suwałkach Wojciech Piktel. Podkreśla, że okres zaniedbań mógł być dłuższy. Nieoficjalnie mówi się nawet o 30 latach. Według śledczych kobiety miały doprowadzić do zaniedbania potrzeb higienicznych, żywieniowych i zdrowotnych pokrzywdzonych. A ich skutkiem są problemy zdrowotne i psychiczne u obojga.

Śledczy dopiero ustalają pełną skalę zaniedbań oraz ich przyczyny. Zgromadzona dokumentacja medyczna ma pomóc w określeniu doznanych krzywd. Według prokuratury pokrzywdzeni byli na tyle niesamodzielni, że wymagali pomocy przy podstawowych czynnościach, takich jak przygotowywanie posiłków, przyjmowanie leków czy codzienna higiena.

– *Z mojej wiedzy wynika, że rodzeństwo nie było upośledzone umysłowo. Skończyli podstawówkę, normalnie funkcjonowali* – mówi Beata Skrocka, kierowniczka Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Suwałkach.

Dlaczego zatem rodzina ich odizolowała? Sprawiali problemy? Byli uciążliwi? Dziś trudno na te pytania odpowiedzieć. W małych miejscowościach ludzie mają opory, by zgłaszać się po wsparcie. – *Zwykle nie korzystają z pomocy społecznej. Gdyby służby dostały jakąkolwiek informację, że dzieje się coś złego, interweniowałyby od razu* – deklaruje Beata Skrocka.

Prawda o przetrzymywaniu rodzeństwa wyszła na jaw dzięki anonimowemu zgłoszeniu, które trafiło do Krajowej Mapy Zagrożeń Bezpieczeństwa. – *My dowiedzieliśmy się od dzielnicowego. Na drugi dzień pracownicy socjalni pojechali wraz z nim pod wskazany adres i weszli do domu. W środku zastali dorosłe już dzieci. Po krótkiej rozmowie zdecydowaliśmy o wezwaniu karetek pogotowia* – relacjonuje Skrocka. Dodaje, że zaniedbania były widoczne gołym okiem. Rodzeństwo było skrajnie wychudzone. Służby próbowały uzyskać dokumentację medyczną dwóch dorosłych już osób, jednak matka nie potrafiła przedstawić żadnych dokumentów dotyczących ich leczenia. Marzenę i Janusza przewieziono do szpitala. Najpierw na SOR, a później na oddział psychiatryczny.

Wójt gminy Suwałki Zbigniew Mackiewicz jest wstrząśnięty tą historią. Mówi, że nie znał rodziny Z. – *Jeśli sąsiedzi przez lata nie wiedzieli, co się dzieje w tym domu, to my, urzędnicy, tym bardziej nie mieliśmy takiej wiedzy* – tłumaczy. – *Wszyscy jesteśmy poruszeni.*

Jak mówi Beata Skrocka, trzeba będzie ustalić stopień niepełnosprawności rodzeństwa i zapewnić mu stałe źródło utrzymania. – *Kluczowe będą opinie lekarzy i wyniki badań. Dopiero wtedy będzie można podejmować dalsze decyzje o ich przyszłości, w tym o ewentualnym umieszczeniu w odpowiedniej placówce opiekuńczej. Mam nadzieję, że nie wrócą już do tego domu* – deklaruje. Według niej rodzeństwo powinno pozostać pod opieką specjalistów. Na razie trudno określić, czy Marzena i Janusz w ogóle mają szanse na usamodzielnienie się.

Tylko że osoby, które przez lata były przez bliskich przetrzymywane w izolacji, nie zawsze chcą opuścić swój dom i zerwać z dotychczasowym życiem. W marcu głośno było o sprawie 40-letniej Mirelli ze Świętochowic w województwie śląskim. Według śledczych kobieta miała być latami przetrzymywana przez swojego ojca w mieszkaniu. Nie wychodziła przez 27 lat. Sąsiedzi – tak jak mieszkańcy Wiatrołuży w przypadku Marzeny i Janusza – myśleli, że wyjechała za granicę.

Przedstawiciele tamtejszego MOPS-u oraz Prokuratura Rejonowa w Chorzowie wnioskowali o przymusowe umieszczenie kobiety w domu pomocy społecznej, ponieważ wymagała wsparcia w codziennym funkcjonowaniu. A ona w sądzie mówiła, że nie czuje się źle i chce zostać w domu: „W domu, w domu, po prostu w domu. Żadna krzywda mi się nie dzieje" – powtarzała.

Takich historii jest zaskująco wiele. 50-letnia Magdalena całe swoje dorosłe życie była przetrzymywana w zamkniętym na klucz małym pokoju na jednym z krakowskich osiedli. Sąsiedzi myśleli, że znajduje się w ośrodku. Interweniowali, kiedy zaczęli znajdować na swoich balkonach karteczki z błaganiem o pomoc. Na miejsce przyjechała policja, jednak po rozmowie z matką kobiety uznała, że problemu nie ma. Dopiero podczas kolejnej wizyty pracowników MOPS-u i policji udało się zmusić 78-letniego ojca do otwarcia pomieszczenia, w którym przebywała córka. Skrajnie wychudzona i zaniedbana była trzymana w toalecie. Nie miała zębów, głowę pokrywały resztki włosów. W zamknięciu spędziła 30 lat.

I kolejna historia – niewielka wieś Gaiki pod Głogowem na Dolnym Śląsku. 30-letnia Małgorzata przez cztery lata była więziona, bita i gwałcona przez swojego oprawcę w zamykanym na kłódkę pomieszczeniu gospodarczym. Kobieta nie miała dostępu do wody, toalety i ogrzewania. Sąd skazał Mariusza J. na dożywotnie pozbawienie wolności w systemie terapeutycznym.

Śledztwo w sprawie rodzeństwa z podsuwalskiej wsi toczy się z art. 207 par. 1a Kodeksu karnego (znęcanie się nad osobami nieporadnymi ze względu na wiek, stan psychiczny lub fizyczny) w związku z art. 207 par. 1 (znęcanie się nad osobami najbliższymi). Na razie jest na wczesnym etapie. Jadwiga z córką zostały tymczasowo aresztowane na dwa miesiące. Grozi im do ośmiu lat więzienia.

Sprawa rodzeństwa spod Suwałk, a także historie Mirelli, Małgorzaty i Magdaleny pokazują, że za zamkniętymi drzwiami często dzieją się dramaty. Są utrzymywane w tajemnicy, a cierpienie ofiar trwa nie tygodniami, ale latami, czasem wręcz całymi dekadami. Rodziny wykluczają swoich bliskich z dorosłości, zaniedbują ich potrzeby, pozbawiają edukacji, opieki i kontaktów międzyludzkich.

Każda z tych spraw jest trochę inna, ale wszystkie rodzą pytania, jak to możliwe, że w XXI w. można przez 20 czy 30 lat pozostawać niewidocznym dla systemu i dlaczego pomoc przychodzi dopiero wtedy, gdy skutki wieloletniej izolacji są trudne do odwrócenia. ■



Dom rodziny Z. w Wiatrołuży stoi dziś pusty. Tu przez wiele lat byli przetrzymywani w zamknięciu Marzena i Janusz.

© TOMASZ SZACHNO/AGENCJA WYBORCZA.PL (3)

eprasa.pl 332c627450



Zmienny cennik

Raz drożej, raz taniej – firmy odkryły, że w ten sposób można więcej zarobić, a przy okazji przywiązać do siebie klientów dzięki indywidualnym rabatom. Czy nieustanna cenowa huśtawka stanie się codziennością wszystkich zakupów?

CEZARY KOWANDA

Tegoroczny mundial jest nie tylko największy w historii – ma też zdecydowanie najdroższe bilety. Po raz pierwszy FIFA wykorzystuje mechanizm cen dynamicznych: koszt zakupu tego samego miejsca na konkretny mecz zmienia się wielokrotnie. Najpierw organizatorzy ustalili ceny na bardzo wysokim poziomie, sięgającym średnio kilku tysięcy dolarów za bilet. Gdy jednak okazało się, że na mniej atrakcyjnych spotkaniach (a takich nie brakuje z powodu obecności aż 48 drużyn) mogą być pustki na trybunach, ceny zaczęły spadać. Mimo oburzenia wielu kibiców FIFA argumentuje, że im wyższe zyski

eprasa.pl 332c627450

ze sprzedaży biletów, tym lepiej. Bo podobno w ten sposób futbol będzie rozwijać się w biedniejszych krajach dzięki projektom łaskawie sponsorowanym przez światową organizację piłkarską.

Mechanizm cen dynamicznych w przypadku piłki nożnej wciąż jest nowością, choć w wielu innych branżach istnieje od dawna. Prekursorem było lotnictwo, gdzie dzisiaj gwałtowne wahania cen biletów już nikogo nie dziwią. Nawet w liniach, które chętnie nazywają się tanimi, przelot na europejskich rejsach w jedną stronę może kosztować zarówno kilkadziesiąt złotych, jak i ponad tysiąc.

Głównym czynnikiem decydującym o cenie jest popyt ze strony klientów. – *Ostatnio ta zasada okazała się nawet korzystna dla podróżnych. Z powodu wojny z Iranem i ogromnej niepewności wśród pasażerów linie lotnicze zostały zmuszone do utrzymywania cen na loty wakacyjne na poziomie niższym od tego sprzed roku. Gdy tylko przewoźnicy próbują mocniej podnieść ceny, natychmiast zainteresowanie klientów maleje. Z jednej strony każdy przewoźnik stara się oczywiście sprzedawać bilety jak najdrożej, ale równocześnie nie ma nic gorszego niż fotel, który poleci pusty. Drastyczny przykład wahań cen dotyczył w ostatnich miesiącach połączeń na Cypr, które stały się dużo tańsze, gdy klienci zaczęli unikać lotów na tę wyspę z powodu obaw o bezpieczeństwo* – mówi Mariusz Piotrowski z portalu fly4free.pl.

Podkreśla on, że dziś w lotnictwie ceny dynamiczne dotyczą już nie tylko samego biletu, ale również usług dodatkowych – jak bagaż rejestrowany, pierwszeństwo wejścia na pokład czy fotel z większą przestrzenią na nogi. Nawet za takie udogodnienia płacimy już nie według sztywnego cennika, ale w zależności od czasu odlotu, kierunku podróży i zainteresowania klientów. Nie brakuje samozwańczych ekspertów, którzy w sieci udzielają rad innym, jak najlepiej upolować tani bilet. Kiedy zatem najlepiej rezerwować – rano, wieczorem, we wtorek czy w sobotę? – *Niestety, nie istnieje żadna żelazna reguła. Teoretycznie nieco drożej może być w weekendy, gdy mamy więcej czasu na porównywanie ofert, co mogą wykorzystać linie. Jednak w rzeczywistości ceny zmieniają się tak często, że kto chce lecieć taniej, musi po prostu sprawdzać je w różnych momentach* – podpowiada Piotrowski.

Ceny dynamiczne podpatrzyły w lotnictwie koleje. W przypadku pociągów algorytmy nie są jeszcze tak bezwzględne. Na przykładzie PKP Intercity widać, że kolejarze są nieco bardziej powściągliwi w stosowaniu dynamicznych cenników. Pierwsza istotna różnica to ceny maksymalne – w przypadku pociągów nie są one tak wygórowane jak w liniach lotniczych. Na przykład Pendolino w drugiej klasie kosztuje najwyżej 169–225 zł, w zależności od trasy. Poza tym koleje zazwyczaj stosują prostszą zasadę niż przewoźnicy lotniczy. Do sprzedaży udostępniane są kolejne pule cenowe biletów – od najtańszej do najdroższej. Tymczasem cena na konkretny lot wielokrotnie zarówno rośnie, jak i spada – a przewoźnicy testują w ten sposób skłonność klienta do zakupu.

Ceny dynamiczne stały się też podstawą funkcjonowania branży taksówkarskiej, od kiedy ogromną popularność zdobył Uber i inne firmy działające na podobnych zasadach jak Bolt czy Lyft. Algorytmy na bieżąco wyliczają proponowaną cenę przejazdu dla klienta, biorąc pod uwagę aktualną liczbę zarówno pasażerów, jak i dostępnych kierowców. Taki mechanizm oznacza, że gdy zainteresowanie jest mniejsze, ceny okazują się bardzo atrakcyjne – znacznie niższe od tych stosowanych standardowo przez tradycyjne korporacje taksówkarskie, które w ten sposób tracą potencjalnych klientów. Jednak gdy chętnych na przejazd dzięki aplikacji jest więcej (np. w weekendowe noce), opłaty natychmiast rosną. Czasem nawet drastycznie.

O ile w przewozach zmienne ceny przyjmujemy już jako coś oczywistego, o tyle kontrowersje budzą one w branży koncertowej. Szczególne oburzenie fanów towarzyszyło sprzedaży biletów na trasę grupy Oasis w 2024 r. Osoby starające się zarezerwować wejściówki musiały czekać w wirtualnej kolejce, a w międzyczasie ceny rosły. Gdy pojawiała się wreszcie możliwość zakupu biletu, trzeba było płacić dużo więcej niż cenę, która wyświetlała się na początku procesu rezerwacji. – *W Polsce ceny dynamiczne praktycznie nie funkcjonują, niezależnie od tego, czy mówimy o artystach polskich czy zagranicznych. Temat bywa upraszczany i sprowadzany głównie do wzrostów cen, choć mechanizm działa w obie strony – ceny mogą rosnąć przy wysokim popycie, ale też spadać przy niższym* – podkreśla Bartosz Troński, prezes serwisu eBilet.

Jednak niektórzy starają się zwiększyć zyski w przypadku najpopularniejszych wydarzeń. Platforma Ticketmaster należąca do koncernu Live Nation ma w ofercie bilety platinum. Wbrew nazwie nie chodzi o żadne ekskluzywne wejściówki, ale po prostu o ostatnie dostępne bilety, które kosztują znacznie więcej. Wzorem linii lotniczych organizatorzy liczą na zdesperowanych, którzy kupują, gdy dostępnych miejsc jest już bardzo mało. Na nich można najwięcej zarobić.

Zmieniające się nieustannie ceny dotarły nawet do branży energetycznej. Koncerny oferują – także gospodarstwom domowym – taryfy dynamiczne, w których koszt zakupu jednej kilowatogodziny zmienia się nawet co 15 minut w ciągu dnia. Jednak w tym przypadku klienci są informowani z wyprzedzeniem. Codziennie po południu można sprawdzić, ile będzie kosztować prąd kolejnego dnia o każdej porze. Ma to umożliwić lepsze zaplanowanie czynności zużywających więcej energii jak pranie, ładowanie samochodu elektrycznego, a nawet ogrzewanie za pomocą pompy ciepła. Ta zmienność cen powinna pomóc w rozwoju odnawialnych źródeł energii – gdy jest dużo prądu dzięki panelom fotowoltaicznym albo wiatrakom, cena za kilowatogodzinę staje się bardzo niska, a czasem nawet ujemna. Na razie energetyczne taryfy dynamiczne nie cieszą się dużą popularnością, ale w przyszłości mogą stać się rozwiązaniem standardowym.

Dynamiczne cenniki kojarzymy przede wszystkim z technologicznym postępem, bo to algorytmy, wspierane przez rosnącą w siłę sztuczną inteligencję, pozwalają je stosować na coraz większą skalę. Ale czy na pewno mamy do czynienia z nowym rozwiązaniem? – *To sklepowa etykieta z jedną taką samą ceną dla każdego klienta jest raczej stosunkowo nowym wynalazkiem, bo pojawiła się pod koniec XIX w. Kiedyś to właśnie ceny dynamiczne były standardem, tyle że w wersji analogowej. Na przykład handlująca jajkami na straganie miała swój algorytm – patrzyła, która jest godzina, ile zostało jej towaru, ilu jest dzisiaj klientów i jak wygląda ten, który właśnie pyta o jaja. Na tej podstawie ustalała na bieżąco swoją cenę. Jak najbardziej dynamiczną* – mówi Maciej Kraus, wykładowca zarządzania cenami na Uniwersytecie Stanforda, partner w funduszu Movens Capital. ▶

© KATARZYNA LEDWON/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 332c627450

▶ Im więcej nowoczesności w ustalaniu cen, tym większa dezorientacja wśród klientów. Tym bardziej że dzisiejsza technologia pozwala już nie tylko na bardzo częste zmienianie cen, ale także ich personalizowanie. Mówiąc wprost, sklepy internetowe mogą wyświetlać za ten sam towar różne ceny różnym klientom – biorąc pod uwagę na przykład, ile razy wcześniej robili u nich zakupy, z jakiego urządzenia się logują (droższy telefon może oznaczać bogatszego konsumenta) czy jakie produkty ostatnio wyszukiwali. – *Na razie takie mechanizmy jeszcze nie są u nas powszechnie stosowane. Tym bardziej że jako klienci uważamy taką praktykę za niesprawiedliwą. Jednak nie mamy już nic przeciwko personalizowaniu rabatów i właśnie takie rozwiązania coraz częściej wykorzystują sprzedawcy. Oferują zniżki dostosowane do profilu konkretnego klienta. Wszyscy widzimy na stronach sklepu tę samą cenę, ale potem dostajemy już osobistą propozycję* – opisuje Maciej Kraus.

W praktyce takie spersonalizowane rabaty są już powszechne – wykorzystuje je chociażby Biedronka, lider polskiego handlu detalicznego, w swojej aplikacji, której używa niemal 17 mln Polek i Polaków. Tam dostępne są specjalne zniżki (pod hasłem Shakeomat), wyliczane na podstawie wiedzy, jaką sieć ma o swoich klientach. Analizuje ich dotychczasową historię zakupów i kusi rabatami zwłaszcza na produkty, które częściej kupujemy. Mamy zatem jako konsumenci trudny wybór: albo dajemy się śledzić koncernom i w zamian za to możemy dostać trochę niższe ceny, albo odmawiamy współpracy (czyli usuwamy pliki zwane ciasteczkami z komputera, przeglądamy strony w trybie incognito, nie instalujemy żadnych aplikacji lojalnościowych), lecz wtedy nie mamy co liczyć na dodatkowe promocje.

A co mówią na temat dynamicznych cen przepisy? Jak informuje Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ich stosowanie nie jest w Polsce zabronione. Jednak obowiązuje ważna zasada: przedstawiona cena musi być ostateczna. Sprzedawcy nie wolno jej zmieniać, gdy już wybierzemy konkretną ofertę i przejdziemy do strony z płatnością. To punkt sporny zwłaszcza w przypadku branży turystycznej, która też stosuje algorytmy nieustannie zmieniające ceny wycieczek. UOKiK ukarał w ostatnich latach dwa duże serwisy za to, że proponowana przez nie w wynikach wyszukiwania kwota za wyjazd nagle rosła, gdy klient chciał wybrać konkretną ofertę. Karę miliona złotych za taką praktykę pod koniec 2023 r. urząd nałożył na portal wakacje.pl. Natomiast w kwietniu tego roku za podobne nieprawidłowości skrytykowany został serwis travelplanet.pl. Ma on zapłacić 650 tys. zł.



Inteligentne etykiety elektroniczne, tzw. cenówki, pozwalają zmieniać kwoty nawet kilka razy dziennie

Taryfy dynamiczne można wykorzystywać bez większych ograniczeń, ale już personalizacja cen jest bardziej uregulowana dzięki unijnym przepisom. Kto ją stosuje, ten musi o tym z góry poinformować klientów. Nie wolno również uzależniać wysokości cen od płci ani wyznania.

Czy przyszłość to coraz więcej coraz bardziej różnych i często zmieniających się cen? Raczej nie ma co do tego wątpliwości. Przykładem nowych możliwości technicznych są stosowane powszechnie w dyskontach elektroniczne cenówki. Sieci podkreślają, że mają one ułatwić pracę obsłudze i zmniejszyć ryzyko pomyłek. Jednak w ten sposób otwiera się pole do wprowadzania częstych zmian cen – na przykład lodów taniejących, gdy spada temperatura, i drożejących, kiedy mocno świeci słońce.

Na razie jeszcze do tego poziomu zarządzania cenami nie doszliśmy, ale temat zmienności został wykorzystany w wojnie cenowej dwóch największych w Polsce dyskontów. Lidl zarzuca Biedronce, że ta różnicuje ceny niektórych produktów – w jednych sklepach portugalskiej sieci są one wyższe, a w innych niższe. Biedronka oficjalnie się na ten temat nie wypowiada, ale tak rzeczywiście się zdarza. Zazwyczaj taniej jest w punktach zlokalizowanych blisko Lidla, a drożej w tych, które nie mają obok siebie konkurencji. Niemiecka sieć próbuje w reklamach wysłać jasny komunikat dla klientów: u nas jesteście traktowani uczciwie, bo wszędzie mamy te same ceny, a kupując u konkurencji, możecie przepłacić.

Sprzedawcy przekonują, że ceny dynamiczne, czyli spersonalizowane, to dla nas świetna wiadomość. Bo dzięki temu możemy zapłacić mniej. – *To oczywiście fałszywa narracja, podobna do tej używanej przez serwisy typu Airbnb, Booking czy Uber, które kiedyś mówiły o dobrodziejstwach ekonomii współdzielenia. Potem okazało się, że chodzi o maksymalizację zysku, a nie o żadną demokratyzację dostępu do usług. Tak samo jest i w tym przypadku. Przy cenach dynamicznych poziom ryzyka konsumenta jest znacznie wyższy niż sprzedającego. To my jako klienci mamy bać się, że cena zaraz wzrośnie, i kupić jak najszybciej. Jeśli firmy będą na coraz większą skalę stosować taką taktykę, czeka nas bunt społeczny. A jego efektem będzie regulacja, którą tak ostro zawsze krytykują przedsiębiorcy. Tymczasem stosując coraz bardziej skomplikowane algorytmy cenowe, sami mogą doprowadzić do takich skutków* – podkreśla Michał Herde, prezes warszawskiego oddziału Federacji Konsumentów.

Pierwsze przykłady takiej regulacji zresztą już są, tyle że w USA. Tam pojawiło się personalizowanie cen nawet w sklepach internetowych sprzedających żywność. Oburzenie było tak duże, że w kilku stanach lokalni politycy uchwalili ustawy zakazujące uzależniania wysokości cen od informacji zbieranych przez handlowców w sieci na temat klientów. Na razie nie wiadomo, czy powstrzyma to pochód dynamicznych cenników. Coraz bardziej skomplikowane zasady ustalania cen mają poważne konsekwencje nie tylko dla naszych portfeli, ale też zdrowia psychicznego.

Możemy od czasu do czasu polować na tańsze oferty, szukając biletów lotniczych, wyjazdu z biurem podróży czy wejściówki na koncert. Jeśli jednak taka praktyka zaczyna nam towarzyszyć w codziennych zakupach, to prosta droga do nerwicy. Bo przecież zawsze można sobie zarzucić, że nie wykorzystaliśmy jakiegoś rabatu, nie zauważyliśmy dostępnej w aplikacji obniżki albo przegapiliśmy moment, gdy bilet był nieco tańszy. I w efekcie przepłaciliśmy. Sprzedający, którzy wykorzystują coraz bardziej zaawansowane technologie, mogą oczywiście liczyć, że dzięki nim zarobią na nas więcej. Jednak ten postęp ma swoje granice. Wyczerpany konsument w końcu będzie miał dość. Zacznie szukać sklepu, który ośmieli się powiedzieć, że u niego może i nie ma atrakcyjnych promocji, ale za to ceny są takie same dla wszystkich. Codziennie, o każdej porze i bez aplikacji.

CEZARY KOWANDA

© MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl 332c627450



Auto w subskrypcji

Auta na abonament, auta współdzielone, wynajmowane na miesiące, na lata albo na minuty. Przybywa możliwości, dzięki którym można używać samochodu, unikając właścicielskich kłopotów. Coraz częściej kupujemy mobilność, a nie blaszane cacko.

ADAM GRZESZAK

© ILYA LUKICHEV/SHUTTERSTOCK

Zagadka: jaki jest najlepszy samochód na świecie? Oczywiście służbowy. Ten żart powtarzają sobie często polscy pracownicy, bo przydział służbowego auta z możliwością wykorzystywania do celów prywatnych uznawany jest za atrakcyjny benefit, czyli pozapłacowy składnik wynagrodzenia. Wprawdzie jest on opodatkowany, ale i tak się opłaca, bo zdejmuje użytkownikowi z głowy masę problemów i kosztów, jakie normalnie ponosi prywatny właściciel.

Trudno jednoznacznie powiedzieć, jak wielu Polaków jeździ najlepszymi samochodami świata, ale zważywszy, że dwie trzecie nowych aut osobowych kupowane jest przez firmy, to ocenia się, że nawet dwóm milionom osób pracodawcy zapewniają pojazd. A to zwykle zwalnia ich z konieczności utrzymywania prywatnych.

Trudności w obliczeniach wynikają z tego, że w statystyce zakupów firmowych uwzględniane są nie tylko duże przedsiębiorstwa, ale także biznesowy plankton, czyli osoby ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. Dla nich zakup na firmę, choć potem auto wykorzystywane jest do celów prywatnych, to wygodny sposób na obniżenie kosztów. Dodatkową korzyścią zakupu na firmę jest też możliwość skorzystania z leasingu. Wprawdzie jest też leasing konsumencki, dla nabywców prywatnych, ale niezbyt popularny. Powodem są regulacje, które sprawiają, że leasingodawca, obsługując konsumenta, musi wziąć na siebie dodatkowe ryzyka, zwłaszcza prawne, które w relacjach z przedsiębiorcą nie występują. W efekcie nie wszyscy oferują leasing konsumencki, bo jest on droższy.

Mieć ciastko i zjeść ciastko

Leasing to skrzyżowanie kredytu z dzierżawą. Samochód pozostaje własnością firmy leasingowej, a użytkownik w okresie obowiązywania umowy płaci miesięczne raty. Po jej zakończeniu może za ustaloną, zwykle niewielką, kwotę auto wykupić, stając się pełnoprawnym właścicielem, lub zwrócić je leasingodawcy. Do tego momentu jednak musi o auto dbać jak o własne, pilnując, by było ubezpieczone, jeżdżąc na przeglądy, do serwisu na naprawy, wymieniając opony, wszystko za własne pieniądze. Wiele osób nie ma do tego głowy ani czasu, chciałoby z auta korzystać, ale żeby resztą zajął się ktoś inny.

Nawet duże firmy z licznym parkiem samochodowym często dochodzą do wniosku, że utrzymywanie własnych specjalistów, czyli fleet managerów dbających o auta, jest za drogie, i rozglądają się za tańszym rozwiązaniem. Tak narodził się *full service leasing*, zwany też wynajmem długoterminowym z pełną obsługą. W wynajmie długoterminowym wszystkie obowiązki i koszty związane z serwisowaniem auta, ubezpieczeniem, naprawami, wymianą opon itd. bierze na siebie firma leasingowa. – *Zaletą wynajmu długoterminowego jest przewidywalność wydatków. Przy założonych parametrach umowy klient z góry zna miesięczne koszty użytkowania i unika większości niespodziewanych wydatków związanych z eksploatacją pojazdu. Kupuje zatem komfort użytkowania i czas związany z obsługą samochodu. Dodatkowo na koniec umowy może auto zwrócić, jednocześnie wynająć kolejne – nowe, nie martwiąc się, że poprzednie straciło na wartości* – wyjaśnia Anna Makarewicz, członek zarządu Polskiego Związku Wynajmu i Leasingu Pojazdów.

Umowy wynajmu długoterminowego zawierane są na co najmniej 24 miesiące, ale jest pewien haczyk. – *Wynajmując auto, trzeba określić maksymalny roczny przebieg. Od tego, jak długo i jak intensywnie auto będzie eksploatowane, będzie zależeć wartość rezydualna samochodu, czyli to, za jaką cenę leasingodawca będzie mógł je potem odsprzedać. Na tej podstawie kalkulowana jest wysokość raty najmu* – dodaje Anna Makarewicz.

Długoterminowcy

Koszt wynajmu długoterminowego może być różny w przypadku różnych klientów (długość umowy, limit kilometrów, wkład własny, ubezpieczenie), jednak w przypadku auta średniej klasy typu Skoda Octavia czy Volkswagen Golf trzeba się liczyć z wydatkiem 1,7–3,1 tys. zł miesięcznie. Nie wszyscy są na to gotowi. – *Miałem do wyboru leasing albo wynajem długoterminowy* – mówi Marcin, analityk z agencji badań rynkowych, użytkownik VW Golfa. – *Mam zarejestrowaną jednoosobową działalność gospodarczą, więc wybrałem leasing, głównie dlatego, że po zakończeniu umowy chcę wykupić auto. Jestem jakoś przywiązany do własności, a przy wynajmie to byłoby niemożliwe. Ale córka, która właśnie myśli o własnym aucie, poważnie rozważa wynajem.*

Liczba aut wynajętych długoterminowo na polskim rynku doszła już do 290 tys. W ubiegłym roku branża zanotowała ponad 7-procentowy wzrost. Dziś prawie co czwarty nowy samochód firmowy trafia do wynajmu długoterminowego. To chętnie wybierana opcja, zwłaszcza przez przedsiębiorców. Z myślą o klientach prywatnych wprowadzono system abonamentowy, zwany też subskrypcyjnym, prostszy, umożliwiający szybsze wymiany auta, w którym umowy zawierane są na krótsze okresy, liczone w miesiącach. Tak jak Arval Flex, wynajem subskrypcyjny dla osób prywatnych i mikrofirm oferowany przez firmę Arval z Grupy BNP Paribas.

Uzupełnieniem wynajmu długoterminowego jest wynajem krótkoterminowy na godziny albo pojedyncze dni, czyli wypożyczalnie samochodów. Działa w Polsce kilkadziesiąt wypożyczalni *rent-a-car*, dysponujących ok. 20 tys. aut. Korzystają z nich krajowi i zagraniczni turyści, osoby w delegacji, które przyleciały samolotem lub przyjechały pociągiem, osoby potrzebujące auta towarowego, bo muszą przewieźć większy ładunek, albo chwilowo pozbawione własnego samochodu.

Samochód jako usługa

„W Polsce istnieje coraz większe zapotrzebowanie na usługi oparte na użytkowaniu, a nie posiadaniu. Szczególnie młodzi konsumenci są już gotowi na ten model i mają znacznie mniejszą potrzebę kupowania rzeczy na własność. Dlatego postanowiliśmy zaoferować model subskrypcyjny, który umożliwia płacenie za auto tylko wtedy, gdy z niego korzystamy. Kiedy przestaje być nam potrzebne, możemy z niego zrezygnować bez żadnych zobowiązań" – tłumaczył Maciej Przyborowski, connected cars & mobility manager w Arval Service Lease Polska.

– *Tracimy dawny emocjonalny stosunek do samochodu. Przestaje być symbolem statusu, chcemy, by zapewnił nam po prostu możliwość podróżowania w odpowiednim komforcie za adekwatną cenę. Branża motoryzacyjna na to reaguje, rozwijając rynek leasingu i alternatywnych do własności form użytkowania aut* – wyjaśnia Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Ta reguła działa w przypadku większości aut – od popularnych po marki premium. Inaczej sprawa wygląda z autami luksusowymi. Tu emocje i prestiż wciąż grają rolę. Nikt nie pyta o najem długoterminowy Rolls-Royce'a czy Ferrari.

W Polsce działa ponad 30 firm leasingowych. Ich właścicielami są najczęściej banki (PKO, mBank, Santander) albo spółki finansowe lub bankowe koncernów samochodowych. – *Nasza rzeczywistość szybko się zmienia, zmieniają się też potrzeby klientów, na rynek wkraczają nowe pokolenia, które zupełnie inaczej definiują swoje potrzeby mobilności. Musimy się do tego dostosowywać* – wyjaśnia Piotr Staniewski, pełnomocnik zarządu PZWLP.

Zmiana, jaką przynieśli ze sobą milenialsi i zetki, kryje się w haśle „samochód jako usługa" (CaaS – *car as a service*) albo szerzej „mobilność jako usługa" (MaaS – *mobility as a service*). Młodzi nie chcą kupować samochodu, chcą kupić możliwość

eprasa.pl 332c627450



Rynek stara się nadążyć za młodym pokoleniem, dla którego auto jest kolejną konsolą, tyle że mobilną.

podróżowania samochodem. – *Zwracają też większą uwagę na ekologię, więc rośnie zainteresowanie autami elektrycznymi, rozwiązaniami cyfrowymi, a branża odpowiada na te oczekiwania* – dodaje Staniewski.

Auto ze spółdzielni

Samochód można znaleźć w gospodarstwach domowych 88 proc. Polaków, z czego 83 proc. z nich sfinansowało zakup gotówką lub kredytem. Dominuje własność nad leasingiem i wynajmem, ale aż 23 proc. respondentów przewiduje, że za 10–15 lat w Polsce przeważającą formą finansowania będą wynajem długoterminowy lub subskrypcje – takie wnioski płyną z badania Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych (IBRiS) na zlecenie Santander Consumer Multirent.

Eksperci z krakowskiej firmy doradztwa cyfrowego Grape Up wyliczają czynniki wpływające na zmiany preferencji konsumentów. Po pierwsze, podróżujemy znacznie częściej, ale na krótszych dystansach. Nie zawsze samochodem, ponieważ pojawiają się nowe, tańsze środki transportu. O wszystkim zadecyduje rozwój technologii – łączność, autonomiczna jazda, współdzielona mobilność, elektryfikacja. Spośród 55 dostawców nowych usług mobilnych działających w krajach europejskich największą popularnością cieszą się te z obszaru carsharingu, wynajmu samochodów i współdzielenia P2P.

Carsharing, czyli auta na minuty, to kolejna forma najmu aut, tyle że krótkotrwałego. W tym modelu działają publiczne systemy wypożyczania także innych środków transportu – rowerów miejskich, hulajnóg elektrycznych, skuterów. To kolejne nowe zjawisko: mikromobilność i multimodalność miejska, czyli łączenie na jednej trasie różnych środków transportu – tramwaju, hulajnogi, roweru, taksówki na aplikację. Miasta promują multimodalność, by ograniczać ruch samochodowy.

Ten trend promowany jest w wielu krajach. Przoduje zwłaszcza Szwajcaria. – *Nie mam samochodu, bo go nie potrzebuję. Większość moich znajomych też obywa się bez własnego auta* – mówi Adam Ohnesorge, młody mieszkaniec Zurychu, który pracuje w stołecznym Bernie, dokąd dojeżdża pociągiem. Posiadanie auta w Zurychu robi się zresztą coraz trudniejsze, bo władze miasta systematycznie redukują liczbę miejsc parkingowych – *Mamy świetny transport publiczny, niemal do każdego miasta można dojechać koleją. Przy dworcach są parkingi sieci Mobility Carsharing, gdzie można wypożyczyć auto. Są tam małe modele, trochę większe, kombi, aż po towarowe vany. Zarezerwować można je w aplikacji. Potem trzeba je odstawić na to samo miejsce.*

Największą osobliwością sieci Mobility jest to, że ma ona prawną formę... spółdzielni. Mobility chwali się, że dorobiła się blisko 300 tys. klientów, z czego 76 tys. to spółdzielcy. Ci ostatni płacą trochę niższą stawkę, a mimo to zarządzana demokratycznie (jak to w Szwajcarii) kooperatywa jest rentowna i się rozwija.

Bariera kulturowa

W Polsce przed 2020 r. także zapanowała moda na carsharing. Działalność zaczęło kilkanaście firm, do dziś ostały się tylko dwie – Traficar i 4Mobility. Działają w kilku dużych aglomeracjach. Do zeszłego roku był jeszcze Panek CarSharing, największa sieć z 2,7 tys. aut jeżdżących w 250 miastach. Firmę zabiły kolejne plagi – covid, wzrost cen paliwa, rosnące stawki ubezpieczeń (bo użytkownicy do ostrożnych nie należeli), brak ulg w strefach płatnego parkowania. Jednak najboleśniejsza okazała się ostatnia plaga – klienci wandale. Auta były systematycznie dewastowane, okradane, niszczone. Okazało się, że nowy trend zderzył się ze starą barierą kulturową. Firma musiała zrezygnować z aut na minuty i wróciła do aut na dni, czyli do *rent-a-car* oraz wynajmu długoterminowego.

Nowy model mobilności zakłada elastyczne podejście do własności pojazdu. Leasing, wynajem długo- i krótkoterminowy, subskrypcja, współdzielenie – rynek stara się nadążyć za młodym pokoleniem wychowanym na Netfliksie czy Spotify, dla którego auto jest kolejną konsolą, tyle że mobilną. To także trend *worry-free*, czyli uwolnienia od zmartwień, jakie wiele firm swoim klientom obiecuje w reklamach. Podróżowanie zaś to po prostu usługa, którą można zasubskrybować. *Don't worry, be happy.*

ADAM GRZESZAK

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 332c627450



O źródłach superwładzy prezydenta w świętującej jubileusz Ameryce opowiada Eric Nelson, historyk polityki z Harvardu.

Milczący

MATEUSZ MAZZINI: **– Gdyby ojcowie założyciele amerykańskiej republiki spojrzeli na nią dzisiaj, rozpoznaliby po 250 latach swoje dzieło?**

ERIC NELSON: – Gdyby spojrzeli na bieżące działania naszego rządu, byliby całkowicie zbulwersowani posunięciami obecnego prezydenta. Zacznijmy jednak od tego, że nigdy nie istnieli ojcowie założyciele rozumiani jako spójna grupa ludzi o wspólnych celach i założeniach względem amerykańskiej państwowości. To byli zróżnicowani ludzie o bardzo odmiennych poglądach i zupełnie innych obawach o przyszłość. Jako monolit wykreowaliśmy ich my sami, późniejsze pokolenia.

Mimo wszystko łączył ich jeden konkretny cel ustrojowy: pragnienie, by zapobiec tyranii, zablokować drogę do jednowładztwa. Dlatego interesuje mnie, co powiedzieliby o dzisiejszej władzy wykonawczej w USA.

Panuje przekonanie, że James Madison, Alexander Hamilton i inni twórcy republiki wierzyli, że tworzą projekt, który jest odporny na ludzkie błędy – i po prostu na ludzką głupotę. Nie

eprasa.pl 332c627450



Prezydent Donald Trump wygłasza orędzie o stanie państwa podczas posiedzenia Kongresu, Waszyngton, 24 lutego 2026 r.

© KENNY HOLSTON-POOL/GETTY IMAGES

Kongres

zgadzam się z tym punktem widzenia. Nie uważam, że byli przekonani o nienaruszalnej wytrzymałości tworzonego przez siebie systemu. Immanuel Kant mówił kiedyś, że państwo powinno wytrzymać „diabła na każdym stanowisku" – nie sądzę, by twórcy państwa amerykańskiego tak patrzyli na swoje dzieło. Wręcz przeciwnie, moim zdaniem byli przekonani, że państwo to przetrwa tylko w przypadku, gdy najważniejsze funkcje pełnić w nim będą ludzie o bardzo konkretnym rysopisie moralnym: opanowani, powściągliwi i skromni. Dlatego sądzę, że gdyby popatrzyli na to, co dzieje się dzisiaj z amerykańskim rządem federalnym, byliby bardzo mocno zaniepokojeni. Mieliby problemy z wytłumaczeniem sobie większości procesów, które by dziś zobaczyli.

Z naruszeniem zasad konstytucyjnych na czele.

Często mówi się o Donaldzie Trumpie, że narusza zasady konstytucyjne, przyznaje sobie kompetencje, których nie dała mu konstytucja – ale ten problem ma inną naturę. W Stanach rozumiemy to słabo, za granicą pewnie jeszcze gorzej. Wiele z obszarów, w których Trump wywołał kryzys prawny czy ustrojowy, to nie są domeny prawa konstytucyjnego. Ani regulacje dotyczące imigracji, ani polityka celna, ani prerogatywy stanu wyjątkowego to nie są, ściśle rzecz ujmując, tematy, którymi zajmuje się konstytucja.

Jeśli nie są to kwestie konstytucyjne, to jakie?

Ustawowe. Gdybym miał wytypować jedną rzecz, która Madisona, Hamiltona i innych najbardziej by zdziwiła, a nawet zszokowała, to dzisiejsza rola Kongresu. Kongres scedował na rzecz władzy wykonawczej całą masę swoich konstytucyjnych prerogatyw. To stary proces, który zaczął się w tzw. długim XX w., a dziś z wielu względów jest wyraźniejszy, bardziej widoczny.

Na czym polega?

Weźmy pierwszy przykład z brzegu. Jeśli wczytać się dokładnie w amerykańską konstytucję, prezydent nie ma żadnej konkretnej prerogatywy w kwestii imigracji. Zresztą nawet obecna administracja to przyznaje – to Kongres przekazał prezydentowi te uprawnienia na mocy ustawy. Mają więc legitymizację, ale nie wywodzą się bezpośrednio z konstytucji. Należy zadać pytanie, czy prezydent realizuje te kompetencje zgodnie z założeniami ustawy, na mocy której Kongres mu je przekazał – w moim odczuciu absolutnie nie, w wielu aspektach. To samo ćwiczenie można przeprowadzić z cłami. Tu też prezydent ma prawo realizować jakąś politykę wyłącznie dlatego, że Kongres mu na to ustawowo pozwolił. I w tym wypadku należałoby sprawdzić, czy prezydent postępuje tak, jak każe ustawa, czy przestrzega zawartych w niej ograniczeń. Także tu odpowiedź jest negatywna.

Wynika z tego, że obecna sytuacja prawno-ustrojowa nie jest dziełem Trumpa. On tylko korzysta z dekad tendencji sprzyjających urzędowi prezydenta i wykorzystuje to do własnych celów.

Każdy amerykański politolog powiedziałby panu, że jeśli jest jedna rzecz, której twórcy republiki nie przewidzieli, są nią partie polityczne. Jeśli wrócimy do oryginalnej myśli Hamiltona, którą zawarł w „The Federalist", zobaczymy, że według niego wartością mającą gwarantować stabilność ustroju była zazdrość. Hamilton zakładał, że ludzie zajmujący ważne stanowiska w różnych odnogach rządu będą sobie nawzajem zazdrościć swoich prerogatyw. A w związku z tym będą chronić kierowane przez siebie instytucje, żeby inni nie weszli na ich obszar kompetencyjny. Nie zakładali jednak, że w przyszłości pojawią się partie polityczne i że może dojść do sytuacji, w której wszystkie te kluczowe role zostaną obsadzone przez ludzi z jednego ugrupowania i wtedy ta wzajemna zazdrość wyparuje. Nie wzięli też pod uwagę tego, że jeśli trafi się ktoś, kto jest w stanie zamienić całą partię w kult jednostki, Kongres nie będzie miał problemów z całkowitym podporządkowaniem się prezydenturze i oddaniem niezależności.

I to zamyka sprawę?

Żeby być precyzyjnym: niektóre z kryzysów ustrojowych, które wywołał Trump, są jak najbardziej zagadnieniami konstytucyjnymi. Obecna administracja chciałaby całkowicie zlikwidować prawo do obywatelstwa dla osób urodzonych na terytorium USA. ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ To już kwestia konstytucyjna, bo bezpośrednio dotyczy 14. poprawki i tego, jak była ona interpretowana przez ostatnie 160 lat.

Immunitet prezydenta i niemożność postawienia go przed sądem to również zagadnienie konstytucyjne. Pojawiają się ludzie, którzy w niski i absurdalny sposób interpretują 22. poprawkę, próbując przekonać świat, że trzecia kadencja nie byłaby sprzeczna z konstytucją. To też jak najbardziej dotyczy ustawy zasadniczej. Z kolei rzeczy takie, jak naloty ICE na miasta i tamtejsze społeczności, używanie kompetencji czasów stanu wyjątkowego z powodu sytuacji na granicy czy nakładania ceł na wszystkie kraje na świecie – to wszystko wynika już z ustawy. Jeśli Kongres miałby wolę polityczną, mógłby choćby jutro przegłosować ustawę, która wszystkie te kompetencje momentalnie prezydentowi odbierze. Ale takiej woli nie ma.

Jeśli więc ten problem jest z natury historyczny, gdzie szukać jego źródła? W systemie dwupartyjnym? Wydaje się, że w pewnym momencie ta wzajemna zazdrość między urzędami po prostu musiała zniknąć.

Na pierwszy rzut oka tak, choć dzisiejsza perspektywa, naznaczona obecną sytuacją, trochę zniekształca nam obraz układu sił w amerykańskim rządzie. Jeśli spojrzymy na wzajemne relacje różnych typów władz w okresie, który można nazwać szczytem imperialnej potęgi USA, czyli pomiędzy 1945 r. a zamachami z 11 września 2001 r., to tak naprawdę prezydentura i Kongres rzadko były jednocześnie kontrolowane przez tę samą partię. Demokraci mieli większość w Izbie Reprezentantów przez ponad 40 lat, a w tym czasie większość prezydentów stanowili Republikanie. Pod rządami Eisenhowera, Nixona, Forda, Reagana czy George'a Busha seniora przynajmniej jedna, a czasem obie izby Kongresu kontrolowane były przez Demokratów. Istniała więc równowaga, która dzisiaj zniknęła. Przez ostatnie ćwierć wieku Ameryka doświadczyła znacznie więcej pełnej władzy jednej partii niż przez wcześniejsze 50 lat.

Po listopadowych wyborach połówkowych sytuacja może się zmienić.

Jeśli Republikanie odniosą porażkę – a historia i sondaże wskazują, że raczej tak będzie – można się spodziewać znacznie więcej oporu ze strony Kongresu. Nawet niewielka większość ma dzisiaj znacznie szersze możliwości wynikające z ustawodawstwa niż kiedyś, bo w tę stronę ewoluuje amerykańskie prawo. Generalnie jest to trend szkodliwy, bo jedna część władzy nie powinna przyznawać sobie ani innym zbyt dużych kompetencji, ale w tym konkretnym przypadku może to pozwolić na kontrowanie działań prezydenta. Wszystko jednak zależeć będzie od tego, czy Demokraci przejmą kontrolę nad obiema izbami.

Załóżmy, że w styczniu 2027 r. będziemy mieli Kongres kontrolowany w całości przez Demokratów. Czy to nie spowoduje radykalizacji Trumpa? Może zyskać dodatkowy argument, że *deep state* go blokuje.

Do tej pory schemat był wręcz irytująco przewidywalny. W 1992 r. Bill Clinton, Demokrata, objął władzę, mając partyjną większość w Kongresie. Demokraci poszli na całość, elektorat uznał, że przesadzili i nadużywali władzy, dlatego w 1994 r. Republikanie odnieśli miażdżące zwycięstwo w wyborach połówkowych. Izba Reprezentantów została przejęta przez prawicę pierwszy raz od czterech dekad. Tyle tylko, że potem, w bardzo nieoczywisty sposób, Clinton na tym zyskał. Żeby cokolwiek przepchnąć przez Kongres, potrzebował współpracy z umiarkowanymi Republikanami. W rezultacie sam przesunął się bliżej centrum, razem z republikańskim Kongresem zrealizował sporo ważnych projektów, poprawił własne notowania i bez żadnego problemu wygrał drugą kadencję.



Eric Nelson – teoretyk i historyk polityki, profesor Uniwersytetu Harvarda, *senior fellow* w Society of Fellows. Zajmuje się badaniami na temat nowoczesnej myśli politycznej w Stanach Zjednoczonych i Europie, historią amerykańskiej państwowości i sekularyzacją.

Ten model od czasów Clintona powtarzał się z zaskakującą regularnością i zawsze dawał takie same rezultaty. Co oczywiście nie znaczy, że będzie tak i tym razem. Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z takim prezydentem. Trump nie działa strategicznie, tylko instynktownie. Dlatego jego stosunek do Kongresu, który byłby w całości kontrolowany przez Demokratów, mógłby się okazać po prostu w pełni wrogi.

Największe ryzyko, jakie potencjalnie stoi przed Partią Demokratyczną, to właśnie zbyt szeroka, radykalna ofensywa legislacyjna w przypadku przejęcia kontroli nad całym Kongresem. Mówiąc kolokwialnie, jeśli poczują się zbyt pewnie, mogą przegiąć, np. po raz kolejny odmawiając finansowania rządu i doprowadzając do *shutdownu*. Wiemy z historii, że kiedy do niego dochodzi, wyborcy obwiniają z reguły Kongres, a nie prezydenta, a to ponownie dałoby paliwo Republikanom i katapultowałoby któregoś z nich do prezydentury w 2028 r.

Brzmi rzeczywiście pesymistycznie, aczkolwiek nie zakładałbym, że te wszystkie prawa historii będą miały zastosowanie i tym razem. Sam pan powiedział, że Donald Trump to aktor unikatowy, nawet dla amerykańskiej państwowości.

Dlatego naprawdę bardzo wiele zależeć będzie od rozmiaru zwycięstwa Demokratów i tego, jak dużą większość zyskają. Niewielka większość byłaby może najgorszym rozwiązaniem, bo nie dałaby im pola manewru. Nie mogliby sobie pozwolić na utratę nawet jednego głosu, co oznaczałoby nieustanne zadowalanie skrajnej lewicy we własnych szeregach. Znaczące zwycięstwo, ze sporą przewagą i możliwością prowadzenia wewnętrznych partyjnych negocjacji, tym razem byłoby lepsze. Nie dlatego, że Demokraci nabiorą odwagi i wigoru, tylko że oznaczałoby to triumfy w wielu tzw. fioletowych okręgach, które nie są jednoznacznie przypisane do jednej albo drugiej partii. Do Kongresu wejdą w ten sposób politycy bardziej umiarkowani, centrystyczni. A szefostwo partii nie będzie się musiało uginać pod presją bardziej radykalnych, lewicowych polityków i ich postulatów, dzięki czemu Demokraci unikną przewidywalnych wpadek.

Na przykład?

Ponownego impeachmentu prezydenta. Na tym etapie nic by to nie dało, a tylko podniosło polaryzację i zaogniło spór polityczny. Na pewno pojawi się pokusa, żeby to zrobić, choć moim zdaniem byłby to błąd. Dlatego jeśli ktoś jest dzisiaj w USA zwolennikiem Partii Demokratycznej, powinien chcieć zdecydowanej, wyraźnej wygranej w listopadzie. Ale to dotyczy nie tylko wyborców tej partii. Dla ludzi o poglądach bardziej umiarkowanych czy po prostu zmęczonych politycznymi awanturami to też byłoby korzystne, bo przywróciłoby równowagę, obniżyłoby temperaturę naszej polityki – a w tej chwili naprawdę wszyscy tego w Stanach Zjednoczonych potrzebujemy.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

O dziejach amerykańskiego systemu dwupartyjnego czytaj na s. 58

© UNIWERSYTET HARVARDA

eprasa.pl 332c627450

Kutry płyną na udry

Dalekomorska flota rybacka Chin stała się bronią geopolityczną. Dziś kłusuje na wodach Afryki czy Ameryki Południowej. A jutro, kto wie, może zablokuje Tajwan?

MICHAŁ BOGUSZ

Turyści trafiający na targowiska w dowolnym państwie Afryki Subsaharyjskiej szukają egzotycznych przypraw, oryginalnych pamiątek czy kolorowych tkanin. Mało kto zwraca uwagę na stoiska ze stosami małych suszonych ryb. A to podstawa wyżywienia setek milionów ludzi. Daje bezpieczeństwo żywnościowe Afryce, stabilność polityczną dziesiątkom państw, wpływa na procesy migracyjne w skali globalnej. Dziś pojawił się tu nowy gracz bez skrupułów.

Mur świateł

Na mapach oceany wciąż wyglądają jak puste przestrzenie. W rzeczywistości są coraz bardziej zatłoczone, obserwowane, eksploatowane i upolitycznione. Jednym z najlepszych dowodów jest działalność dalekomorskiej floty rybackiej Chin. Z daleka przypomina zwykłą komercyjną operację: kutry, trawlery, chłodniowce, statki pomocnicze. Z bliska to ruchomy instrument państwa, które traktuje morze jako przestrzeń do zdobywania żywności, danych i wpływów politycznych.

Rybacy peruwiańscy nazwali tę chińską flotę „Wielkim Murem Świateł". Nie tylko dlatego, że nocą chińskie kutry formują na horyzoncie jasną linię, widoczną na radarach i zdjęciach satelitarnych. Pokazuje też logikę całego zjawiska. To mur ruchomy, nieformalny i trudny do uchwycenia. Nie biegnie przez góry, lecz przez oceany. Nie jest zbudowany z kamienia, lecz z tysięcy jednostek pływających, z subsydiów, portów, spółek państwowych, nieprzejrzystych rejestrów, wyłączonych nadajników i umów zawieranych z państwami, które często nie mają siły, by skutecznie kontrolować własne wody.

Na pierwszy rzut oka można by to uznać za lokalny problem ekologiczny, na który składa się przełowienie i niszczenie dna morskiego. To jednak tylko część obrazu. Chińska rybacka flota dalekomorska jest zarazem elementem polityki żywnościowej, przemysłowej, dyplomatycznej i militarnej Pekinu. W świecie, w którym zboże, energia, półprzewodniki i metale ziem rzadkich stały się zasobami strategicznymi, także ryby należy traktować jako surowiec... polityczny. Pekin zrozumiał to wcześniej i lepiej niż większość państw Zachodu.

Chińskie dane mówią o 177 przedsiębiorstwach, 2551 jednostkach i prawie 1500 statkach operujących na pełnym morzu. Dane niezależne malują zupełnie inny obraz. Według szacunków opartych na rejestrach statków i danych satelitarnych chińska flota dalekomorska może liczyć 16–17 tys. jednostek. Różnica jest zbyt wielka, żeby uznać ją za problem metodologii. To raczej wskazówka dotycząca natury systemu. Chiny chcą, by ich flota była wszędzie, ale nie chcą, by była w pełni widoczna. ▶



Chilijski patrol podpływa do chińskiej jednostki. Nieraz bywało, że oficjalnie taki statek nie istnieje...

© ALEX DIAZ/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 332627450

▶ Nieprzypadkowa to nieprzejrzystość. W świecie rybołówstwa informacja jest władzą. Wiedza o tym, gdzie pływa statek, co łowi, pod jaką banderą operuje i gdzie przeładowuje towar, umożliwia państwom egzekwowanie prawa. Dlatego wyłączanie nadajników AIS (nadają i odbierają dane o położeniu statków), skomplikowane struktury właścicielskie i operowanie pod obcymi banderami to nie margines chińskiego systemu, lecz istota jego działania. Im mniej widać, tym więcej można złowić. Im trudniej ustalić właściciela, tym trudniej wymierzyć karę. Im dalej od portu, tym słabsze państwo prawa.

Za tą flotą nie stoi niewidzialna ręka rynku, ale bardzo widzialna ręka państwa i wola partii komunistycznej. Chińskie rybołówstwo dalekomorskie jest w znacznej mierze stworzone przez subsydia, preferencyjne kredyty, ulgi podatkowe i powiązania z lokalnymi władzami. Chiny są największym na świecie rozdawcą subsydiów rybackich. Bez tego wsparcia znaczna część floty byłaby nierentowna. Jednak rentowność nigdy nie była tutaj istotnym kryterium.

Transfer białka

Pierwszy element tej układanki to żywność. Chiny są największym producentem, konsumentem i eksporterem produktów rybnych. Ich klasa średnia je więcej białka zwierzęcego, a akwakultura, w której ChRL dominuje, potrzebuje ogromnych ilości paszy. Ta pasza wymaga mączki rybnej. Mączka wymaga surowca. Surowiec można kupić, ale bezpieczniej jest go zdobywać własnymi sieciami. W ten sposób ryby z wód Afryki Zachodniej, Ameryki Południowej czy Oceanu Indyjskiego trafiają do chińskiego systemu żywnościowego, choć lokalnie były podstawą diety milionów ludzi.

Jest to rodzaj globalnego transferu białka. Z powodu chińskiej działalności lokalne społeczności Ghany, Senegalu czy Peru tracą dostęp do zasobów, które przez pokolenia były ich podstawą gospodarczą i żywieniową. Ryby pelagiczne, jak sardinella, to nie luksus. Dla wielu nadbrzeżnych społeczności Afryki są tanim źródłem białka, wapnia, jodu, żelaza, cynku, witamin i kwasów omega-3.

Dzięki suszeniu i wędzeniu można dostarczać żywność w głąb lądu bez chłodni. Tam, gdzie państwo jest słabe, infrastruktura uboga, a dochody są niskie, taka ryba jest nie tylko towarem, lecz także kwestią egzystencjalną.

Chińska flota uderza więc w systemy kruche, ale bardzo ważne. W Ghanie ryby dostarczają znaczną część białka zwierzęcego, a sektor rybołówstwa rzemieślniczego utrzymuje miliony ludzi. Jednocześnie chińskie przedsiębiorstwa kontrolują znaczną część przemysłowej floty trawlerów poprzez konstrukcje prawne, które formalnie omijają zakaz zagranicznej własności. To kolonializm: nie trzeba podbijać państwa, by kontrolować jego zasoby – wystarczy opanować flotę, porty, łańcuch chłodniczy, lokalnego pośrednika i kilku urzędników.

> Ryby należy traktować jako surowiec polityczny. Pekin pojął to lepiej niż państwa Zachodu.

Szczególnie destrukcyjny jest proceder znany w Ghanie jako *saiko*. Przemysłowe trawlery, które powinny łowić inne gatunki, celowo wyławiają małe ryby pelagiczne, często młode osobniki, a następnie wprowadzają je na lokalny czarny rynek. Rybacy, którzy nie mogą konkurować z przemysłową flotą, stają się pośrednikami w systemie, który ich niszczy. Kobiety, tradycyjnie zajmujące się suszeniem i wędzeniem ryb, tracą źródło dochodu i niezależności. Państwo traci kontrolę. Rynek traci równowagę. Zdesperowani ludzie szukają szczęścia gdzie indziej i migrują.

Takie zjawiska rzadko wyglądają dramatycznie w danych makroekonomicznych. Strata 0,1 proc. czy 1 proc. PKB nie porusza ministrów finansów. Jeśli jednak cała nadmorska prowincja traci dochód, jeśli młodzi mężczyźni nie mają pracy, a kobiety niezależności finansowej, jeśli lokalne białko znika z rynku, to skutkiem jest nie tylko mniejsza produkcja, ale też korupcja, przestępczość i radykalizacja.

Łańcuch zamknięty

Ten proces rodzi polityczne koszty dla Pekinu. Przez lata Chiny przedstawiały się na Globalnym Południu jako alternatywa wobec Zachodu. Partner bez kolonialnej przeszłości, inwestor bez moralizowania. Dalekomorska flota rybacka podważa tę narrację. Rybacy, ekolodzy, wojskowi i lokalni politycy coraz częściej widzą w Chinach nie dobroczyńcę, lecz drapieżnika. W Afryce protesty przeciw chińskim połowom pojawiały się w Ghanie, Gambii, Senegalu, Nigerii, Sierra Leone i RPA. W Ameryce Łacińskiej podobne napięcia rosną u wybrzeży Peru, Ekwadoru, Chile, Kolumbii i Argentyny.

Ameryka Południowa jest dla chińskiej floty trudniejszym akwenem niż Afryka Zachodnia, bo państwa regionu mają silniejsze instytucje, straże przybrzeżne i marynarki wojenne. Dlatego chińskie jednostki często operują tuż przy granicy wyłącznych stref ekonomicznych, wykorzystując migrację kałamarnic i innych gatunków. Formalnie mogą twierdzić, że łowią legalnie. Praktycznie eksploatują zasób, od którego zależą lokalni rybacy. Jeśli kałamarnica przepływa przez linię na mapie, można ją złowić, zanim wróci do lokalnej społeczności.

W Argentynie chińska aktywność wzrosła tak bardzo, że dochodziło do incydentów zbrojnych. W Peru wzrost liczby chińskich jednostek przyczynił się do zaostrzenia regulacji i ograniczenia wizyt w portach. Wokół Galapagos setki chińskich statków wywołały oburzenie opinii publicznej. Państwa regionu zaczęły wydawać wspólne oświadczenia, wzmacniać patrole i szukać wsparcia USA.

Pekin próbuje zarządzać tym kryzysem. Gdy w 2018 r. w Argentynie odbywał się szczyt G20, chińskie ministerstwo rolnictwa nakazało jednostkom dalekomorskim odsunięcie się od wrażliwych obszarów. Po kolejnym incydencie w 2019 r. nakazano statkom utrzymywać dystans od granic wyłącznych stref ekonomicznych i współpracować z obcymi organami kontroli. To ważny szczegół, bo pokazuje, że Pekin może dyscyplinować floty, gdy uznaje to za politycznie konieczne.

Drugim filarem systemu jest kontrola łańcucha wartości. Chiny nie tylko łowią. Budują porty, bazy, przetwórnie i zaplecze logistyczne. Chińskie przedsiębiorstwa tworzą zamknięte obiegi, w których surowiec złowiony u wybrzeży Afryki może być przetwarzany w Dalian lub Qingdao, a następnie reeksportowany do Europy czy USA jako produkt chiński. Rezultatem jest przewaga cenowa, wypychanie konkurencji i uzależnianie innych od chińskiego centrum przetwórczego.

W tym sensie rybacka flota dalekomorska przypomina inne elementy chińskiej

eprasa.pl 332c627450

polityki gospodarczej. W fotowoltaice, bateriach, metalach krytycznych czy telekomunikacji Pekin również nie ogranicza się do produkcji. Buduje cały ekosystem, na który składają się subsydia, infrastruktura, kredyt, skala produkcji, zaniżone standardy, zależności i polityczne dźwignie. Rybołówstwo wydaje się mniej nowoczesne niż półprzewodniki, ale logika jest podobna.

Chińska logika

Trzeci wymiar jest strategiczny. Chińska flota rybacka przenika się z paramilitarną Ludową Milicją Morską. Formalnie są to rybacy i statki cywilne. W praktyce mogą prowadzić rozpoznanie, zaznaczać swoją obecność, blokować obce jednostki, wspierać straż przybrzeżną i marynarkę wojenną oraz egzekwować chińskie roszczenia na spornych akwenach. To idealne narzędzie działania w szarej strefie – wystarczająco cywilne, by utrudniać reakcję wojskową, i wystarczająco zorganizowane, by realizować cele państwa.

Na Morzu Południowochińskim i Wschodniochińskim ta logika jest widoczna od lat. Chińskie jednostki rybackie gromadzą się przy rafach, utrudniają działania Filipin, pozorują normalną aktywność gospodarczą i tworzą fakty dokonane. Pekin stosuje metodę, która zdobyła już własną nazwę: strategia kapusty. Sporny obiekt lub obszar otaczają, niczym liście kapusty, kolejne statki rybackie, straży przybrzeżnej i marynarki. Każdy z osobna wygląda mniej groźnie niż okręt wojenny. Razem tworzą blokadę.

Znaczenie tego modelu wykracza poza sporne morza Azji Wschodniej. Statek rybacki u wybrzeży Peru nie musi pełnić tej samej roli, co jednostka przy rafie na Morzu Południowochińskim. Należy jednak do tej samej logiki państwa, w którym cywilne narzędzia mogą służyć celom partii komunistycznej, a nieprzejrzystość jest pożądaną cechą. Flota, która łowi kałamarnice, może jednocześnie zbierać dane, testować reakcje państw i wywierać presję.

To wszystko stawia Zachód i państwa Globalnego Południa przed trudnym problemem. Klasyczne instrumenty prawa międzynarodowego są zbyt słabe. Organizacje regionalne często działają na zasadzie konsensu, który Chiny blokują. Światowa Organizacja Handlu przyjęła porozumienie ograniczające szkodliwe subsydia rybackie, ale jej system rozstrzygania sporów jest sparaliżowany. Pekin chętnie podpisuje kolejne porozumienia, których nie sposób wyegzekwować, a następnie przedstawia się jako odpowiedzialny uczestnik globalnego zarządzania.

Chiny działają jak państwo z planem strategicznym, podczas gdy przeciwnicy reagują jak administratorzy problemu sektorowego. Pekin widzi flotę jako instrument bezpieczeństwa. Wiele innych państw postrzega ją jako kłopot dla swojego ministerstwa rybołówstwa. Pekin łączy subsydia, spółki państwowe, porty, dyplomację, milicję morską i rynek. Inni rozdzielają środowisko, handel, rozwój, bezpieczeństwo i politykę zagraniczną do oddzielnych szuflad. W takiej grze wygrywa ten, kto ogarnia całość.

Odławianie interesów

Nie oznacza to, że Chiny są wszechmocne – mają także słabości. Chińska flota jest widoczna z satelitów. Budzi gniew lokalnych społeczności. Dostarcza argumentów antychińskim politykom. Uzależnia funkcjonowanie chińskich rybaków od systemu subsydiów, który może stać się coraz kosztowniejszy. Naraża chińskie firmy na sankcje, zakazy portowe i utratę dostępu do rynków. Jeśli państwa nadbrzeżne zaczną współpracować, wymieniać dane, wzmacniać straże przybrzeżne i egzekwować kontrole portowe, koszty chińskiej strategii wzrosną.

> Zamiast czołgów Chiny używają sieci, a zamiast baz wojskowych – portów rybackich.

Nie chodzi tu o wielką konfrontację z chińską flotą, lecz raczej o tysiące dronych kroków. Obowiązkowe śledzenie statków, kary za wyłączanie AIS, czarne listy armatorów, kontrole przeładunków na morzu, sankcje wobec firm łamiących prawo i wsparcie dla lokalnego rybołówstwa. Państwa Globalnego Południa potrzebują nie tylko moralnego wsparcia, lecz także radarów, dronów, łodzi patrolowych, prawników, systemów danych i niezależnych inspektorów. Bez tego suwerenność morska pozostanie zapisem w konwencji, a nie praktyką.

Zachód nie powinien też traktować rybołówstwa jako niszowego tematu ekologicznego. To część szerszej rywalizacji o zasoby. Jeśli chińskie statki mogą bezkarnie dewastować łowiska, korumpować lokalne instytucje i destabilizować społeczności nadbrzeżne, to podważają porządek międzynarodowy równie skutecznie jak bardziej widowiskowe działania Moskwy. Różnica polega na tym, że zamiast czołgów używają sieci, a zamiast baz wojskowych – portów rybackich i chłodniowców.

Europa i USA mają w tej sprawie własne interesy. Duża część owoców morza trafiających na zachodnie stoły przechodzi przez chińskie łańcuchy przetwórcze. Konsument w Berlinie, Warszawie czy Bostonie rzadko wie, czy kupowana ryba ma związek z nielegalnym połowem, pracą przymusową albo przełowieniem afrykańskich łowisk. Kluczowa jest tu przejrzystość łańcuchów dostaw. Import produktów rybnych nie może być ślepy na sposób ich pozyskania. W przeciwnym razie Zachód będzie finansować system, który publicznie potępia i ostatecznie jest też wymierzony w jego interesy.

Rola ryby

Najtrudniejsze pytanie dotyczy samego Pekinu. Czy Chiny mogą ograniczyć flotę, którą przez dekady budowały jako narzędzie bezpieczeństwa? Bezpieczeństwo żywnościowe stało się w ChRL kategorią polityczną, to pamięć o czasach głodu, lęk przed zależnością i obsesja stabilności. Morze jest dla Pekinu nie tylko przestrzenią gospodarczą, lecz także przedłużeniem suwerenności i polem rywalizacji z USA. Dalekomorska flota rybacka operuje na przecięciu obu tych lęków. Dostarcza żywności i obecności. Jest zbyt użyteczna, żeby ją porzucić.

Wielki Mur Świateł jest więc czymś więcej niż metaforą. To obraz świata, w którym potęga nie zawsze ma postać lotniskowca. Czasem przychodzi nocą jako setki świateł na horyzoncie, z wyłączonymi nadajnikami, pustymi deklaracjami i pełnymi ładowniami. Dla Pekinu jest to dowód sprawczości. Dla wielu państw nadbrzeżnych to zapowiedź utraty zasobów, pracy i suwerenności. Dla reszty świata – ostrzeżenie, że w XXI w. nawet ryba może stać się narzędziem rywalizacji.

MICHAŁ BOGUSZ

eprasa.pl 332c627450



Prymus z Manchesteru

Andy Burnham wkrótce może zostać premierem Wielkiej Brytanii. Czy ten lewicowy populista uratuje kraj przed Nigelem Farage'em?

MATEUSZ MAZZINI

Premier Keir Starmer stanął przed drzwiami budynku przy 10 Downing Street i w emocjonalnym wystąpieniu poinformował o swojej rezygnacji. Dłużej na stanowisku utrzymywać się nie mógł. Każdy kolejny dzień w roli szefa rządu był ignorowaniem rzeczywistości. 22 czerwca, czyli niecałe dwa lata po spektakularnym triumfie Partii Pracy w wyborach parlamentarnych, ten były prokurator zajmujący się prawami człowieka, ostrożny technokrata bez instynktu, polotu i wizji, złożył broń.

Dla wielu i tak było to o kilka miesięcy za późno. A na pewno dla Andy'ego Burnhama, do niedawna burmistrza aglomeracji Manchesteru, dziś niemal pewnego kandydata do zastąpienia Starmera. Z punktu widzenia Partii Pracy 56-letni Burnham może być ostatnią nadzieją na to, aby uratować ugrupowanie przed zapowiadaną klęską w kolejnych wyborach parlamentarnych. Te nie odbędą się szybko, bo prawdopodobnie dopiero za trzy lata, ale kryzys laburzystów jest tak głęboki, że i to może nie wystarczyć.

Na lewicy Burnham wciąż jednak uchodzi za cudotwórcę. W Manchesterze był szalenie popularny, w lokalnych wyborach potrafił zdobywać dwie trzecie głosów, choć to teren elektoralnie trudny, zwłaszcza teraz i zwłaszcza dla lewicy. Dawna potęga przemysłowa, dziś pozbawiona wielu miejsc pracy i własnej tożsamości, często niechętna imigrantom, bardziej przeciwna członkostwu w Unii Europejskiej niż je popierająca. Skrajnie prawicowa Reform UK Nigela Farage'a szybko zdobyła w tym regionie stabilne przyczółki. Nie przypadkiem to brzmi jak opowieść o współczesnej Wielkiej Brytanii. Dlatego laburzyści liczą, że Andy „Ostatnia Szansa" Burnham uleczy cały kraj – i Partię Pracy. Tak jak uleczył Manchester.

Brak wizji

A przecież nie tak miało być. Starmer na 10 Downing Street przeprowadzał się po 14 latach nieprzerwanych rządów torysów, naznaczonych brexitem, pandemicznym chaosem, polaryzacją i gospodarczą stagnacją. Nie odziedziczył ani łatwej sytuacji gospodarczej, ani sprawnej biurokracji, nie miał też wbrew pozorom silnego mandatu. Na papierze jego zwycięstwo z 2024 r. wyglądało imponująco, bo dało aż 410 z 650 mandatów w Izbie Gmin. Ale wynik wyborczy Partii Pracy – 33 proc. – nie powalał.

W ewidentny sposób Brytyjczycy zagłosowali wtedy za odsunięciem od władzy Partii Konserwatywnej, a nie za wizją kraju zaprezentowaną im przez Starmera. Tym bardziej że on żadnej wizji nie przedstawił.

Dowód temu dał ubiegłego lata w wywiadzie dla magazynu „New Statesman". Przekonywał w nim, że z Wielką Brytanią nie dzieje się nic fundamentalnie złego. W momencie, gdy Brytyjczycy narzekali na coraz wyższe koszty życia, dziurawy sektor publiczny, utratę perspektyw i pogrążali się w ogólnym narodowym pesymizmie, Starmer tłumaczył im, że żadnych fundamentalnych zmian robić nie będzie, bo są niepotrzebne.

Później było już tylko gorzej. Dwie rundy nieudanych wyborów samorządowych. Afera Petera Mandelsona, byłego partyjnego tuza, który zataił swoją przyjaźń ze skandalistą i pedofilem Jeffreyem

© CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450

Epsteinem, zostając u Starmera ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Kontrowersyjne próby przyciągnięcia chińskich inwestycji na Wyspy. Szarpana relacja z Donaldem Trumpem i siedzenie okrakiem na barykadzie w kwestii stosunków z Unią. Wszędzie powtarzał się ten sam refren: brak wizji.

Wielki komunikator

I tu pojawia się Andy Burnham. Wywodzi się z rodziny katolickiej, choć sam o sobie mówi, że nie jest przesadnie wierzący. Za granicą uchodzi za partyjnego outsidera, nową twarz – co jest jednak wyłącznie zasługą jego skutecznego piaru, bo pierwszy raz został wybrany do parlamentu już w 2001 r. Ma doświadczenie z pracy w rządzie, do którego zaprosił go Gordon Brown.

Ogólnokrajową popularność zdobył w czasach pandemii koronawirusa, kiedy jako burmistrz aglomeracji Manchesteru sprawną komunikacją w internecie przypiął Borisowi Johnsonowi etykietkę premiera „robiącego eksperymenty na mieszkańcach północy Anglii" za pomocą nietrafionych polityk sanitarnych.

Dziś to jedyny polityk lewicy, który według badań opinii publicznej ma szansę pokonać Nigela Farage'a. A jeszcze całkiem niedawno nie był nawet posłem, co technicznie uniemożliwiało mu rzucenie rękawicy Starmerowi i przejęcie władzy w całym kraju. Długo więc fantazja o jego przenosinach z Manchesteru do Londynu była jedynie projekcją liberalnego brytyjskiego establishmentu.

Ten problem zniknął 18 czerwca, kiedy w okręgu Makerfield przeprowadzono wybory uzupełniające. Z politycznego punktu widzenia to ustawka, bo głosowanie było konieczne tylko z powodu wcześniejszej rezygnacji innego posła laburzystów Josha Simonsa – odszedł, żeby Burnham mógł zająć jego miejsce w Westminsterze.

Początkowo to zwycięstwo wcale nie było takie pewne, bo jeszcze w kwietniu sondaże sugerowały blisko 70-procentowe poparcie dla Reform UK właśnie w tym okręgu. Ostatecznie jednak różne prawice – torysi, Reform i jeszcze bardziej radykalna Restore Britain – skanibalizowały się nawzajem, podczas gdy Burnham, niesiony falą ogólnokrajowego entuzjazmu i w tej chwili ucieleśniający walkę z całym prawicowym populizmem, wygrał z poparciem 55 proc.

Teraz, po zapowiedzi rezygnacji Starmera, sprawy mogą się potoczyć szybko. Wprawdzie odchodzący premier obiecał, że pozostanie na stanowisku do momentu wyboru następcy przez kierownictwo Partii Pracy, co ma nastąpić najpóźniej we wrześniu, ale to tylko proceduralne eufemizmy. W praktyce już teraz wszyscy będą właśnie Burnhama traktować jako faktycznego premiera Wielkiej Brytanii.

Burnham twierdzi, że jest gotowy. Ma już nawet własną doktrynę władzy, czyli – jak nazywa to prasa – manchesteryzm. Z ekonomicznego punktu widzenia opiera się on na większym zaangażowaniu państwa jako dostawcy usług publicznych. Państwo ma być aktywnym graczem na rynku, mieć zdecydowaną politykę własnościową, konkurować z podmiotami prywatnymi, w ten sposób zwiększając podaż oraz unikając drastycznych podwyżek cen.

To wydaje się trywialne, ale w warunkach brytyjskiej polityki, zwłaszcza na lewicy, jest rozwiązaniem dość radykalnym. W praktyce oznacza bowiem odejście od tzw. Trzeciej Drogi, doktryny założycielskiej dla Nowej Lewicy czasów Tony'ego Blaira i Gordona Browna. Zwłaszcza ten pierwszy polityk w pewnym momencie stał się neofitą mieszanych struktur właścicielskich, chętnie zapraszając prywatne firmy do inwestowania w edukację czy ochronę zdrowia.

Gwiazda prowincji

Blair był wtedy przekonany, że na wolnym rynku idei i usług czasów radosnej globalizacji wygrają na tym usługobiorcy, czyli obywatele. Burnham nie wierzy w takie rozwiązania: woli, by państwo wchodziło do gry zdecydowanie, jako niezależny podmiot.

Ma w tym doświadczenie z Manchesteru. Firma doradcza Oxford Economics w swoim czerwcowym raporcie określa to miasto mianem prymusa pod względem wyników makroekonomicznych w całym kraju. Tzw. Greater Manchester notuje wzrost gospodarczy nieprzerwanie od 2008 r., co na tle innych obszarów miejskich w Wielkiej Brytanii jest ewenementem. Nie wszystko jest zasługą Burnhama, co jednak nie zmienia faktu, że jeśli rzeczywiście zostanie szefem rządu, wejdzie na 10 Downing Street z bagażem doświadczeń naznaczonych sukcesem i pewnością siebie. Starmer o takim posagu mógł co najwyżej pomarzyć.

Dla samego Burnhama manchesteryzm to nie tylko doktryna gospodarcza, ale też filozofia uprawiania polityki. Charlie Cooper pisał niedawno na łamach POLITICO, że nowa gwiazda brytyjskiej lewicy chce ostatecznie pogrzebać neoliberalizm i wprowadzić prawdziwą sprawiedliwość społeczną do codziennej polityki. Dodawał też, że Burnham chce skończyć z dominacją Londynu jako centrum finansowego i politycznego, dając głos i przestrzeń prowincji.

Wyspy przyszłości

Pomysły Burnhama brzmią atrakcyjnie. Problem w tym, że skala wyzwania, tak samo jak głębokość kryzysu, który trapi Wielką Brytanię, są naprawdę ogromne. Od 2008 r. kraj tylko dwukrotnie zanotował znaczący wzrost gospodarczy. Rosną nierówności materialne, produktywność byłaby o jedną trzecią wyższa, gdyby nie brexit. W społeczeństwie coraz wyraźniejsze są nastroje radykalne i ksenofobiczne, napędzane również pogarszającym się stanem usług publicznych.

To opowieść, na której budują się Farage i Restore Britain, za słabość sektora publicznego obwiniając imigrantów. Nawet będący przez lata dumą narodową system ochrony zdrowia, NHS, sypie się od środka. Idrees Kahloon napisał w czerwcu na łamach „The Atlantic", że tzw. *backlog*, czyli rejestr nieobsłużonych pacjentów mających zaplanowane, a wciąż niezrealizowane wizyty czy zabiegi, jest już na poziomie 10 proc. populacji kraju.

Dlatego pytanie o przyszłość Burnhama w roli premiera jest na wielu poziomach pytaniem o przyszłość demokracji i demokratycznego kapitalizmu. Jeśli ostatecznie zostanie premierem, znajdzie się pod presją rynków, pod ostrzałem mediów, na cel wezmą go fantazjujący o konserwatywnym zwrocie na Wyspach Elon Musk i J.D. Vance. Będzie musiał się zmierzyć z wyzwaniami dotyczącymi sztucznej inteligencji, kurczącego się przemysłu i braku pieniędzy na obronność.

Pod bardzo wieloma względami Burnham obejmie stery w kraju, który pęka w szwach na poziomie tożsamości i wspólnoty. Jak pisał na łamach magazynu „Prospect" Iwan Krastew, ogromna rzesza Brytyjczyków nie czuje się już w swoim kraju jak u siebie w domu. Żeby sobie z tym poradzić, potrzeba będzie znacznie więcej niż tylko nacjonalizacji wodociągów i sprawnej komunikacji w mediach społecznościowych. Niezbędna jest wizja i jej sprawna realizacja. Albo się uda, albo w Wielkiej Brytanii władzę przejmie najbardziej radykalny rząd w historii tego kraju. ■

eprasa.pl 332c627450



Zesłanie Hilariona

Rosyjska Cerkiew prawosławna lubi żyć na poziomie. Lubi też się bawić, czasem perwersyjnie. Ale bez przesady, o czym właśnie przekonał się metropolita Hilarion.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Wydział Zewnętrznych Stosunków Cerkiewnych Patriarchatu Moskiewskiego to z pozoru poważna instytucja. Zajmuje się kontaktami patriarchatu moskiewskiego z innymi, niezależnymi Kościołami prawosławnymi. W 2018 r., gdy odrywał się od niego Kościół Prawosławny Ukrainy, patriarchat moskiewski krzyczał z bólu – jak przy prawdziwej amputacji. A ówczesny szef Wydziału Zewnętrznego, metropolita Hilarion, mówił, że demony właśnie atakują nowo utworzoną Cerkiew prawosławną na Ukrainie po to, by odciągnąć ją od moskiewskiej Cerkwi matki. Potem porównywał własną posługę do „służby granicznej" patriarchatu moskiewskiego, a za cel stawiał sobie „ochronę granic patriarchatu na Ukrainie".

Cóż, granic tych nie upilnował. Ale gdy pod koniec lutego 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę, okazał się zaskakująco małomówny. Nie potępił, oczywiście, rosyjskiej agresji, a wzywając do modłów o pokój, nie wskazywał winnych tego, że pokoju nie ma. Ale i tak daleki był od tego, co głosił na przykład jego szef, czyli przywódca Rosyjskiej Cerkwi Autokefalicznej Cyryl. Ten bowiem określił inwazję Moskwy na Ukrainę „świętą wojną", na której śmierć kasuje wszystkie grzechy i otwiera drogę do raju.

Według Cyryla w tej wojnie chodzi bowiem nie tyle o pokonanie Ukrainy, ile o postawienie tamy zachodnim „antywartościom", takim jak parady LGBT, tolerancja i inne tego typu niezrozumiałe z punktu widzenia kleru prawosławnego sprawy, które – jak rozumuje Cyryl – istnieją na Zachodzie jedynie po to, by stanowić „test lojalności": tylko akceptacja tych zasad ma gwarantować krajom aspirującym do Zachodu przyjęcie do jego struktur.

Cyryl, jak się można domyślać, nie przepada za duchownymi, którzy nie są entuzjastyczni wobec wojny. Np. w 2024 r. Rosyjska Cerkiew Prawosławna zakazała odprawiania nabożeństw księdzu Piotrowi Ustinowowi z Czelabińska. Powód: niechęć do wojny i udostępnianie w internecie piosenek wykonawców potępiających inwazję na Ukrainę. Wkrótce miał się o tym przekonać również Hilarion.

Na bogato

Jak wynika z raportu Ośrodka Studiów Wschodnich, kler prawosławny jest przez część Rosjan krytykowany nie tylko za zblatowanie z Kremlem, ale też za kontakty ze środowiskami skrajnie nacjonalistycznymi oraz – co mało zaskakujące – za „brak tolerancji, obskurantyzm i wrogość wobec postępu". Cerkiew, podobnie jak Kreml, pokazuje Zachód, w tym Europę (często zwaną „Gejropą"), jako źródło wszelkiego zła, zepsucia i zagrożenia.

Hilarion jednak – może dlatego, że liczne interesy i innego rodzaju powiązania łączyły go z Europą (m.in. wykładał na szwajcarskiej uczelni) – nie chciał się z nią konfliktować. W miarę możliwości – starał się nie narażać ani ojczystemu patriarchatowi moskiewskiemu, ani europejskim państwom. Nie uchroniło go to przed dymisją i 7 czerwca 2022 r. Synod Cerkwi Prawosławnej odwołał go ze stanowiska kierownika Wydziału Zewnętrznego.

Nie wiadomo, co było główną przyczyną odwołania – czy osobisty konflikt z patriarchą Cyrylem, czy brak entuzjazmu w wychwalaniu rosyjskich działań wojennych w Ukrainie, czy jedno i drugie. Głowa poleciała. Udało się jednak Hilarionowi pozostać w Europie, w której, jak widać, było mu dobrze: został metropolitą budapeszteńskim i węgierskim. Ale dopiero wtedy zaczęły się jego prawdziwe problemy.

Na pierwszy rzut oka Hilarion nie robił niczego nadzwyczajnego. Owszem, żył luksusowo – ale kto nie żyje? Poziom

© MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450

życia wyższego prawosławnego kleru zawsze był zaskakująco rozbieżny z zaleceniami, jakie promował Chrystus i jego uczniowie. Stanowiło i stanowi to zresztą przyczynę kpin zarówno ze strony wiernych, jak i osób niespecjalnie chętnych tej instytucji.

Sam patriarcha Cyryl może tu być świetnym przykładem. Nosi zegarki za niebotyczne sumy, jak na przykład Bregueta za 30 tys. euro – choć nie lubi, gdy publicznie się o tym wspomina. Ze sprawą rzeczonego Bregueta łączy się zabawna historia: gdy na stronach Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej opublikowano zdjęcie, na którym widać było zegarek, patriarcha nakazał wymazać go w programie graficznym. Zrobiono to, ale usunięto tylko zegarek widoczny na nadgarstku patriarchy – jego odbicie w polerowanym blacie stołu pozostało.

Cyryl posiada majątek wart kilkaset milionów dolarów: drogie mieszkania w Moskwie i Petersburgu oraz wille w Szwajcarii i innych miejscach, udziały w ważnych rosyjskich przedsiębiorstwach. Otacza się drogim sprzętem elektronicznym. Dla wiernych ma jednak przesłanie raczej krytyczne wobec gadżetów: „Martwe światło smartfonów przyćmiewa światło Chrystusa".

Niezależny portal śledczy Sistiema odkrył, że patriarcha Cyryl w rozliczeniach z rosyjskim fiskusem zaparł się nawet samego siebie. By uniknąć części podatków, rozlicza się z państwem nie jako Władimir Gundiajew – jak brzmi jego prawdziwe imię i nazwisko – ale jako Iwan Zacharowicz Prochorow. Dzięki temu incognito korzysta też z drogich jachtów, wynajmuje drogie samoloty, obraca się w kręgach oligarchów.

Cyryl, choć jako prawosławny patriarcha nie może mieć partnerki, od lat pozostaje też w stałym związku. Gdy sprawa wyszła na jaw, najważniejsi kremlowscy propagandyści głowili się, jak wyciągnąć patriarchę z kabały: w końcu stanęło na kolportowaniu wersji, że kobieta, z którą żyje Cyryl, jest jego „daleką ciotką".

Bez piżamy

Cyryl nie jest z tym wszystkim sam w moskiewskiej Cerkwi. Dajmy na to ksiądz Wiaczesław Baskakow z regionu twerskiego zasłynął instagramowym kontem, na które wrzucał zdjęcia swoich drogich butów Gucciego, kapci czy torby od Louisa Vuittona. Cerkiew oficjalnie potępiła księdza, ale raczej – sądząc po płynącym z góry przykładzie – za obnoszenie się z bogactwem w mediach społecznościowych niż za sam luksus.

Problem z epatującym wystawnym stylem życia rosyjskim klerem jest szeroko opisywany przez prasę. Ale jak tu zalecać się do słów Cyryla, który poucza, że: „Styl życia pasterza nie powinien w sposób demonstracyjny odbiegać od stylu życia trzody", jeśli sam Cyryl nie świeci przykładem? Księża prawosławni wożą się więc po rosyjskiej prowincji drogimi SUV-ami, kłują w oczy poziomem życia i małą kompatybilnością z głoszonymi przez siebie naukami.

Może dlatego wystawny styl życia Hilariona niespecjalnie mu zaszkodził. Cóż, że kolekcjonował drogie zegarki albo że jego budapeszteńska siedziba niekoniecznie przypominała stajenkę. Ba, okazał się w Budapeszcie potrzebny – były to czasy władzy Viktora Orbána, a Hilarion utrzymywał dobre kontakty z jego otoczeniem, co z kolei stanowiło dla moskiewskiej Cerkwi wygodny pomost do środowiska węgierskiej władzy.

Miał również poprawne stosunki z Watykanem – obściskiwał się z papieżem Franciszkiem, który kiedyś publicznie i ekumenicznie pocałował prawosławny krzyż, co przekładało się np. na pomoc Cerkwi w negocjacjach w sprawie wymiany jeńców pomiędzy Ukrainą i Rosją.

Posiadał poza tym Hilarion węgierskie obywatelstwo, co pozwalało mu się poruszać bez żadnych problemów po całym świecie „zepsutego kolektywnego Zachodu", przeżartego przez szatańskie wpływy. Ułatwiało mu to utrzymywanie kontaktów z proputinowską diasporą rosyjską, jak na przykład z objętym sankcjami rosyjskim oligarchą z łotewskim obywatelstwem Piotrem Awenem, którego spotykał na Łotwie właśnie.

Jego węgierską karierę skasowała dopiero afera z młodym klerykiem, służącym Hilariona, młodzieńcem o japońsko-rosyjskim pochodzeniu, Georgijem Suzukim. Hilarion, jak zeznawał później Suzuki w rozmowach z niezależnym pismem „Nowaja Gazieta Jewropa", wchodził mu do łóżka, domagał się, by kleryk spał bez piżamy, bowiem „chce poczuć na swej skórze jego skórę", i tak dalej.

Suzuki zaczął potajemnie nagrywać awanse Hilariona, a następnie uciekł do Japonii. Nie to, że uciekł ot tak, bez niczego. Zabrał ze sobą jeden z drogich zegarków Hilariona oraz pieniądze – wszystko o wartości ok. 30 tys. euro, co później uzasadniał chęcią „posiadania zabezpieczenia" oraz z jakiegoś powodu „posiadania gwarancji", że Hilarion pozostawi go w spokoju.

Hilarion najpierw próbował przekonywać Suzukiego do powrotu. Proponował, by pozostawił sobie wyniesione z rezydencji przedmioty. Georgij wracać jednak nie zamierzał. Poszedł do mediów. A Hilarion – do sądu, który postawił Suzukiemu zarzuty kradzieży.

Do Brazylii

Ten prawosławny dramat obyczajowy sprawił, że Cyryl postanowił odwołać Hilariona z Węgier. W grudniu 2024 r. odebrano mu kierowanie eparchią budapeszteńsko-węgierską i zesłano w miejsce być może mniej eksponowane, ale również miłe: do Świątyni Apostołów Piotra i Pawła w Karlowych Warach. Ten czeski kurort, już od lat osobliwie umiłowany przez rosyjskich milionerów, stanowi dziś ważny ośrodek rosyjskiej emigracji. Hilarion zaczął obracać się i w tym środowisku. A biorąc m.in. pod uwagę rewelacje węgierskiego dziennikarza śledczego Szabolcsa Panyiego, który pisze o więziach łączących go z rosyjskimi służbami – mogły to być spotkania nie tylko towarzyskie.

Ale i w Czechach los nie był przychylny Hilarionowi. Ledwie wylizał bowiem rany po aferze z Suzukim, zawisła nad nim kolejna: 24 maja tego roku, po anonimowym donosie, samochód Hilariona zatrzymała czeska policja antynarkotykowa i po przeszukaniu znalazła w bagażniku trzy niewielkie pojemniki pełne białej substancji. Hilarion zarzekał się, że pierwszy raz widzi na oczy nie tylko te, ale w ogóle jakiekolwiek narkotyki. Noc spędził w celi, gdzie – jak potem mówił dziennikarzom – „rozmawiał z Bogiem". Po czym zwolniono go bez postawienia zarzutów.

Duchowny wrócił do Rosji. Tam dowiedział się, że również w Karlowych Warach jest spalony. Ten jeszcze niedawno drugi człowiek w moskiewskiej Cerkwi został zesłany na drugą półkulę – do brazylijskiego nadmorskiego stanu Rio Grande de Sul, gdzie prawosławnych jest trzech na krzyż. Mogło być gorzej, umówmy się. Ale pewnie i może być gorzej, jeśli nasz metropolita, sługa boży Hilarion, nie porzuci przyzwyczajeń. ■

eprasa.pl 332c627450



Wybiła

O tym, jak dziś w Arktyce rozstrzygają się dalsze losy świata, opowiada geograf i geomorfolog prof. dr hab. Mateusz Strzelecki.



Prof. dr hab. **Mateusz Czesław Strzelecki** – kierownik Centrum Badań Regionów Zimnych im. Alfreda Jahna na Uniwersytecie Wrocławskim. Od ponad dwóch dekad prowadzi badania nad ewolucją wybrzeży i zmianami poziomu morza w Arktyce i Antarktyce.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– „Bakcyla polarnego" złapał pan od razu?**

MATEUSZ STRZELECKI: – Albo zakochujesz się w Arktyce, albo po pierwszym wyjeździe masz dość. To nie tylko kwestia nauki – to cisza, przestrzeń, zapach fiordu, chłód bijący od lodowca. Człowiek właściwie zostaje sam. W tej samotności przychodzi zachwyt, że natura może być aż tak potężna, ale też ciche pytanie: „Po co właściwie tu jestem?".

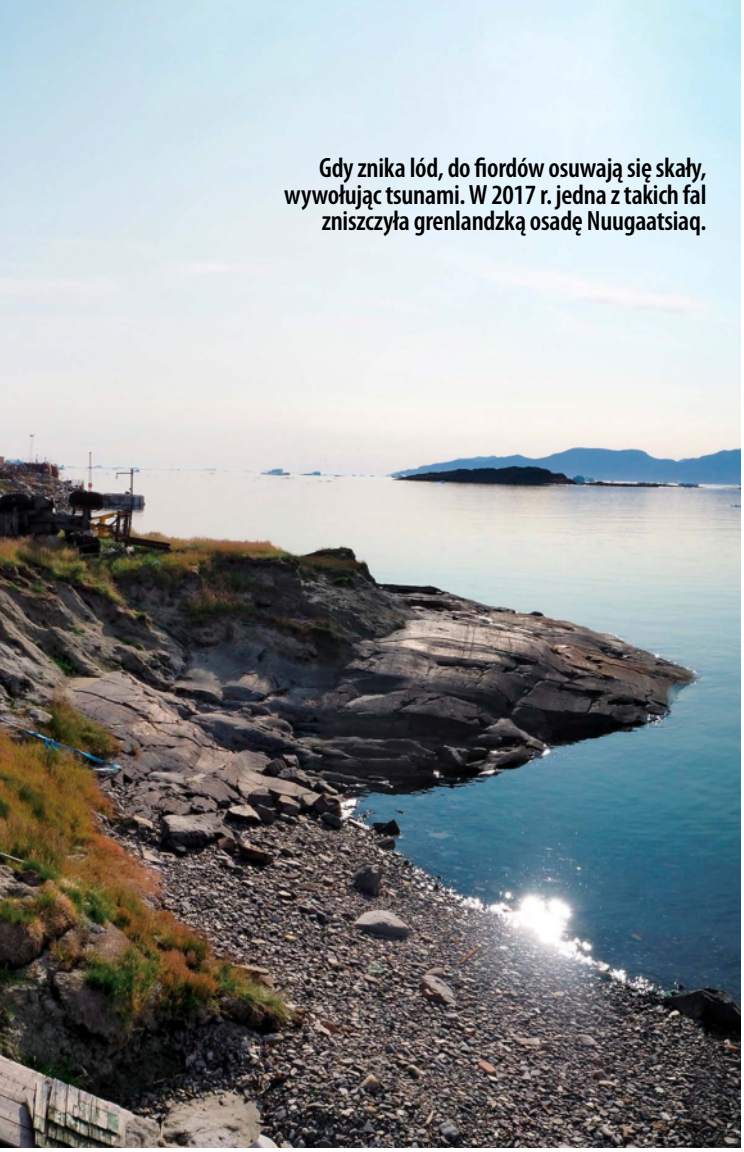
Zdjęcia z wypraw są piękne. Co zostaje poza kadrem?

Tak, wygląda to romantycznie: namioty, lodowce, piękne krajobrazy. Za tym jednak stoi ogromna operacja logistyczna. Przygotowanie do dziesięciu dni badań terenowych zaczyna się niekiedy rok wcześniej: pomysł naukowy, finansowanie, zespół, sprzęt, transport, seria pozwoleń. Bardzo często pracujemy na terytoriach innych państw albo w obszarach objętych ochroną.

A później stykamy się z tym, czego nie da się kontrolować – samą Arktyką. Tam wszystko weryfikuje pogoda. Można mieć perfekcyjnie zaplanowaną wyprawę, ale jeśli przez dwa tygodnie

© MATEUSZ STRZELECKI, MAREK KASPRZAK

eprasa.pl 332c627450



Gdy znika lód, do fiordów osuwają się skały, wywołując tsunami. W 2017 r. jedna z takich fal zniszczyła grenlandzką osadę Nuugaatsiaq.

Północ

wieje sztormowy wiatr albo fiord jest zablokowany lodem, nie da się pracować. Z miesiąca w terenie realnie efektywnych dni bywa czasem dziesięć. Dlatego każda wyprawa funkcjonuje w kilku scenariuszach – jest plan A, ale zawsze musi istnieć też B i C. Arktyka uczy pokory: szybko pokazuje, że to nie człowiek jest tam stroną dominującą.

Czasami nawet plan C nie pomaga. Jak w tym roku naukowcom z Instytutu Geofizyki PAN i Uniwersytetu Śląskiego, którym z powodu warunków spowodowanych nietypowo jak na wiosnę wysokimi temperaturami nie udało się przeprowadzić badań na Spitsbergenie. Zamrożony krajobraz powoli odchodzi do przeszłości?

Paradoksalnie najciekawsze są często miejsca, gdzie lodu już nie ma albo gdzie właśnie zaczyna znikać. Dla geomorfologa Arktyka to nie martwa, zamrożona przestrzeń, lecz jeden z najbardziej dynamicznych krajobrazów na Ziemi. Kluczowa jest woda – główny architekt tego świata. Lodowiec produkuje olbrzymie ilości osadów, a woda roztopowa transportuje je do rzek i fiordów – to działająca bez przerwy fabryka osadów.

Wystarczy kilka cieplejszych dni i krajobraz zaczyna żyć: rzeki zmieniają koryta z dnia na dzień, moreny się osuwają, rozmarzają stoki i taje zmarzlina. W innych miejscach na Ziemi te procesy zachodzą wolniej – tu można je obserwować niemal „na żywo". Czasami wraca się po kilku latach i dolina wygląda zupełnie inaczej. Są też miejsca, które burzą wyobrażenie o Północy – rozległe przestrzenie skalne przypominające zimne pustynie, krajobrazy niemal księżycowe.

Jak bardzo widać na Północy skutki zmian klimatu?

Arktyka nie jest dziś abstrakcyjnym wykresem temperatur – zmiana dzieje się na oczach badacza. Najczulszym wskaźnikiem są lodowce: naturalne archiwum klimatu i jego barometr. Mam osobisty przykład – lodowiec Ferdynanda w centralnej części Spitsbergenu. Kiedy zaczynałem go badać w 2007 r., był klasycznym lodowcem dolinnym – z wyraźną strefą zasilania, czołem i rzeką roztopową, częścią stabilnego systemu, który w naszej intuicji miał trwać jeszcze długo. Dziś praktycznie go nie ma. Został niewielki płat lodu. Podobny los spotkał wiele lodowców w tej części wyspy. Znikają jeden po drugim.

Skala tego przyspieszenia jest uderzająca. Procesy, które w zapisie geologicznym rozciągają się na tysiące lat, dziś obserwujemy w ciągu jednego pokolenia. Svalbard należy do najszybciej ocieplających się miejsc na Ziemi, temperatury rosną tam nawet kilkakrotnie szybciej niż średnia globalna. W wielu dolinach jesteśmy świadkami agonii lodowców. Obserwujemy znikanie fragmentów lodowego świata, które jeszcze niedawno wydawały się trwałe.

Spitsbergen zna pan od 20 lat. Co pana zaskoczyło, kiedy pierwszy raz stanął pan na Grenlandii?

Kiedy pierwszy raz tam trafiłem, miałem poczucie, że to Spitsbergen pomnożony wielokrotnie: większe lodowce, fiordy, góry lodowe, odległości i skala procesów. Na Spitsbergenie człowiek ma jeszcze poczucie, że porusza się w świecie „do ogarnięcia". Grenlandia tę iluzję odbiera. To inna skala także w sensie znaczeniowym. Zmiany zachodzące na Grenlandii nie są lokalnym problemem Arktyki – wpływają na poziom mórz, cyrkulację oceaniczną i bilans energetyczny całej półkuli. To dziś rodzaj wielkiego laboratorium zmian klimatycznych – jedno z miejsc, w których najlepiej widać, jak będzie wyglądała planeta w warunkach szybko postępującego ocieplenia.

Szybkie zmiany to także nowe zagrożenia – nie tylko dla krajobrazu, ale też dla ludzi.

Tak, i to wątek wciąż słabo obecny w debacie. Najbardziej dramatycznym przykładem są fale ekstremalne, w tym tsunami. To zaskakuje, bo kojarzymy je z tropikami – tymczasem jedne z największych w historii powstały w regionach zimnych. Najgroźniejsze są te wywołane przez osuwiska i tu widać bezpośredni związek z ociepleniem. Lodowce przez tysiące lat działały jak rusztowanie podtrzymujące zbocza. Kiedy znikają, skały tracą oparcie i „odreagowują" po tysiącach lat nacisku. Dodatkowo taje wieloletnia zmarzlina, która scalała grunt jak naturalny cement. Całe fragmenty zboczy górskich mogą się wtedy osunąć do fiordu, gwałtownie wypychając wodę, tworząc megatsunami.

Najgłośniejszy przykład to zatoka Lituya na Alasce, gdzie w 1958 r. fala osiągnęła ok. 500 m wysokości – była najwyższa, jaką do tej pory udokumentowano. W 2025 r. w alaskańskim fiordzie Tracy Arm gigantyczne osuwisko wywołało falę ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ 480-metrową. Na Grenlandii wartości są mniejsze, ale także liczone w dziesiątkach metrów. W 2017 r. jedna z fal zniszczyła osadę Nuugaatsiaq – zginęli ludzie, a pozostałą społeczność trzeba było ewakuować. Zidentyfikowano już ponad 600 miejsc uznawanych za potencjalnie aktywne osuwiska, a wciąż nie wiemy, które z nich stanowią realne zagrożenie. To jedno z największych wyzwań nauki – nie tylko rozpoznać te procesy, ale też nauczyć się je przewidywać, bo od tego zależy bezpieczeństwo ludzi żyjących wzdłuż fiordów.

Grenlandia przez lata była dla świata wielkim pustym lodem. A później zaczęły o niej mówić Waszyngton, Pekin i Moskwa. Co się zmieniło?

Złożyło się na to kilka rzeczy naraz. Z jednej strony skomplikowany kontekst historyczny: relacje z Danią obciążone trudną przeszłością kolonialną, nierozwiązane problemy społeczne, przez co część mieszkańców szuka większej niezależności. Z drugiej rośnie zainteresowanie świata – Grenlandia ma zasoby kluczowe w XXI w., od metali ziem rzadkich po surowce dla nowoczesnych technologii oraz strategiczne położenie. Dla wielu mieszkańców to zaczyna wyglądać jak szansa. Słyszałem zdanie, które dobrze oddaje ten sposób myślenia: „Reszta świata cierpi z powodu zmian klimatu, ale my możemy na tym zarobić". Dobrym przykładem są tutaj chociażby grenlandzkie zasoby piasku dostarczanego przez rzeki z roztapiającego się lądolodu, które mogłyby załagodzić globalny niedobór tego strategicznego surowca. Rodzi się jednak poważne pytanie: kto naprawdę będzie beneficjentem? Lokalne społeczności czy globalne mocarstwa i korporacje, dla których będzie to kolejny obszar eksploatacji? To napięcie – między nadzieją a ryzykiem – naznaczy najbliższe lata.

Region polarny długo opisywano jako ostatni obszar, gdzie nauka jest ponad polityką. To się skończyło?

Zdecydowanie. Wystarczy spojrzeć na flotę lodołamaczy: Rosja ma ich kilkadziesiąt, w tym o napędzie nuklearnym, kolejne w budowie, Zachód dysponuje zaledwie kilkoma. To realna przewaga operacyjna w regionie, gdzie dostęp przez większą część roku zależy właśnie od takich jednostek. Część rosyjskich stacji formalnie naukowych w praktyce pełni także funkcje wojskowe.

Mówi się dużo o surowcach, ale to tylko część obrazu. Równie ważne jest położenie: Grenlandia leży w miejscu kluczowym dla kontroli północnego Atlantyku i dla infrastruktury kosmicznej. Wiele satelitów regularnie przelatuje nad obszarami polarnymi, co czyni je idealnym miejscem do odbioru i przekazywania danych – a przewaga informacyjna jest dziś jednym z filarów bezpieczeństwa; konflikty od Ukrainy po Bliski Wschód pokazują, że decyduje dostęp do rozpoznania i precyzyjnej nawigacji. Dlatego inaczej trzeba patrzeć na zdarzenia, które niedawno wydawały się incydentalne, jak przecięcia światłowodów łączących Svalbard z Europą. To nie tylko awarie techniczne, lecz także sygnały, że ta infrastruktura staje się celem działań hybrydowych.

Co w tej rozgrywce mocarstw może ugrać kraj bez dostępu do arktycznego morza?

Polska to przypadek wyjątkowy. Nie mamy bezpośredniego dostępu do Arktyki, a mimo to jesteśmy tam obecni od dziesięcioleci, w sposób zauważalny na świecie. Czasami żartujemy, że jesteśmy polarnym mocarstwem bez lodołamaczy. Nasza siła nie brała się dotychczas z infrastruktury, lecz z ludzi, kompetencji i tradycji sięgającej zaborów, kiedy Polacy, często jako zesłańcy, działali na Syberii. Później ta obecność trwała mimo trudnych warunków: stacje, międzynarodowe programy, ciągłość badań.

Dziś jesteśmy w innym momencie – po raz pierwszy możemy uczestniczyć w badaniach polarnych jako państwo wolne i stosunkowo zamożne. Do tej pory naszą siłą była umiejętność działania w warunkach ograniczonych, często improwizowanych. Teraz pytanie brzmi inaczej: czy potrafimy zbudować trwałe zaplecze? Widać pierwsze kroki – nowe stacje, projekty statków. Ale jeśli chcemy być traktowani poważnie jako partner, musimy myśleć w kategoriach systemów: floty badawczej, stabilnego finansowania, długofalowej strategii – o poważnym Polskim Programie Polarnym. Arktyka staje się jednym z kluczowych regionów świata. Pytanie, czy wykorzystamy ten moment i z nową strategią oraz mocnymi kadrami naukowymi staniemy do realizacji V Międzynarodowego Roku Polarnego 2032–33 – największego wydarzenia naukowego w historii.

Kiedy zastanawia się pan nad przyszłością Arktyki, co spędza panu sen z powiek?

Trzy kwestie, z pozoru odległe od siebie. Pierwsza to tempo, w jakim spod lodowców wyłania się zupełnie nowy krajobraz. Tam, gdzie jeszcze niedawno sięgał lód, odsłaniają się świeże doliny i – przede wszystkim – nowe wybrzeża. To tereny, które dosłownie w ciągu kilku lat muszą przystosować się do warunków nieglacjalnych: bez stabilizującego je lodu stają się niezwykle wrażliwe na erozję, osuwiska i przebudowę przez fale i prądy. Obserwujemy narodziny linii brzegowej w czasie rzeczywistym – i nie do końca wiemy, jak się ustabilizuje. Z tym wiąże się druga, większa obawa: co się stanie, gdy zniknie lód zamykający arktyczne cieśniny i przejścia morskie? Dziś część z nich jest blokowana przez lodowce. Kiedy znikną, otworzą się nowe połączenia między oceanami i fiordami, a to może zmienić praktycznie wszystko: cyrkulację oceaniczną, zasolenie wód, funkcjonowanie ekosystemów, a w konsekwencji klimat.

Arktyka nie jest odizolowanym światem, lecz jednym z głównych regulatorów klimatu na Ziemi – wpływa na pogodę także w Europie. Coraz częściej myślę o tym, że otwierające się przejścia i odsłaniane zasoby uczynią z Arktyki obszar kolejnej rywalizacji między mocarstwami. Chciałbym wierzyć, że te północne rejony nie staną się gorącym frontem kolejnej zimnej wojny – że pozostaną miejscem międzynarodowej współpracy naukowej, nie zaś kością niezgody.

A przyroda? Poradzi sobie?

Przez lata przedstawiano Arktykę jako świat niezwykle kruchy. Tymczasem natura okazuje się bardziej elastyczna, niż zakładaliśmy. Dobrym przykładem są niedźwiedzie polarne. Jeszcze kilkanaście lat temu sądzono, że wraz z zanikiem lodu morskiego ich populacje szybko się załamią. Dla części z nich to nadal poważny problem, ale niektóre niedźwiedzie zmieniają zachowania i dietę: korzystają z reniferów, jaj i ptaków czy padliny waleni. Zoolodzy zwracają uwagę, że część populacji jest dziś w zaskakująco dobrej kondycji. To nie znaczy, że wszystko skończy się dobrze. Pytanie nie brzmi już, czy gatunki przetrwają, lecz w jakim świecie będą musiały funkcjonować. Zanika lód morski, zmieniają się szlaki migracyjne, napływają gatunki z południa, pojawiają się nowe choroby, rozmarza zmarzlina, a Arktyka miejscami zaczyna się wręcz zazieleniać.

Przyroda prawdopodobnie sobie poradzi, ale będzie to już zupełnie inna Arktyka. I być może to jest najbardziej uderzające – nie obserwujemy końca życia na Północy, tylko narodziny nowego świata, którego kształtu jeszcze do końca nie rozumiemy.

ROZMAWIAŁA JOLANTA IWAŃCZUK

eprasa.pl 332c627450



Chang'e, chińska bogini Księżyca

© ALAMY/BE&W

Obrońcy duchów

Japonia, Korea i Chiny należą do najbardziej zaawansowanych technologicznie państw świata. Nowoczesność nie zdołała jednak wypędzić stamtąd istot nadprzyrodzonych oraz szamanek i wróżbiarzy.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Najchętniej oglądanym filmem w historii kinematografii japońskiej jest „Spirited Away: W krainie bogów", którego bohaterka Chihiro trafia do świata duchów, bóstw i różnych dziwnych istot. Miliony widzów miał koreański cykl „Goblin" – o nieśmiertelnym wojowniku i posłańcach zaświatów. Chińskie seriale fantasy przedstawiające dzieje nieśmiertelnych, walczących o władzę w królestwie bogów, także przyciągają ogromną widownię.

Duchy, wieloogoniaste lisice, szamanki, bogowie gór i mściwe zjawy to dla społeczeństw Zachodu w zasadzie egzotyczne fantazje. Tymczasem w Azji Wschodniej nie należą wyłącznie do minionego świata. Jak to się dzieje, że istoty nadprzyrodzone tak dobrze się mają w jednych z najbardziej nowoczesnych społeczeństw świata?

Wierzą, ale nie przynależą

Gdy niemiecki socjolog Max Weber pisał na początku XX w. o „odczarowaniu świata", wydawało się, że opisuje uniwersalny kierunek rozwoju nowoczesnych społeczeństw. Wraz z postępem nauki i technologii świat miał się stawać coraz bardziej racjonalny i przewidywalny. Była to jednak perspektywa głównie europejska. Tokio, Seul i Pekin należą dziś do symboli nowoczesności, ale równocześnie działają tam wróżbici, odprawia się rytuały ku czci przodków, a duchy pozostają częścią codzienności.

Nie oznacza to jednak, że mieszkańcy Azji Wschodniej są bardziej religijni. W 2024 r. ponad połowa Koreańczyków deklarowała, że nie wyznaje żadnej wiary. – *Może są niereligijni, ale za to bardzo uduchowieni* – zauważa koreanista z Uniwersytetu SWPS dr Dominik Rutana. To pozornie sprzeczne zjawisko brytyjska socjolożka Grace Davie określiła mianem „wiary bez przynależności" (*believing without belonging*). Ludzie nie muszą identyfikować się z konkretną religią, by postrzegać świat jako coś więcej niż tylko materialną rzeczywistość.

W Azji Wschodniej zjawisko to jest szczególnie wyraźne. Kulturę japońską przenikają buddyzm i shintō, co nie jest równoznaczne z wyznawaniem dwóch religii w zachodnim sensie tego słowa. ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ Wiąże się raczej z uczestnictwem w pewnej tradycji kulturowej. – *Do świątyni buddyjskiej chodzi się na pogrzeby i uroczystości rodzinne, do chramu shintō przy okazji Nowego Roku, egzaminów czy narodzin dziecka. Oba systemy współistnieją, nie zmuszając nikogo do jednoznacznego wyboru* – zauważa dr Anna Zalewska, japonistka z Uniwersytetu Warszawskiego.

Podobnie jest w Chinach. Inaczej niż w tradycji europejskiej, w której religie monoteistyczne wykluczały stare systemy wierzeń, w Państwie Środka religia ludowa, konfucjanizm, taoizm, a później przybyły z Indii buddyzm oraz lokalne kulty przez wieki nakładały się na siebie. – *Dzięki temu lokalne bóstwa, duchy gór i rzek, taoistyczni nieśmiertelni oraz buddyjscy bodhisattwowie mogą być czczeni w jednej świątyni i tworzą niezwykle złożony system wierzeń i wyobrażeń, który nie zniknął mimo komunizmu* – podkreśla prof. Marcin Jacoby, sinolog z SWPS. Ten synkretyzm jest kluczem do zrozumienia trwałości azjatyckich mitologii i powodów, dla których wiara w duchy przodków, demony i wędrówkę dusz doskonale daje sobie radę w krajach Toyoty, Samsunga i Huawei.

Nieśmiertelni latają na żurawiach

W Chinach nie znajdziemy odpowiednika greckiego Olimpu, jednego panteonu, jednej genealogii bogów ani świętej księgi porządkującej cały świat mitów. Zamiast Homera czy Hezjoda – setki opowieści rozsianych po kronikach, poematach, lokalnych legendach i późniejszej literaturze. – *Uczeni konfucjańscy traktowali mity i wierzenia ludowe jako coś niegodnego człowieka wykształconego, więc w oficjalnej literaturze celowo je pomijali, a częściowo nawet zwalczali. Wiemy, że istniały tysiące bóstw, demonów, duchów i fantastycznych stworzeń, ale nie jesteśmy w stanie ułożyć ich w spójny system, bo dzisiejsza wiedza o chińskich mitach przypomina składanie puzzli z rozproszonych fragmentów* – mówi prof. Jacoby. Właśnie dzięki temu chińska mitologia zachowała niezwykłą różnorodność. Obok herosów uczących ludzi rolnictwa czy medycyny pojawiają się demony, smoki, nieśmiertelni i fantastyczne zwierzęta. A także duchy przodków, których czczono nie tylko z szacunku, ale też z obawy, że zaniedbani mogą zaszkodzić żyjącym.

Wśród najbardziej znanych bohaterów jest Hou Yi, który uratował świat, strącając dziewięć z dziesięciu słońc, oraz jego żona Chang'e, mieszkająca na Księżycu wraz z legendarnym królikiem. Dla nas zajęczak od tysięcy lat ucierający w moździerzu składniki eliksiru życia wiecznego to dziwaczny szczegół, w Chinach zna go każde dziecko. Bardziej charakterystyczna od konkretnych bohaterów jest jednak pewna idea przewijająca się przez chińską wyobraźnię: nieśmiertelność. – *To motyw dotyczący może nie tyle życia wiecznego, ile niezwykle długiego życia. W górach mieszkają pustelnicy żywiący się rosą i latający na żurawiach, których widuje się co kilkaset lat, królowe nieśmiertelnych strzegą cudownych brzoskwiń, a bohaterowie poszukują eliksirów pozwalających oszukać śmierć* – wymienia prof. Jacoby. Marzenie o wydłużeniu życia nie było wyłącznie literacką fantazją. Wszyscy cesarze zatrudniali alchemików, a pierwszy z nich – Chin Qin Shi Huang – wysyłał wręcz ekspedycje na poszukiwanie wysp nieśmiertelnych i eliksiru wiecznego życia.

Ta fascynacja przekraczaniem granic ludzkiego życia przetrwała do dziś. Współczesne chińskie seriale fantasy, filmy, komiksy i gry pełne są bohaterów o nadprzyrodzonych mocach, którzy wędrują między światami, by osiągnąć życie wieczne. Najlepszym przykładem niezwykłej zdolności chińskiej kultury do łączenia różnych tradycji jest jednak Sun Wukong, czyli Król Małp, który narodził się z kamienia, zdobył nieziemskie umiejętności, zbuntował się przeciw niebu, pokonał armie demonów i ośmieszył bogów. Odkąd w XVI w. stał się bohaterem opowieści „Wędrówka na Zachód", pozostaje najbardziej rozpoznawalną postacią mityczną kultury azjatyckiej.

Przez ponad tysiąc lat Chiny były cywilizacyjnym centrum regionu, z którego szły nowe idee: pismo, filozofia, buddyzm oraz liczne opowieści mityczne. Ani Korea, ani Japonia nie przejęły jednak całego świata tamtejszych wyobrażeń. Oba kraje nałożyły na wpływy przychodzące z kontynentu własne, znacznie starsze tradycje szamańskie i animistyczne.

Fantastyczne stworzenia liżą sufit

Koreańskiej mitologii nie sposób zrozumieć bez lokalnego szamanizmu. – *Przez stulecia elity konfucjańskie i buddyjskie uważały go za przesąd niegodny ludzi wykształconych, jednak przetrwał, bo mudang włączały do rytuałów elementy buddyjskie i konfucjańskie. Dlatego w ich pieśniach obok rodzimych bóstw, duchów przodków i władców piekieł pojawiają się także buddowie* – tłumaczy dr Rutana. Wielu Koreańczyków nie chodzi do świątyni ani do kościoła, ale wierzy, że zmarli nadal wpływają na los żywych. Dlatego odwiedza się szamanki, które próbują przywrócić równowagę między światem ludzi i duchów. – *Szamanizm tak trudno wykorzenić, bo nie jest religią, tylko sposobem myślenia o relacjach łączących żywych, zmarłych i istoty nadprzyrodzone* – podkreśla koreanista.

Nieprzypadkowo ważną bohaterką koreańskich mitów szamańskich jest księżniczka Pari. Porzucona po narodzinach schodzi do zaświatów, by zdobyć wodę życia i uratować ojca, a po śmierci staje się przewodniczką dusz zmarłych oraz symboliczną pramatką wszystkich mudang. Te współczesne także pośredniczą między światem żywych i umarłych, pomagając przekroczyć granicę między nimi. – *W szamańskich opowieściach pojawia się przejęty z buddyzmu motyw przeprowadzania duszy przez „most, rzekę lub krainy piekielne", aby mogła zaznać spokoju. Jednak dla mudang najważniejsze nie są zaświaty, lecz szczęście żywych, którym pomagają radzić sobie z cierpieniem i śmiercią* – mówi dr Rutana.

Japończycy to też mistrzowie przekształcania obcych wpływów w coś własnego. Buddyzm przybył do Japonii przez Koreę i Chiny, ale spotkał tam znacznie starszy świat rodzimych wierzeń, z którego wyrosło shintō. Jego centrum stanowią kami, esencja japońskiego animizmu. Te wszechobecne, skryte w drzewach, górach, rzekach czy zjawiskach naturalnych byty nie są dobre ani złe. Jak przypomina dr Zalewska, w przeciwieństwie do bóstw buddyjskich długo nie miały przedstawień. Do dziś w wielu świątyniach shintō nie ma ich obrazów czy posągów, jest tylko miejsce, ku któremu zwraca się modlitwę. – *Poza kami istnieją też yōkai, czyli duchy, demony, zjawy i fantastyczne stworzenia, którym nie trzeba okazywać specjalnego szacunku, ale które budzą ciekawość, niepokój albo rozbawienie. Uwielbiam tenjōname, czyli „istotę liżącą sufit". Po co to robi? Trzeba by ją zapytać, ale ogromna liczba yōkai sprawia, że każdy może znaleźć wśród nich coś dla siebie* – śmieje się japonistka i dodaje: – *Wielu Japończyków nie powiedziałoby wprost, że wierzą w duchy. Mają jednak poczucie, że wokół ludzi istnieje coś więcej niż tylko świat materialny.*

eprasa.pl 332c627450



Japońska lisica yūbi no kitsune płata figle, ale i budzi współczucie

Te osobliwe istoty dobrze pokazują różnicę między japońską a koreańską wyobraźnią – podczas gdy duchy z Seulu opowiadają głównie o relacjach między ludźmi, pamięci, rodzinnych więzach i zobowiązaniach wobec zmarłych, te z Tokio przypominają, że otaczają nas niewidzialne obecności łączące świat ludzi, przyrody i istot nadprzyrodzonych.

Duchy straszą, bo cierpią

Choć Chiny, Korea i Japonia stworzyły własne światy mityczne, niektóre istoty wędrowały między nimi. Jedną z bardziej egzotycznych i popularnych w popkulturze jest wieloogoniasta lisica. – *W Chinach huli jing pojawia się w III–IV w. jako demon mogący przybierać postać pięknej kobiety, która uwodzi mężczyzn i sprowadza na nich nieszczęście* – tłumaczy prof. Jacoby. – *Z czasem jednak literatura ją humanizuje i z potwora przeobraża się w istotę tragiczną, która chciałaby być człowiekiem, ale nie potrafi całkowicie przekroczyć granicy między światem ludzi i istot nadprzyrodzonych*. W Korei kumiho najczęściej pozostaje istotą niebezpieczną, która zwodzi ludzi, a nawet uważa się, że pożera wątrobę uwiedzionych kochanków. Japońska yūbi no kitsune ma charakter niejednoznaczny. Potrafi oszukiwać i płatać figle, ale też zakochuje się w człowieku, zakłada rodzinę i budzi współczucie.

W mitach Azji Wschodniej duchy nie tylko straszą, ale też opowiadają o cierpieniu, niesprawiedliwości i nierównościach. Wystarczy spojrzeć na współczesną popkulturę – duch młodej kobiety o długich czarnych włosach stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych motywów azjatyckiego horroru za sprawą filmu „The Ring". Nie jest to jednak wynalazek współczesnych scenarzystów. – *W Korei jest mnóstwo duchów skrzywdzonych kobiet, które zmieniają się w demony* – zwraca uwagę dr Rutana. – *Niektórzy badacze widzą w tym wyraz zbiorowego, choć nie zawsze uświadomionego poczucia winy wobec kobiet żyjących przez stulecia w patriarchalnym społeczeństwie konfucjańskim. Miały znacznie mniej praw, nie decydowały o własnym losie, dlatego po śmierci wracały jako mściwe duchy, by upominać się o sprawiedliwość. To przypomnienie o krzywdzie, której nie dało się całkowicie wymazać.*

Podobnie w Japonii. – *Jedną z bardziej poruszających postaci japońskiego folkloru jest ubume, duch kobiety zmarłej podczas porodu lub tuż po nim* – mówi dr Zalewska. – *W dawnych opowieściach pojawia się nocą z niemowlęciem na rękach i prosi przechodnia, by przez chwilę potrzymał dziecko. Kiedy ten bierze je w ramiona, niemowlę staje się coraz cięższe, aż zamienia się w kamień*. Za tą historią kryje się doświadczenie znane wszystkim dawnym społeczeństwom: poród jako jeden z najniebezpieczniejszych momentów życia kobiety. Ubume jest nie tyle potworem, ile ucieleśnieniem lęku przed śmiercią okołoporodową, żałoby i niespełnionego macierzyństwa.

Tradycja zna także onryō – duchy ludzi, których cierpienie okazało się silniejsze niż śmierć. – *Nie zawsze chodzi tu o zemstę* – podkreśla japonistka. – *Duch często pozostaje między światami dlatego, że nie potrafi uwolnić się od bólu, tęsknoty lub niedopełnionych zobowiązań. W tym wszystkim najbardziej japońskie jest poczucie przemijania i nietrwałości. Przekonanie, że wszystko trwa tylko chwilę i właśnie dlatego jest tak cenne*. To zasadnicza różnica wobec wielu zachodnich historii grozy. Azjatyckie duchy kobiet budzą lęk, ale jednocześnie współczucie, ponieważ pod warstwą horroru kryją się powieści o przemocy, stracie i przemijaniu.

Zmory tkwią także w nas

Dzięki popkulturze oswoiliśmy się z Królem Małp, duchami zamieszkującymi lasy czy zmarłymi wracającymi do swoich rodzin, by załatwić stare sprawy. Popularność tych opowieści trudno jednak wyjaśnić wyłącznie siłą przemysłu rozrywkowego. Antropolodzy Philippe Descola i Tim Ingold zwracają uwagę, że zachodni sposób postrzegania świata, z podziałem na naturę i kulturę, nie jest uniwersalny. W wielu tradycjach zwierzęta, rośliny, góry, rzeki i przodkowie pozostają uczestnikami wspólnego świata. Być może właśnie dlatego opowieści o bogach, duchach i lisicach trafiają dziś także do nas. Nie dlatego, że w nie uwierzyliśmy, lecz dlatego, że przypominają o czymś, co nowoczesność często spycha na margines. Duchy Azji Wschodniej mogą się wydawać jednocześnie egzotyczne i dziwnie znajome, bo przedchrześcijańska Europa znała świat zamieszkany przez rusałki, wodniki czy zmory. Po prostu w krajach Toyoty, Samsunga i Huawei dawne istoty nadal się czują jak u siebie. Dlatego nikogo nie dziwi, że w Tokio między biurowcami i stacjami metra można spotkać siedzącego na składanym taborecie wróżbitę, a w Seulu w rytuale szamańskim uczestniczy znany polityk lub celebryta.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© SEPIA TIMES/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450



Posiedzenie Kongresu USA w sali obrad Izby Reprezentantów w Waszyngtonie, 7 marca 2024 r.

Duokracja

Jak powstał i zmieniał przez stulecia Amerykę tamtejszy system partyjny. I jak oddalali się od siebie Demokraci i Republikanie.

BOHDAN SZKLARSKI

Dwupartyjny system towarzyszy amerykańskiej demokracji w zasadzie od początku, bo od lat 90. XVIII w., mimo że wielu założycieli, w tym George Washington, miało nadzieję, że partie nie powstaną. Pierwsze wyraziste podziały pojawiły się już wśród ojców założycieli w czasie pisania i ratyfikowania konstytucji i dotyczyły zakresu władzy rządu federalnego i władz stanowych. Ten spór do dziś jest źródłem dynamiki amerykańskiej demokracji. Alexander Hamilton i tzw. Federaliści pragnęli silniejszego rządu federalnego, banku narodowego i bliższych więzi z Wielką Brytanią. Thomas Jefferson i James Madison przewodzili Demokratom-Republikanom, którzy opowiadali się za silniejszą władzą stanową, republiką agrarną i sympatią dla Francji.

Te wczesne konflikty przekształciły polityczne nieporozumienia w zorganizowaną konkurencję. Do wyborów w 1800 r. partie były już wyraźnie ugruntowane, a pokojowe przekazywanie władzy między nimi pomogło uczynić partyjną politykę trwałym elementem amerykańskiego rządu. Później pierwotne stronnictwa zmieniły się lub zniknęły, ale schemat dwóch głównych, konkurujących ze sobą ugrupowań pozostał.

Czynnikiem, który ugruntował dwupartyjność w amerykańskiej demokracji, jest jednomandatowa ordynacja wyborcza, według której przedstawicielem okręgu wyborczego w wyborach do legislatur zostaje ten kandydat, który otrzymał więcej głosów niż oponenci. W takim systemie, gdzie zwycięzca bierze wszystko, tworzenie mniejszych stronnictw daje bardzo niewielkie

eprasa.pl 332c627450

szanse na zwycięstwo, a głos oddany na ich kandydatów jest stracony. Na dodatek bardzo szeroki programowo (skrzydła konserwatywne i liberalne), otwarty charakter dwóch głównych partii sprawia, że większość wyborców znajdzie w nich swoje miejsce.

Historyczny rozwój

Na początku XIX w. dawna rywalizacja między Federalistami a Demokratami-Republikanami osłabła. Ci pierwsi wręcz zniknęli ze sceny politycznej. W latach 20. i 30. XIX w. pojawiły się nowe podziały. Zwolennicy Andrew Jacksona utworzyli Partię Demokratyczną, która przemawiała do białych wyborców i opowiadała się za ograniczoną władzą federalną, ale wspierała jednocześnie władzę prezydenta. Partie zachowały charakter elitarny, ale nabrały cech organizacji, których celem było wprowadzenie swoich kandydatów na urzędy. Jacksonowski system patronażu według zasady, że łupy (powyborcze) należą do zwycięzcy, stał się normą. Ideowi przeciwnicy Jacksona zorganizowali się w Partię Wigów, która popierała Kongres, modernizację gospodarki i zaangażowanie władz federalnych w rozwój. Podział ten załamał się w związku z kwestią niewolnictwa, a zwłaszcza wobec stosunku do jego ekspansji na nowe terytoria na zachodzie.

W rezultacie tych konfliktów w latach 50. XIX w. partia Wigów upadła, a na jej miejsce w 1856 r. wyłoniła się Partia Republikańska, zdecydowanie sprzeciwiająca się szerzeniu niewolnictwa. I tak od wyborów w 1860 r. głównymi partiami stali się Demokraci i Republikanie. Intensywna imigracja z Europy na przełomie XIX i XX w., jak też wielka migracja czarnych Amerykanów z Południa do wielkich miast Północy w pierwszej połowie XX w. w znaczący sposób wpłynęły na charakter głównych partii politycznych, które ze względnie elitarnych organizacji przekształciły się w struktury o masowym charakterze. Dawało to partyjnym elitom możliwość budowania maszyn wyborczych, gdzie głosy były wymieniane za przysługi takie jak pomoc w zatrudnieniu czy kosz węgla na zimę. Dopiero powstanie państwa zaangażowanego w politykę społeczną w czasach Nowego Ładu osłabiło patronaż.

Na początku XX w. Republikanie byli partią Północy, generalnie związaną z biznesem, przemysłem i ograniczoną władzą państwową, podczas gdy Demokraci byli silniejsi na Południu oraz wśród rolników i imigrantów miejskich. W okresie Nowego Ładu Franklin D. Roosevelt przekształcił Partię Demokratyczną w ugrupowanie promujące silniejszy rząd federalny, szeroki (jak na USA) program opieki społecznej i praw pracowniczych, do czego w latach powojennych doszło wspieranie praw obywatelskich mniejszości. Tym samym Demokraci stali się robotniczą partią miejską, z wyraźnym naciskiem na niższą klasę średnią, reprezentującą prawa różnych grup społecznych, kulturowych, rasowych i pracowniczych. Republikanie pozostawali partią bliżej związaną z interesami dużego biznesu i tych przedstawicieli klasy średniej, którzy sprzeciwiali się rosnącemu deficytowi budżetowemu i byli niechętni rozbudowanym transferom socjalnym. Gdy chodzi o politykę zagraniczną, różnice między oboma ugrupowaniami były mało znaczące.

W latach 60. Demokraci, dysponujący znaczącą przewagą w Kongresie, z inspiracji prezydenta Lyndona Johnsona – pod hasłem budowania Wielkiego Społeczeństwa (*Great Society*) – zdecydowanie rozbudowali system transferów społecznych, zwiększając rolę władz federalnych w imię niwelowania wszelkich nierówności i, co najważniejsze, poparli ustawodawstwo dotyczące praw obywatelskich, co doprowadziło do kryzysu wewnątrz partii. Wielu białych wyborców z Południa odrzuciło ten kierunek w imię obrony starego stylu życia, czyli systemu segregacji rasowej. Otwarcie rasistowscy kandydaci na urzędy stanowe jeszcze do lat 70. regularnie wygrywali tam ze zwolennikami równości.

Republikanie zauważyli w tym szansę na zbudowanie poparcia w rejonie, gdzie od czasu wojny secesyjnej jako partia Lincolna – kojarzona jednoznacznie z antyniewolniczą i zurbanizowaną Północą – w zasadzie nie istnieli. W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w 1968 r. Richard Nixon rozwinął tzw. strategię Południa, w której Republikanie podkreślali konserwatywne elementy programu, takie jak wsparcie dla tradycyjnych rodzin, wolnorynkowe reguły sprzyjające małemu i średniemu biznesowi, niskie podatki oraz niechęć do zwiększania rozrośniętego aparatu biurokratycznego w Waszyngtonie.

Obie tendencje trwały do końca XX w. Kontrola nad prezydenturą i Kongresem, szczególnie Senatem, regularnie przechodziła z partii do partii. Tym, co łączy oba ugrupowania, jest zabieganie o interesy najbardziej rozbudowanej grupy wyborców, czyli tzw. klasy średniej, przy czym każda z partii inaczej definiuje jej granice wyrażane dochodem. Np. w 2000 r. dla Republikanów klasa średnia kończyła się na rocznym dochodzie sięgającym 200 tys. dol., podczas gdy Demokraci widzieli tę granicę w połowie tej kwoty.

Lokalność i polaryzacja

Lata powojenne, a szczególnie lata 60., przyniosły znaczące zmiany w strukturach partyjnych. Wybór nominatów do kandydowania na urzędy wybieralne, a tych jest w amerykańskiej demokracji ponad 500 tys., przede wszystkim we władzy ustawodawczej i sądowniczej, przeniósł się na etap prawyborów. Tym samym elity partyjne straciły dominującą rolę w zarządzaniu, kto będzie aspirował do urzędów. Kandydaci sami stali się odpowiedzialni za program wyborczy, hasła dla reklamodawców, budowanie organizacji wyborczej, jak również za finansowanie kampanii, czyli kontakty ze sponsorami.

Przyspieszyło to wzrost lokalności w amerykańskich wyborach i osłabiło znaczenie formalnych struktur, w tym krajowego przywództwa partii. Autonomiczni, samodzielni politycy zawdzięczali partii co najwyżej samą etykietę wraz z dołączoną do niej historyczną tożsamością, skromne wsparcie finansowe i poparcie powszechnie rozpoznawalnych członków struktury.

Przy czym Demokraci i Republikanie są obecnie bardziej od siebie oddaleni ideologicznie niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich 50 lat. Polaryzacja nasiliła się szczególnie po wyborach połówkowych w 1994 r., gdy Republikanie pod przywództwem Newta Gingricha uzyskali pierwszy raz od 1948 r. większość w Izbie Reprezentantów. Nasiliła się jeszcze po kontrowersyjnych wyborach w 2000 r., gdy o wyborze na prezydenta George'a Busha jr. zdecydowało 537 głosów na Florydzie i Sąd Najwyższy, nakazujący zakończenie powtórnego przeliczania głosów w tym stanie.

Prezydentura Baracka Obamy przyczyniła się do ujawnienia w 2010 r. libertariańskiego, silnie antywaszyngtońskiego skrzydła u Republikanów, zwanego Partią Herbacianą (Tea Party). Polaryzacja pogłębiła się ponownie w erze Donalda Trumpa, kiedy Partia Republikańska przyjęła silniejszy zwrot populistyczny, sięgnęła po poparcie klasy robotniczej, utrwalając zarazem swą dominację w regionach rolniczych i małomiasteczkowych i zachowując powiązania z dużym biznesem.

Obecnie obie partie nadal mają zbliżoną liczebność, ale opierają się na różnych koalicjach społecznych. Dane sondażowe ▶

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450

▶ dotyczące identyfikacji partyjnej pokazują, że Amerykanie są podzieleni niemal równo, z ok. 25-procentową grupą niezdecydowanych pomiędzy nimi.

Koalicja Demokratów jest generalnie silniejsza wśród wyborców czarnoskórych, latynoskich i azjatyckich, kobiet, młodszych wyborców, absolwentów szkół wyższych, mieszkańców miast, najemców, członków związków zawodowych i osób niezrzeszonych religijnie.

Koalicja Republikanów jest generalnie silniejsza wśród białych wyborców, zwłaszcza bez wyższego wykształcenia, mężczyzn, osób starszych, mieszkańców wsi, osób wysoce religijnych, weteranów i właścicieli domów. Największe poparcie, sięgające 85 proc., ma u białych protestantów ewangelikalnych.

Główne społeczne bazy poparcia dla obu amerykańskich partii nie są obecnie oparte wyłącznie na klasie społecznej. Kształtuje je mieszanka rasy, wykształcenia, wieku, płci, religii i miejsca zamieszkania.

Oblicza hegemonii

W historii Stanów Zjednoczonych partie trzecie zazwyczaj nie zdobywają władzy, ale nie oznacza to, że nie odgrywają one od czasu do czasu ważnej roli. Partia Wolnej Ziemi (Free Soil) poruszyła kwestię niewolnictwa w 1848 r., populiści z Partii Ludowej (People's Party) forsowali żądania agrarne i reformatorskie w latach 90. XIX w. W 1912 r. wiele propozycji reform Theodore'a Roosevelta, który, mimo iż wcześniej był prezydentem republikańskim, startował jako kandydat nowo założonej Partii Progresywnej (Progressive Party), zostało później wdrożonych pod rządami Demokraty Woodrowa Wilsona. W 1948 r. Partia Praw Stanowych (State's Rights Party), jako odprysk Demokratów, wyrażała sprzeciw białych mieszkańców Południa wobec egzekwowania praw obywatelskich. Partia Reform (Reform Party) w 1992 r. i 1996 r. oraz Partia Zielonych (Green Party) w 2000 r. postulowały m.in. reformę finansów wyborczych i ochronę środowiska. Nawet gdy nie wygrywały, wywierały presję na główne partie.

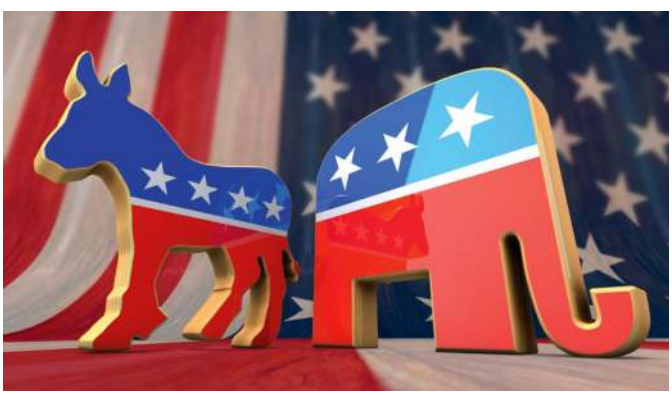
Bywało też, że wpływały znacząco na wybory, przeważnie dzieląc elektoraty głównych partii. Kandydatura Theodore'a Roosevelta z 1912 r. podzieliła republikańskich wyborców i pomogła w wyborze Demokraty Woodrowa Wilsona, podczas gdy kandydatura Ralpha Nadera z Partii Zielonych w 2000 r. mogła odebrać głosy Demokracie Alowi Gore'owi i przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Republikanina George'a W. Busha. Z czasem wyborcy partii trzecich zazwyczaj znajdują miejsce pod parasolem jednej z głównych partii.

Głównym powodem hegemonii dużych partii jest wspomniany już system większościowy, w którym zwycięzca bierze wszystko. Kolejnym jest lokalny charakter polityki, dzięki któremu urzędujący już polityk (*incumbent*) ma ogromną przewagę nad jakimkolwiek nowym rywalem. Statystycznie prawie 95 proc. posłów w Izbie Reprezentantów i 85 proc. senatorów ubiegających się o reelekcję wygrywa wybory w swoich okręgach/stanach. To bowiem dzięki nim powstają lokalne drogi, mosty, muzea, szpitale, bazy wojskowe i wszelkie inne projekty finansowane lub znacząco wspierane funduszami krajowymi. To oni potrafią pojedynczym obywatelom załatwić opóźnienie audytu podatkowego, wsparcie kredytowe z banku, łagodność stróżów prawa czy nawet wizę dla kuzyna wyborcy z dalekiego kraju. Lokalna rozpoznawalność jest kluczem do sukcesu wyborczego i działa to jak swoiste perpetuum mobile: znani są wybierani, bo są znani, aż zdecydują się sami zrezygnować, przejdą na emeryturę, zapragną innego, znacznie lepiej płatnego miejsca pracy lub zostaną uwikłani w głośny skandal obyczajowy.

Rozpoznawalność i posiadanie zasług dla okręgu wyborczego dają łatwiejszy dostęp do funduszy, które każdy kandydat na urząd musi zebrać samodzielnie. Przyjmuje się, że nieznany kandydat musi zebrać dziesięciokrotnie więcej funduszy na kampanię niż urzędujący oficjel. Sponsorzy z biznesów, związków, organizacji pozarządowych, fundacje, lobbyści, a także zwykli obywatele nie ryzykują wsparcia nowego polityka, jeśli tylko obecny nie popadł w niełaskę.

Osłabiona konkurencyjność

Teoria demokracji zakłada konkurencyjność wyborów jako gwarancję wpływu obywateli na politykę. Amerykańska praktyka zdaje się przeczyć tej teorii. Bardzo niewiele okręgów jest prawdziwie konkurencyjnych. Przed wyborami w 2024 r. tylko 27 z 435 okręgów Izby Reprezentantów (6 proc.) zostało ocenionych jako niepewne co do zwycięzcy. Konsekwencje dla demokracji są istotne. W tzw. bezpiecznych – z punktu widzenia danej



Symbole partii: osioł Demokratów i słoń Republikanów

partii – okręgach w prawyborach uczestniczy ponad połowa mniej wyborców niż w jesiennych wyborach i są to raczej najbardziej zagorzali aktywiści.

Daje to nieproporcjonalnie duży wpływ mniejszej, bardziej ideologicznej grupie wyborców i zmniejsza motywację wybranych urzędników do odwoływania się do wyborców umiarkowanych, co zwiększa polaryzację. Mniejsza konkurencja osłabia również odpowiedzialność przed wyborcami (*accountability*), ponieważ urzędujący i kandydaci partii dominującej ponoszą mniejsze realne ryzyko porażki.

Niższa konkurencyjność i pewność ponownego wyboru sprawiają, że rośnie rola pieniędzy bezpośrednio przekazywanych kandydatom (*hard money*), które podlegają regulacjom prawnym albo wydawanych niezależnie na ich rzecz (*soft money*), które takim regulacjom, przy umiejętnym zarządzaniu, właściwie nie podlegają. W 2010 r. taki swobodny obieg pieniędzy w amerykańskiej polityce potwierdził Sąd Najwyższy (Citizens United vs. FEC). Tym wyrokiem po raz kolejny usankcjonował przekonanie, że pieniądz równa się wolność słowa. Sytuacja ta nie tylko daje dodatkową przewagę rozpoznawalnym politykom już sprawującym urząd, ale też zachęca do zaangażowania się w kampanie zorganizowanym lobbystom i w ostatniej dekadzie coraz wyraźniej – oligarchom, reprezentującym najróżniejsze

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 332c627450

gałęzie przemysłu. Inwestują oni w sprawdzonych już urzędujących polityków, obiecując stały dopływ funduszy, czym także przyczyniają się do zwiększenia polaryzacji w systemie.

Jest w amerykańskiej demokracji szczególna praktyka, która pozwala politykom częściowo wybierać swoich wyborców. Procedura ta nazywa się *gerrymandering*. Polega na wyznaczaniu granic okręgów wyborczych w celu zapewnienia jednej partii przewagi przez osłabienie lub wzmocnienie siły głosu wybranej grupy: klasowej, rasowej lub etnicznej. Granice mogą być wyznaczane przez stanowe legislatury, zwyczajowo co 10 lat po każdym spisie powszechnym. W 2024 i 2025 r. tak Republikanie, jak i Demokraci ruszyli do manipulacji granicami okręgów, by bronić lub poprawiać swoje pozycje w Kongresie w nadchodzących jesienią 2026 r. wyborach połówkowych.

Termin *gerrymandering* sięga 1812 r., kiedy gubernator Massachusetts Elbridge Gerry podpisał nową mapę okręgów wyborczych, a jeden z dziwnie ukształtowanych został porównany do salamandry. Politycy zdają się nie mieć zahamowań w tej kwestii. Sądy tylko w nielicznych przypadkach kwestionują wymyślne kształty okręgów.

Republikanie: herbaciarze i MAGA

U Republikanów spójność partii oznacza bardziej skonsolidowaną tożsamość konserwatywną, lecz pod jej szyldem okazjonalnie pojawiają się ruchy, które na czas jakiś narzucają partii swój charakter. W 2010 r. na scenie zaistniała wspomniana już libertariańska, zdecydowanie antyelitarna i antywaszyngtońska Partia Herbaciana. Udało jej się wprowadzić kilkunastu wyrazistych posłów i senatorów. Była to reakcja na zwycięstwo wyborcze Baracka Obamy, ogromny program federalnego dofinansowania zagrożonych w wyniku kryzysu 2008 r. sektorów gospodarki (bankowość, ubezpieczenia i motoryzacja), a także wprowadzenie wyłącznie głosami Demokratów, dofinansowywanego z budżetu programu opieki medycznej dla nieubezpieczonych Amerykanów (Affordable Care Act, potocznie zwanego Obamacare). Herbaciarze, mimo skromnej liczebności, dzięki swojemu entuzjazmowi i wyrazistości odtworzyli obecny od zarania republiki spór kompetencyjny między władzą stanową a federalną. W szczycie ich popularności w 2010 r. ok. 48 proc. Republikanów przyznało, że identyfikuje się z postulatami herbaciarzy.

Emocje te niedługo później dały wsparcie fali populizmu, która ujawniła się wraz z pojawieniem się Donalda Trumpa jako kandydata na polityka w 2016 r. Nośnikiem stała się nostalgiczna w swym przesłaniu, silna frakcja Republikanów głosząca powrót do wielkości Ameryki – MAGA (*Make America Great Again*). W erze MAGA Republikanów można określić jako partię bardziej populistyczną, nacjonalistyczną i skupioną na liderze. Po niespodziewanym zwycięstwie wyborczym lojalność wobec Trumpa, twarde stanowisko w sprawie imigracji i polityka wojny kulturowej, obniżka podatków i ograniczenie zakresu władzy rządu federalnego stały się znacznie bardziej istotne, a umiarkowani Republikanie zeszli na plan dalszy.

Ruch MAGA oprócz tego, że dzięki sprawności komunikacyjnej nabrał charakteru machiny politycznej, zdołał zbudować silną koalicję wyborców składającą się z przeważnie dojrzałych białych mężczyzn o niskim wykształceniu, osób silnie religijnych, mieszkańców rejonów rolniczych, klasy robotniczej ze zdezindustrializowanych rejonów, która ma wsparcie w postaci nieograniczonych wręcz funduszów płynących od oligarchów z różnych sfer biznesu.

Demokraci: umiarkowani i progresywni

Historycznie rzecz biorąc, Partia Demokratyczna stanowiła szeroką koalicję z silnymi napięciami wewnętrznymi. W latach 40. i 50. XIX w. największy rozłam dotyczył niewolnictwa. Po wojnie secesyjnej Demokraci stali się przede wszystkim partią białego Południa, z niewielkimi wpływami na Północy. W erze Nowego Ładu zyskali władzę, tworząc bardzo zróżnicowaną koalicję: drobnych rolników, wyborców z miast północnych, zorganizowanych związków zawodowych, imigrantów, liberałów, intelektualistów i reformatorów. Koalicja ta była silna wyborczo, ale wewnętrznie niespójna, ponieważ obejmowała zarówno liberałów z Północy, jak i konserwatystów z Południa.

Największy rozłam w XX w. nastąpił w kwestii praw obywatelskich. W 1948 r. południowi segregacjoniści na krótko odłączyli się pod przywództwem Stroma Thurmonda, tworząc grupę Dixiecrats. Pod koniec lat 60. grupa białych Demokratów z Południa przeszła pod szyld Republikanów.

Od lat 90. główny podział wewnątrz partii przesunął się na ideologię i strategię. Centrowa polityka Nowych Demokratów Billa Clintona – podobna do Trzeciej Drogi w Europie – zraziła lewicowe skrzydło partii i wielu przedstawicieli związków zawodowych. Obecnie Partia Demokratyczna jest podzielona głównie między umiarkowanych demokratów i lewicowych postępowców, znanych również jako Demokratyczni Socjaliści. W wyborach do Kongresu w 2024 r. Demokraci głównego nurtu przewyższali liczebnie lewicowych w stosunku 2:1.

Główne zarzuty wobec systemu dwupartyjnego w USA dotyczą ograniczenia reprezentacji, zniechęcenia partii alternatywnych i częstego zmuszania wyborców do głosowania na tzw. mniejsze zło, zamiast na kandydata wymarzonego. W badaniu Pew Research Center z 2023 r. 25 proc. respondentów stwierdziło, że żadna z partii nie reprezentuje interesów osób podobnych do nich nawet w umiarkowanym stopniu. 4 na 10 Amerykanów twierdzi, że chcieliby mieć więcej partii politycznych do wyboru.

Jest jednak niezwykle mało prawdopodobne, aby doszło do jakichkolwiek istotnych zmian w amerykańskim systemie partyjnym.

BOHDAN SZKLARSKI



KUP TERAZ

Cały XX w. to amerykanizacja świata z odwołaniem się do legendy kraju wolności, demokracji i wolnego rynku. I nawet jeśli Ameryka w czasach Trumpa abdykowała niejako ze swej wzorcotwórczej roli, to nadal pozostaje potęgą.

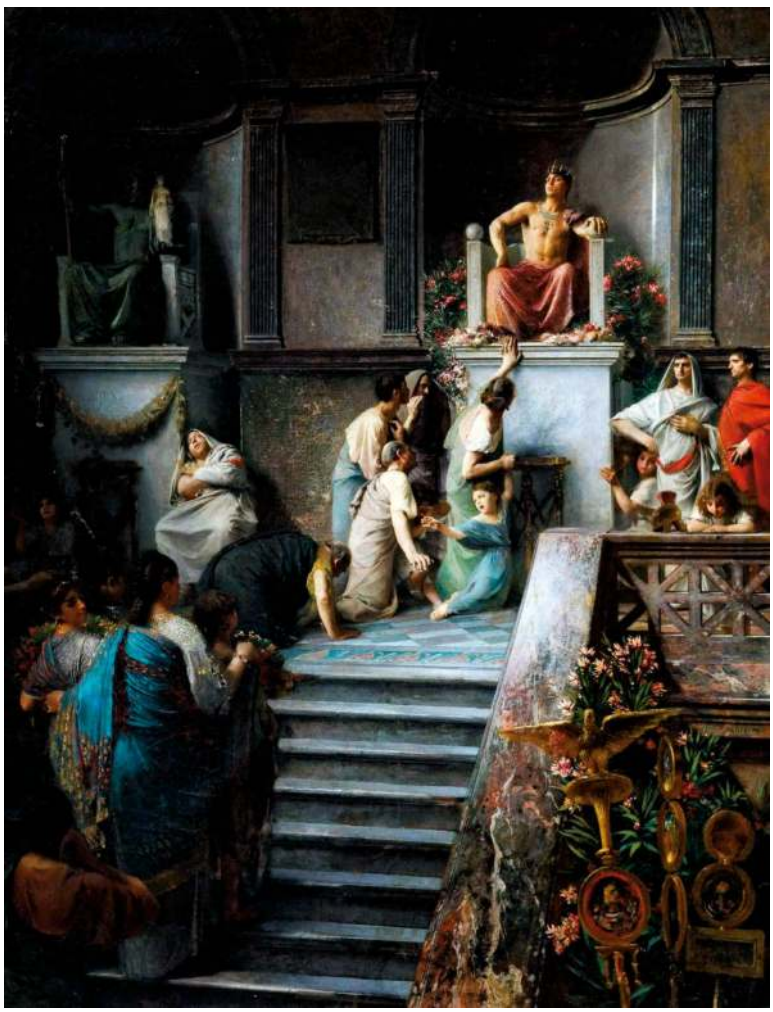
Z tym wydaniem Pomocnika Historycznego zapraszamy do wędrówki po historii najnowszej USA.

Kupując je **w druku na stronie sklep.polityka.pl** lub **w ramach subskrypcji cyfrowej polityka.pl**, wspierają Państwo dziennikarstwo POLITYKI.

eprasa.pl 332c627450

Chorzy dyktatorzy

„Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie” – napisał brytyjski historyk i filozof Lord Acton. Ale czy nie prowadzi także do szaleństwa?







Od lewej: **Kaligula na obrazie Émile’a Lévy’ego z XIX w. Karol VI Szalony gra w karty z błaznem, obraz Albrechta De Vriendta z XIX w. Iwan Groźny zabija syna, obraz Ilji Riepina z XIX w.**

Sprawowanie władzy nie chroni przed zaburzeniami osobowości ani chorobami psychicznymi, przeciwnie – często je uwydatnia, wystawia na widok publiczny i potęguje ich skutki. Od wieków znane są przypadki władców i dyktatorów, których zachowania budziły grozę, zdumienie i fascynację. Dziś te opowieści czyta się nie tylko jako kroniki okrucieństw i ekscesów, lecz także jako zapis objawów choroby.

Kaligula na kozetce

Kiedy w 37 r. n.e. 25-letni Gajusz, zwany Kaligulą, obejmował władzę w Imperium Romanum, wielu Rzymian widziało w nim nadzieję na spokój po burzliwych rządach Tyberiusza. Początek panowania zdawał się to potwierdzać: amnestie i hojne igrzyska zjednały mu lud. Jednak już po kilku miesiącach cesarz ciężko zachorował i właśnie ten moment można uznać za przełomowy; odtąd jego zachowanie wyraźnie się zmieniło.

Kaligula stawał się władcą coraz bardziej nieprzewidywalnym. Symbolem jego obłędu stał się zamiar mianowania ulubionego konia Incitatusa konsulem, porywanie córek i żon rzymskich notabli czy zmuszanie przeciwników do samobójstw. Do legendy przeszedł też wybudowany przez niego „most pontonowy” przecinający Zatokę Bajską – konstrukcja złożona z kilkuset w tym celu zakotwiczonych i wysypanych ziemią statków miała długość ponad 3 mil. Kaligula okryty napierśnikiem

eprasa.pl 332c627450

Aleksandra Wielkiego i złotym płaszczem przejechał przez ten „most" konno. Ponoć po to, by upokorzyć astrologa Tyberiusza, który twierdził, że Kaligula ma tyle samo szans na zostanie władcą, ile na przejechanie konno przez Zatokę Bajską. Ludzi obserwujących jego spacer po tej niezwykłej budowli kazał zrzucić ze skały do morza. Każdą z tych historii, balansujących na granicy okrucieństwa i groteski, znamy wyłącznie z „Żywotów cezarów" Swetoniusza, urodzonego 28 lat po śmierci Kaliguli. Z jego dzieła wyłania się portret Kaliguli jako człowieka, dla którego władza stała się narzędziem do realizowania najbardziej mrocznych popędów.

Swetoniusz pisał o niespokojnym i krótkim śnie cesarza, jego nocnych wędrówkach po pałacu, o tym, że miał „twarz z natury odpychającą i dziką", którą celowo wykrzywiał, aby budzić przerażenie, o niezaspokojonym apetycie seksualnym i współżyciu z rodzonymi siostrami. Wspominał również o traumach z młodości, które mogły odcisnąć piętno na psychice Kaliguli. Z rozkazu Tyberiusza matka Kaliguli, Agrypina Starsza, została zesłana na wygnanie, gdzie zagłodziła się na śmierć. Jego starsi bracia zginęli w więziennych lochach. Zanim ukończył 20 lat, stracił niemal wszystkich najbliższych. Jak przypomina historyk Roland Auguet, młody Gajusz musiał żyć na dworze człowieka odpowiedzialnego za śmierć jego rodziny i każdego dnia udawać wobec niego lojalność.

Wielu historyków uważa, że opowieści Swetoniusza można włożyć między bajki, że wizerunek Kaliguli w dużej mierze ukształtowali autorzy mu niechętni, którzy mieli własne powody, aby wyolbrzymiać jego ekscesy. Ale nie ulega wątpliwości, że zachowanie władcy szybko zaczęło budzić niepokój Rzymian. Poddani stracili cierpliwość – po zaledwie czterech latach rządów cesarz został zamordowany przez własną gwardię pretoriańską.

Ostatnio coraz częściej próbuje się spojrzeć na Kaligulę nie tylko jak na tyrana, lecz także jak na pacjenta. Zespół kierowany przez kolumbijskiego neurochirurga Jesúsa Davida Charry-Sánchеza z Universidad del Rosario zwraca uwagę na możliwe neurologiczne przyczyny jego zachowania. Z przekazów bowiem wynika, że cesarz od dzieciństwa cierpiał na napady padaczki, a choroba z 37 r. mogła być stanem padaczkowym prowadzącym do trwałych zmian w mózgu. Dlatego jego późniejsze zachowania – impulsywność, agresja, brak empatii, mania wielkości – mogły być skutkiem uszkodzeń neurologicznych. Są to jednak domysły.

Karol VI – szklany król

Na początku sierpnia 1392 r. młody władca Francji (panowanie 1380–1422) zmierzał z wojskiem ku granicom Bretanii, aby zemścić się za próbę zamachu na jednego z królewskich doradców, Oliviera de Clisson. W drodze nieoczekiwanie „stracił rozum przez słabość umysłu, dźgnął konia ostrogami, wyjął miecz i nie poznając nikogo, rzucił się na pazia" – napisał kronikarz francuski Jean Froissart. Nim zdołano go obezwładnić, zabił czterech rycerzy. Epizod ten uznano za początek choroby, która naznaczyła całe jego panowanie.

Niezwłocznie wezwano medyków, lecz tylko Guillaume de Harcigny zdołał pomóc władcy. Zalecił odwiezienie go do Paryża, bezwzględne unikanie wzruszeń i niepokojów. Za przyczynę królewskiej choroby uznał przebytą gorączkę oraz odziedziczoną po matce „słabość umysłu". Możnowładcy usiłowali ukryć stan króla przed ludem, lecz bezskutecznie – Paryżanie wznosili modły o zdrowie monarchy.

Z kolejnych przekazów kronikarskich wyłania się obraz władcy coraz bardziej pogrążającego się w chorobie. Karol VI miewał omamy, biegał bez celu po korytarzach Pałacu Saint-Pol, nie poznawał żony i nie znosił jej obecności. Żyjący kilka dekad później papież Pius II napisał, że król kazał wszyć w swoje szaty żelazne pręty – był bowiem przekonany, że jest ze szkła i może się stłuc. To właśnie od tej osobliwej obsesji wzięło się jego późniejsze miano szklanego króla, choć potomni lepiej zapamiętali go jako Szalonego.

Stan monarchy przełożył się na sytuację państwa. Realną władzę przejęli najważniejsi dygnitarze, wykorzystując ją do realizacji własnych interesów. Pogłębiający się chaos to ostatnie, czego potrzebowała pogrążona w wojnie stuletniej Francja. Narastające konflikty wewnętrzne osłabiły kraj, co znalazło swój finał w klęsce pod Azincourt w 1415 r. i w niekorzystnym pokoju z Anglią.

Przypadek Karola VI od dawna budzi zainteresowanie także lekarzy. W XIX w. i na początku XX w. psychiatrzy uznawali go za schizofrenika, wskazując na omamy, wycofanie i zaburzenia pamięci. W ostatnich latach pojawiły się inne interpretacje. W 2018 r. zespół francuskich medyków pod kierownictwem Sonii Hakimi z Uniwersytetu w Nantes zasugerował, aby objawy króla wiązać raczej z chorobą afektywną dwubiegunową. Badacze wskazali na uderzające podobieństwa objawów występujących u władcy, jego matki oraz dzieci, co pozwoliło wysnuć tezę, że choroba Karola VI mogła mieć podłoże genetyczne.

Iwan IV Groźny od kiły i rtęci?

We wrześniu 1568 r. Iwan Groźny (panowanie 1547–84) przybył do Moskwy, aby ukarać bojara Iwana Czeladnina, który rzekomo dążył do przejęcia władzy. „Zabito go – wspominał Heinrich von Staden, niemiecki najemnik – i wrzucono do brudnego dołu nad Nieglinną. Wielki Książę następnie udał się ze swoimi opricznikami i spalił wszystkie jego ziemie, wsie i kościoły wraz z będącymi w nich ikonami oraz ozdobami liturgicznymi. Kobiety i dziewczęta rozbierano do naga i zmuszano do ganiania kur po polach".

Nie był to odosobniony wybuch okrucieństwa Iwana. Jak dalej relacjonował von Staden, w 1568 r. metropolita Moskwy Filip II po krytyce działań władcy, „popadł w niełaskę i musiał leżeć [w lochu] w wielkich żelaznych kajdanach, póki nie skonał". Najsłynniejszą i najbardziej przerażającą zbrodnią dokonaną przez cara była rzeź nowogrodzka z 1570 r. Iwan IV podejrzewał mieszkańców Nowogrodu o zdradę i potajemne kontakty z Litwą. Do miasta wkroczyły więc oddziały opricznków, które przez kilka tygodni dokonywały egzekucji, tortur i grabieży – ofiarami padali zarówno bojarzy i duchowni, jak i zwykli mieszkańcy, a wielu ludzi topiono w skutej lodem rzece Wołchow. Wśród historyków panuje dziś konsens, że w czasie tej masakry zginęło ok. 2,2 tys. osób.

Wielu badaczy łączy takie zachowania ze stanem psychicznym Iwana IV. Ricardo Espinoza i Evelyn Benavides z wydziału medycyny Uniwersytetu Andyjskiego w Chile rozpoznali u niego zespół płata skroniowego i nie wykluczali choroby afektywnej dwubiegunowej, co opisali w artykule „The possible temporal lobe syndrome of Ivan IV the Terrible". Z kolei rosyjski psychiatra Andriej Liczko w książce „Historia oczami psychiatry" pisał o manii prześladowczej.

Z przekazów i badań wyłania się jeszcze inny trop. W 1963 r. otwarto grób cara, a analiza szczątków wykazała poważne ▶

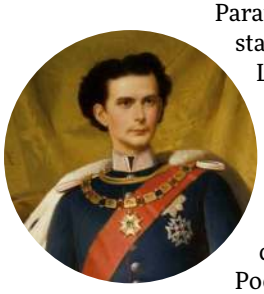
© ARCHIWUM HISTORII UNIWERSALNEJ/GRUPA UNIVERSAL IMAGES/GETTY IMAGES, ALAMY/BE&W, BE&W

eprasa.pl 332c627450

▶ zwyrodnienia stawów oraz stężenie rtęci kilkaset razy przekraczające normę. W XVI w. substancję tę stosowano do zwalczania kiły. Rosyjski neurolog Walerij Nowosiołow uznał, że Iwan IV również mógł być w ten sposób leczony, a stan jego stawów miałby to potwierdzać. Nowosiołow zwracał przy tym uwagę, że kiła w zaawansowanym stadium może prowadzić do psychozy, której objawami są drażliwość, podejrzliwość, narastająca nieufność i lęk, często połączone z wyniszczającymi bólami głowy. Jego zdaniem wiele z tych symptomów występowało u cara, a kulminacja dolegliwości przypadła na lata 70. XVI w.

Na ile okrucieństwo Iwana było wynikiem choroby, a na ile świadomych decyzji – tego nie sposób jednoznacznie rozstrzygnąć.

Ludwik II w krainie fantazji



Paranoja – taką diagnozę postawiono w czerwcu 1886 r. Ludwikowi II Wittelsbachowi, królowi Bawarii (panowanie 1864–86), władcy bardziej znanemu z bajkowych zamków niż z prowadzenia realnej polityki. Pod opinią podpisało się czterech monachijskich psychiatrów z prof. Bernhardem von Guddenem na czele. Co znamienne, króla nie zbadano bezpośrednio – wystarczyły relacje świadków oraz atmosfera narastającej presji politycznej, aby uznać go za niezdolnego do rządzenia.

A przecież jego „szaleństwo" nie objawiało się gwałtownością ani okrucieństwem. Ludwik II, który objął tron jako bardzo młody człowiek, stopniowo zamykał się we własnym świecie. Zamiast polityki wybierał sztukę, zamiast kontaktów z ludźmi – samotność. Otaczał opieką Wagnera, budował zamki będące bardziej odbiciem jego marzeń niż miejscem do mieszkania, prowadził nocny tryb życia i rzadko pojawiał się publicznie. Państwo funkcjonowało, lecz coraz wyraźniej bez niego.

To przyniosło konkretne skutki. W czasach, gdy Bawaria traciła samodzielność na rzecz Cesarstwa Niemieckiego, brak sprawnego monarchy oznaczał słabszą pozycję polityczną. Do tego dochodziły finanse – kosztowne inwestycje Ludwika II pogłębiały zadłużenie kraju, a odkładane na później decyzje paraliżowały administrację. Władza królewska stawała się coraz bardziej pozorna, a odpowiedzialność przejmowali ministrowie, którzy w końcu uznali, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, i usunęli niewygodnego władcę, opierając się na medycznym orzeczeniu.

Nic więc dziwnego, że później próbowano je zweryfikować. Już w XX w. Heinz Häfner, profesor psychiatrii z Heidelbergu, widział w Ludwiku II przypadek długotrwałej psychozy, wskazując na jego narastające oderwanie od rzeczywistości. Inny psychiatra, Hans Förstl, odrzucał jednak tę interpretację, skłaniając się ku osobowości schizotypowej – dziwnej, lecz spójnej.

Pojawiły się też inne hipotezy – o mechanizmach kompensacyjnych, o zaburzeniach neurologicznych, a nawet o porfirii – lecz żadna nie zyskała pełnego potwierdzenia. Pozostaje więc obraz króla, którego „paranoja" była jednocześnie diagnozą, wygodnym narzędziem polityki i próbą nazwania czegoś, co wymykało się prostym kategoriom – a jej skutki odczuło całe państwo.

Mussolini narcyzem



„Duce ma zawsze rację" – hasło wymyślone w 1926 r. przez dziennikarza Leo Longanesiego – doskonale oddawało propagandową otoczkę, jaka narosła wokół Benita Mussoliniego (premier Królestwa Włoch w latach 1922–43, duce Włoskiej Republiki Socjalnej 1941–45). Sam Mussolini jeszcze na długo przed dojściem do władzy uważał się za człowieka stworzonego do wielkich czynów.

Z relacji o młodości dyktatora wynika, że był impulsywny i skłonny do przemocy: wychowywał się w biedzie, przejawiał brutalne zachowania wobec rówieśników i zdarzało mu się atakować ludzi na ulicy, aby zdobyć jedzenie. Jednocześnie wyróżniał się inteligencją i talentem retorycznym. W środowisku socjalistów, z którymi czytał Hegla i zachwycał się Marksem, cieszył się uznaniem. Te cechy łączyły się u niego z wybujałym poczuciem własnej wartości. Psychiatra Michael Fitzgerald z Trinity College w Dublinie zwracał uwagę na objawy syndromu ofiary widoczne w jego młodości. Wskazywał też na wypowiedzi, które można odczytywać jako przejaw narcyzmu – jak choćby słowa skierowane do matki: „Jednego dnia zadziwię cały świat".

Będąc już u władzy, Mussolini otwarcie i przesadnie podkreślał swoje znaczenie. Uważał się za „potomka cezara" i człowieka „o wiele bardziej inteligentnego od Hitlera". Poczucie wyjątkowości mogła w nim dodatkowo wzmocnić seria nieudanych zamachów na jego życie w latach 1925–26. Jak zauważyła badaczka włoskiego faszyzmu Simonetta Falasca-Zamponi, po jednym z nich miał powiedzieć: „Kule latają, a Mussolini żyje".

Wizerunek dyktatora był starannie budowany i utrwalany. Kroniki filmowe pokazywały go podczas przemówień, gdy energicznie gestykulował i napinał mięśnie. Historyk Frank Dikötter zwrócił uwagę, że przed wystąpieniami Mussolini ćwiczył każdy gest i każdy ruch. Prasa chętnie publikowała jego zdjęcia – z nagim torsem, na koniu, w samolocie czy za kierownicą samochodu – tworząc obraz silnego, sprawczego mężczyzny.

Zestaw tych cech – poczucie wyższości, impulsywność, agresja i przekonanie o własnej wyjątkowości – bywa interpretowany jako przejaw osobowości narcystycznej. Co istotne, ujawniał się on, jeszcze zanim Mussolini stał się Il Duce, a z czasem tylko się nasilał.

Analizując biografie zmarłych władców i przywódców, łatwo przekroczyć granicę między interpretacją a diagnozą. Dlatego współczesna psychiatria wprowadziła tu wyraźne ograniczenia. Zasada Goldwatera oraz stanowisko Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego (APA) zakazują oceniania kondycji psychicznej osób publicznych bez bezpośredniego badania. Przypadek Ludwika II Bawarskiego pokazuje dlaczego – medyczne rozpoznanie może stać się narzędziem politycznym.

Mimo to badacze nie rezygnują z prób zrozumienia tych postaci. Nie po to, by wydawać jednoznaczne werdykty, lecz aby zrozumieć, gdzie kończy się decyzja polityczna, a zaczyna ludzka słabość. Medycyna nie unieważnia historii, ale pozwala spojrzeć na nią z innej perspektywy.

JAN CZAPLIŃSKI, KRZYSZTOF IZDEBSKI, JAKUB ROGIŃSKI, ANDRZEJ SAWICKI, JOANNA ŻMIEJEWSKA

Artykuł przygotowany przez studentów warsztatów dziennikarskich Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego

© DE AGOSTINI/GETTY IMAGES, ANN RONAN PICTURES/BE&W

eprasa.pl 332c627450

Kamienica symbol

Tadeusz Lubelski, **Ulica Krzywoustego**, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2026, s. 328

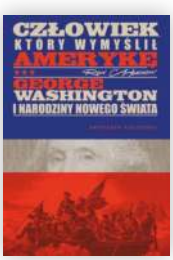


To powieściowy debiut wybitnego historyka i krytyka filmu prof. Tadeusza Lubelskiego (ur. w 1949 r.) związanego z Uniwersytetem Jagiellońskim. Autor odtwarza swoją mityczną krainę dzieciństwa – Gliwice lat 60. W wielorodzinnym domu przy ul. Krzywoustego krzyżują się losy nastoletniego Antka i jego rodziców przybyłych ze Lwowa, nauczycielki francuskiego Wandy z Paryża, gospodyni Anny urodzonej jeszcze w niemieckim Gleiwitz, żydowskiego doktora Fajmana. Kamienica jest miejscem realnym, ale i metaforycznym, w którym problemy powojennej Polski znajdują odbicie w lokalnych i jednostkowych historiach. Poznajemy złożoność gliwickiej tożsamości, proces tworzenia się nowej społeczności. To także świetnie opowiedziana historia dorastania Antka, gdzie własne przeżycia i doświadczenia mieszają się z tymi wyniesionymi z filmów oglądanych w gliwickim kinie, spektakli lokalnego teatru, przypadkowych lub wyszukanych lektur. Narracja jest wyjątkowo plastyczna i filmowa. W jednym z fragmentów Antek zastanawia się nad tym, w jaki sposób można by przenieść wiele lat życia na dwugodzinny film. Książka ma cechy takiego dobrego scenariusza. Dostaliśmy poruszającą opowieść o ludziach, których już w większości nie ma, ze świata, który pamiętają nieliczni.

JERZY BACZYŃSKI

Amerykanin nr 1

Ron Chernow, **Człowiek, który wymyślił Amerykę. George Washington i narodziny Nowego Świata**, przeł. Jan Dzierzgowski, Znak Horyzont, Kraków 2026, s. 1150

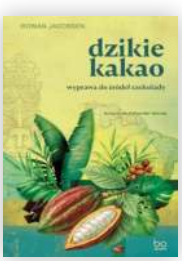


Namalowany pod koniec XVIII w. przez Gilberta Stuarta portret Washingtona jest najczęściej powielanym obrazem świata – do dzisiaj wyprodukowano ponad 100 mld jednodolarowych banknotów z podobizną pierwszego prezydenta USA. Wraz z obchodami 250-lecia Stanów Zjednoczonych pojawiła się nagrodzona Pulitzerem biografia Washingtona. Ron Chernow kreśli wiele portretów prezydenta, przede wszystkim charakterologiczny: ambitny, pozbawiony humoru, odważny, precyzyjny, odwiedza warsztaty zegarmistrzowskie i pragnąłby, żeby jego świat był dobrze działającym mechanizmem. Ukazuje historię rodziny: przedwczesną śmierć ojca i przyrodniego brata, które uniemożliwiły mu odebranie solidnego wykształcenia, co stało się kompleksem Washingtona. Jest też on lubiącym dobrze się ubrać i pomnażającym majątek plantatorem, który ściga zbiegłych niewolników i w przypadku recydywy sprzedaje ich do kopalń na Karaibach. Autor portretuje go jako ambitnego żołnierza, buntownika, ostrożnego wodza Armii Kontynentalnej oraz polityka – biografia oparta jest na korespondencji, badaniach i dokumentach z epoki. Siłą rzeczy wplecione są w nią narodziny USA: od bratobójczej wojny po republikańskie ideały.
Szukałem w książce polskich akcentów, wzmianki o „bohaterach dwóch kontynentów" Kościuszce lub Pułaskim, którzy mile łechcą naszą dumę narodową. Na tysiącu stron znalazłem jedynie świadectwo polskiego szlachcica, które w przypisach okazało się listem Juliana Ursyna Niemcewicza. Mimo to książka warta lektury!

MAREK SOBCZAK

Brązowe złoto

Rowan Jacobsen, **Dzikie kakao. Wyprawa do źródeł czekolady**, przeł. Aleksander Gomola, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2026, s. 270

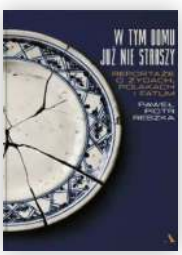


Reportaż podróżniczy jest opowieścią o dziejach kakao. Rowan Jacobsen, pisarz i dziennikarz, zaczyna książkę scenką z zapoteckiej wioski pod Oaxacą. Starsza kobieta praży brązowe ziarna na glinianej patelni, powstaje napój, który przygotowuje się tak samo od tysięcy lat. W kulturach Mezoameryki nie był deserem, lecz częścią kosmologii i walutą. Konkwistadorzy odnotowali, że Montezumie podawano „pięćdziesiąt ogromnych dzbanów dobrej czekolady z pianką", a w królewskim skarbcu znaleźli setki milionów ziaren kakao ułożonych niczym sztabki złota. Gdy kakao trafiło do Europy, stało się napojem elit i szybko zamieniło się w globalny towar. „Hiszpanie w końcu znaleźli swoje złoto" – pisze autor. Wraz z rosnącym popytem znikła jednak różnorodność odmian, a plantacje przemieniły się w przemysł. Dziś czekolada to gigantyczny rynek wart setki miliardów dolarów kontrolowany przez kilka międzynarodowych koncernów. I tu reportaż wraca do współczesności, bo autor opisuje spotykania z naukowcami, rolnikami i producentami czekolady, którzy próbują odtworzyć dzikie i zapomniane odmiany kakaowca z Amazonii. „Dzikie kakao" to historia o tym, jak rytualny „napój bogów" stał się jedną z najbardziej pożądanych używek świata. I przypomnienie, że w każdej tabliczce czekolady kryje się 4 tys. lat ludzkiej kultury.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Pamięć Zagłady

Paweł Piotr Reszka, **W tym domu już nie straszy. Reportaże o Żydach, Polakach i fatum**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026, s. 229



Tyle tych historii, że trudno spamiętać imiona, nazwiska, miejsca, dokładny czas. Tylko scenariusz zazwyczaj ten sam: ucieczka, ukrywanie się u tych, którym musi się zaufać i zapłacić, topnienie pieniędzy i dóbr, głód, zimno lub upał w coraz mniej ludzkich kryjówkach. I w końcu albo przetrwanie (rzadziej), albo siekiera, widły lub kula (częściej). Co pozostało po tych, którzy nie doczekali końca polowania na ludzi? Co po latach robili ci, którzy ocaleli? Myśleli o zemście czy tylko o sprawiedliwości? Co wiedzą ich późniejsze rodziny? Czy tych, którzy byli winni zbrodni, spotkał ostracyzm, sąd, jakakolwiek kara? A ich dzieci, wnuki, prawnuki – jak im się żyło? Ciążyła nad nimi przeszłość? I co pozostało w ścianach i pod podłogami domów, obór, ziemianek i wychodków – schronień i/lub cel śmierci? Znajdowanie odpowiedzi zajęło autorowi lata. Dotarł do potomków ocalałych i do potomków tych, którzy ich ukrywali, a niekiedy zabijali, wzbogacił o komentarze rabinów. Jedni mówili, inni woleli milczeć. Z jednego i drugiego (z dokumentów też) ten znakomity i cierpliwy reporter wyczytał wiele. Książki o Holokauście są liczne, dlaczego warto przeczytać tę? Bo pokazuje to, co kluczowe – pamięć o nim.

KATARZYNA CZARNECKA

© MP (4)

eprasa.pl 332c627450



serial

Po żałobie 4/6

The Bear 5, twórca serii: Christopher Storer, 8 odc., Disney+

Finał serialu, który miał niesamowite pierwsze sezony: uwodził zarówno świetnym aktorstwem, jak i oryginalną warstwą wizualną. Jednak w kolejnych odsłonach tracił, skupiając się na pokazywaniu powolnego procesu psychoterapeutycznego oraz na oddaniu hołdu, momentami z przesadnym patosem, branży restauracyjnej. Ostatni sezon zaczyna się następnego dnia po wydarzeniach kończących poprzedni: szefowie restauracji Carmy (**Jeremy Allen White**) i Sydney (**Ayo Edebiri**) szukają dobrego momentu, by przekazać reszcie ekipy najnowsze wieści, wujek Jimmy (Oliver Platt) desperacko szuka sposobu na uchronienie biznesu przed zamknięciem, nieświadomy, że może nim być powrót do korzeni, a jednocześnie trwają przygotowania do przyjęcia kolejnych gości, przerywane kryzysami, w tym skutkami ulewnego, niemal biblijnego deszczu, w którym tonie Chicago. Znów jest dużo krzyku i konfliktów, absurdalne zachowania rodu Faków wprowadzają jak zwykle dodatkowe piętro chaosu w i tak skomplikowaną sytuację na zapleczu walczącej o przeżycie restauracji. „The Bear" to jednak przede wszystkim opowieść o dysfunkcyjnej rodzinie – tej biologicznej i tej z wyboru – przeżywającej żałobę. I finałowa odsłona pokazuje, jaką drogę przeszli. Stres i stare nawyki wciąż wracają, ale towarzyszy im refleksja, gęsto padające „przepraszam" i silne więzi. Mimo niepewnej przyszłości jest więc też dużo nadziei, a kto liczył na kolejny epicki wybuch Donny (Jamie Lee Curtis), matki rodu Berzatto, będzie rozczarowany.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Senne barykady 5/6

Jesteś w sercu zmian. Surrealizm i antyfaszyzm
Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, do 10 stycznia 2027 r.

Stołeczne MSN nie słabnie w swym zapale do tematów łączących sztukę z problemami tego świata. Po dawce feminizmu przyszedł czas na artystyczne rozliczenia z faszyzmem. To powrót muzeum do tego tematu po siedmiu latach („Sztuka przeciw wojnie i faszyzmowi" w 2019 r.), ale tym razem z dość zaskakującej perspektywy surrealizmu, kojarzonego raczej z sennymi wizjami, a mniej z ideowym zaangażowaniem i barykadami stawianymi totalitaryzmowi. Warszawska ekspozycja jest adaptacją wystawy pokazywanej wcześniej w monachijskim Lenbachhaus. Stąd aż skrzy się od wielkich nazwisk surrealistycznej światowej sztuki, począwszy od Joana Miró, René Magritte'a czy Maxa Ernsta, a na Leonorze Carrington czy Roberto Matcie kończąc. Polskie kuratorki nie zadowoliły się jednak międzynarodową plejadą gwiazd i uzupełniły ją o wyrazisty krajowy kontekst, np. o intrygujące związki surrealizmu z awangardową kolekcją a.r., zasługi Grupy Krakowskiej czy o osobną salę poświęconą nieco zapomnianym Teresie Żarnower oraz Franciszce i Stefanowi Themersonom. Ekspozycja prowadzi nas na przemian wątkami dość oczywistymi, jak reakcja surrealistów na wojnę domową w Hiszpanii czy emigracyjne losy artystów uciekających z Niemiec i Europy przed nazistami. Jest też jednak kilka mniej znanych, a fascynujących tropów, jak doskonały przedwojenny czeski surrealizm czy antyfaszystowski epizod… egipski, z manifestem z 1938 r. „Niech żyje sztuka zdegenerowana". A przy okazji – co już staje się tradycją MSN – skłonność do pokazywania artystek niesłusznie pomijanych w mainstreamowej historii sztuki. Ciekawa aranżacja, rozmach i mnóstwo wyśmienitych prac to sprawdzony przepis na kolejny frekwencyjny sukces.



Leonora Carrington, „Arka Noego", ok. 1938 r.

PIOTR SARZYŃSKI

© DISNEY+, PATRICK BOULEN/ADAGP, PARYŻ / ZAIKS, WARSZAWA, MONOLITH FILMS, WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC., TOBIASZ PAPUCZYS

eprasa.pl 332c627450



film

W domach z betonu... 4/6

Zaproszenie, reż. Olivia Wilde, prod. USA, 107 min, w kinach od 3 lipca

Nie ma to jak kolacja w niewielkim gronie, żeby ludzie zaczęli odsłaniać swoje prawdziwe charaktery. Kino tę kliszę powiela chętnie, „Zaproszenie" nie rości więc sobie pretensji do oryginalności. To zresztą remake hiszpańskiego filmu sprzed kilku lat, pełnymi garściami czerpiący również z rozmaitych teatralnych fars. Przy tym materiał, który ma do dyspozycji, wykorzystuje zgrabnie. Do stołu zasiadają dwie pary sąsiadów: Joe i Angela przeżywają małżeński kryzys, choć ukrywają to nawet sami przed sobą, za to Pina i Hawk sprawiają wrażenie, jakby żyli pełnią życia, wyluzowani, otwarci, ciekawi świata. Spotkanie ma służyć wzajemnemu poznaniu, wyjaśnieniu kilku niezręcznych sytuacji, lecz szybko przybiera nieoczekiwany kierunek. Nieunikniony brak oryginalności film nadrabia błyskotliwymi dialogami i aktorskim popisem całej czwórki wykonawców: **Penélope Cruz**, **Olivii Wilde** (która stanęła także za kamerą), **Setha Rogena** i **Edwarda Nortona**. Dzięki nim „Zaproszenie" ogląda się nieco jak dawne komedie Woody'ego Allena: analizę relacji międzyludzkich, opowieść o niespełnionych pragnieniach, seksualnych frustracjach, wzajemnym zaufaniu i rozczarowaniu dorosłością. Sztubacki, prowokacyjny humor ukrywa tu kilka całkiem poważnych – i dla wielu odbiorców zapewne niewygodnych – tematów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Antybohaterka 4/6

Supergirl, reż. Craig Gillespie, prod. USA, 108 min, już w kinach

Supergirl i Supermana łączą więzy krwi i nadludzka moc czerpana z energii żółtego słońca, ale dzieli wszystko inne. Kara (charyzmatyczna **Milly Alcock**) nie jest specjalnie zainteresowana ratowaniem świata i niesieniem pomocy potrzebującym. Nękana wspomnieniami o utraconej rodzinie woli imprezować do upadłego i zapijać smutki w międzyplanetarnych barach. Dopiero spotkanie z Ruthye (Eve Ridley), dziewczyną, której rodzice zginęli z rąk bezwzględnego Krema (Matthias Schoenaerts), pozwoli Karze wykorzystać jej moc dla dobra innych. Choć na początku jest zemsta, bo Krem zatrutą strzałą rani Krypto, ukochanego psa Supergirl, a ta nie zawaha się przed rozwaleniem w drobiazgi połowy kosmosu, żeby zdobyć odtrutkę. Filmowych i serialowych wersji opowieści o Supergirl było już kilka, lecz ta jest najbardziej udana: bezpretensjonalna, dynamiczna, zaskakująca wizualnie. Dostarcza tego, czego powinna: dużo rozrywki, sporo humoru, nieco wzruszeń, dorzuca garść bonusów dla najwierniejszych fanów multiwersum DC Comics (Jason Momoa w drugoplanowej roli kosmicznego łowcy nagród Lobo kradnie każdą scenę, w jakiej się pojawia). I co wcale nie tak częste w kinie superbohaterskim, stawką nie jest tu uratowanie wszechświata przed zagładą, lecz raczej próba wyrównania prywatnych krzywd, a dla głównej bohaterki droga do zemsty okaże się przede wszystkim podróżą w poszukiwaniu samej siebie.

JD



scena



Pragnienia i konwulsje 3/6

Gabriela Zapolska, **Moralność pani Dulskiej** reż. Anna Augustynowicz, Teatr Narodowy w Warszawie

Najbardziej znana z komedii Gabrieli Zapolskiej miała prapremierę 120 lat temu, język potoczny zawdzięcza jej wiele złotych myśli, na czele z: „Na to mamy cztery ściany i sufit, aby brudy swoje prać w domu i aby nikt o nich nie wiedział" (ale też np. „Skromność, skarb dziewczęcia"), a „dulszczyzna" stała się ponadczasowym synonimem hipokryzji i kołtuństwa. Niedawno w Teatrze Telewizji w intrygującej formie musicalu wystawili „Moralność pani Dulskiej" Agnieszka Glińska z synem, w roli tytułowej wystąpiła Kinga Preis, a mottem spektaklu było zdanie: „Ja nie mam czasu myśleć". Anna Augustynowicz po sztukę Zapolskiej sięga po raz trzeci, tym razem w Anielę Dulską wciela się z werwą **Małgorzata Kożuchowska**, a motywem przewodnim są dławione w bigoteryjnym domu Dulskich emocje i pragnienia, które manifestują się w konwulsyjnych ruchach – jest erotyczne wicie się, jest tango, a nawet nieoczekiwany pocałunek. Nieco większa niż zwykle rola przypada Lokatorce (Anna Gajewska) – niedoszła samobójczyni i rewers pragmatycznej Dulskiej przywołuje na myśl widmo ze sztuk Augusta Strindberga. To jednak za mało, żeby statyczny, monotonny spektakl, rozgrywany w czerni i nijakiej, „uniwersalnej" scenografii, uczynić czymś więcej niż poprawną lekturową pozycją. Teatr Narodowy powinien celować wyżej.

AK

eprasa.pl 332c627450



Małe apokalipsy 5/6

Georgi Gospodinow, **I wszystko stało się księżycem**, przeł. Magdalena Pytlak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s.162

Znakomity autor „Fizyki smutku" czy „Schronu przeciwczasowego" tym razem prezentuje swoje opowiadania. Nie po raz pierwszy – już wcześniej dostaliśmy tom „I inne historie". Teraz jest to zbiór krótkich form z 2013 r. I od pierwszego utworu czujemy lekkość – nawet apokalipsa okazje się niedokonana i zamienia w mistrzostwa zachodów słońca, bo przecież wszystko musi stać się widowiskiem. Ukryty humor jest obecny w bardzo wielu z tych opowieści, czasem dość czarny, jak w historii o kobiecie, która zamierzała skoczyć z okna w Nowym Jorku, ale trafiła na 11 września 2001 r. Czy spotkanie z pewną kobietą po ponad 30 latach w schowku na szczotki w hotelu Bułgaria dojdzie do skutku? Znajdziemy też coś dla tych, którzy pamiętają świat sprzed transformacji



i umawiają się w Sofii „przed Mauzoleum", a w Warszawie np. „na Jana Pawła Marchlewskiego". Wrócimy do przeszłości także w opowiadaniu „Fotografia", w którym pewien dziennikarz realizuje koncept „Żywi pisarze na cmentarzach" i fotografuje autorów na ich ulubionych nekropoliach w technice retro. Zabawny jest ten pomysł, ale – jak to u Gospodinowa – jakoś również przejmujący. I taka jest ta książka, w swojej lekkości daje też poczucie dotykania spraw bolesnych i ostatecznych, jak w „Córce" czy „Spotkaniu z floralem", a to dlatego, że autor jest kronikarzem małych, prywatnych apokalips, które rozgrywają się wokół nas. A docieklivi znajdą w niej tropy z późniejszych książek, choćby postać pewnego ogrodnika.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Ucieczki i pogonie 4/6

Grzegorz Kapla, **Bez litości**, Wydawnictwo Sonia Draga, Warszawa 2026, s. 392

Szósta już część cyklu, którego bohaterką jest podkomisarz Olga Suszczyńska. O ile jednak większość poprzednich tomów można określić jako kryminały z historią i aktualną polityką w tle, to najnowszy jest już czystą powieścią sensacyjną, czerpiącą z klasyki („Dzień Szakala" Fredericka Forsytha jest tu nawet wymieniony). Nie ma tym razem sprawy kryminalnej, zwłok na ulicach Warszawy ani retrospekcji do czasów PRL. Jest tylko bieżąca chwila, po objęciu rządów przez Koalicję 15 Października. Trudny czas zmian, więc są tacy, którzy chcą skorzystać z bałaganu. Przez dużą część książki śledzimy dwa pościgi naraz: Suszczyńska z partnerem gonią gangstera z Donbasu, który trudni się rzekomo przemytem ludzi, a jednocześnie z Moskwy ucieka do Polski szpieg, który wszedł do kręgu najbliższych doradców Władimira Putina i pozyskał informację o niebezpieczeństwie grożącym polskiemu prezydentowi. Ze zbiegiem zwiedzamy Kreml, a nawet przechodzimy szlakiem przemytników przez granicę białorusko-polską. Jednocześnie w Polsce rosyjski zabójca dokonuje zamachu na auto prezydenta, nie wiedząc, że pojechał nim ktoś inny. Zamach więc grozi nadal, a Olga zostaje dokooptowana do ochrony głowy państwa, ponieważ gangster, którego śledziła, jest jednym z podejrzanych. A wszystko rozstrzygnie się – gdzieżby indziej – na miesięcznicy smoleńskiej.

DOROTA SZWARCMAN



Alternatywki 5/6

Magdalena Czubaszek, **Będziesz wrzeszczeć. Dziewczyny na polskiej scenie alternatywnej lat 80.**, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 288

Zaczyna się mocno, bo też sama historia obecności dziewczyn na naszej scenie punkowej miała obiecujący początek. Angielski zespół kobiecy The Raincoats przyjechał do klubu Riviera-Remont w 1978 r., jeszcze przed wydaniem debiutanckiej płyty, i ten występ stał się zapalnikiem dla polskiej sceny alternatywnej. Magdalena Czubaszek rekonstruuje przebieg wydarzeń i reakcje ówczesnego środowiska: z jednej strony entuzjastyczne, z drugiej podszyte seksizmem. Wychodząc od tego, całą resztę książki poświęca z kolei odtwarzaniu życiorysów artystycznych polskich dziewczyn z punkowej i postpunkowej generacji. Dziś w dużej mierze zapomnianych (jak tragiczna postać Małgorzaty Starowieyskiej – Mao Star), pamiętanych jak przez mgłę (jak Katarzyna Kulda z popularnych swego czasu grup Kontrola W. i Kosmetyki Mrs. Pinky), aż po te, które jakimś cudem przetrwały na scenie muzycznej dłużej (Oczi Cziorne). Paradoks polega na tym, że ze względu na zachwiane proporcje w środowiskowym tle opowiadają dziś o nich w dużej mierze mężczyźni. Jest to więc zarazem dobrze skonstruowana reporterska książka o muzyce – co u nas bardzo rzadkie – i historia pewnej kulturowej, obyczajowej przemiany w całej branży. Niezłe uzupełnienie „Dzikiej rzeczy" Rafała Księżyka w opisie urwanych tropów sceny alternatywnej i pozycja bardzo aktualna wobec świeżego pomysłu przypomnienia repertuaru Kontroli W. i Kosmetyków przez Mery Spolsky. „Po co pisać o kobietach, które już nie grają" – słyszy w pewnym momencie autorka. Może po to, żeby sobie wyobrazić alternatywną wersję historii naszej alternatywy?

BARTEK CHACIŃSKI

© MARILLA SICILIA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, ARTURO HOLMES/GETTY IMAGES, MP (7)

eprasa.pl 332c627450







Inne spojrzenie

Wschód Kultury – Inne Brzmienia,
Lublin, Park Ludowy, 2–5 lipca

Można mieć jazz i ciężkie brzmienia gitarowe w jednym? Oczywiście, potrzeba tylko odpowiednio otwartej publiczności i szeroko patrzących na muzykę kuratorów. Przydaje się też Mats Gustafsson, szwedzki saksofonista i flecista, który cały swój artysty życiorys buduje na łączeniu kunsztu improwizacji jazzowej i rockowego, a nawet punkowego ducha. W Lublinie zagra z Backengrillen – formacją założoną na gruzach punkrockowej grupy Refused, a dzień później – z Kimmo Pohjonenem, fińskim wirtuozem akordeonu. Świat ciężkiej muzyki o punkowych korzeniach reprezentować będą Irlandczycy z Therapy? oraz polska metalowa grupa **Furia**, a świat nieszablonowego jazzu – legendarny zespół **Sun Ra Arkestra** oraz Marcin Masecki w piosenkowym repertuarze hiszpańskojęzycznych klasyków. Spośród wykonawców niemieszczących się ani w nurcie improwizacji, ani ciężkich gitar, warto zwrócić uwagę na ukraiński duet Heinali & Andriana-Yaroslava Saienko – to zarazem oszczędne i spektakularne połączenie muzyki elektronicznej oraz wschodnioeuropejskiej tradycji wokalnej. Ich pełen emocji program dobrze ilustruje spojrzenie lubelskiej imprezy – naprawdę inne, nienakierowane na trendy sezonu, dostrzegające nie tylko anglosaski świat muzyczny.

BCH

Szczegóły: www.innebrzmienia.eu

salon gier

Lepszy „Gothic” 5/6

Gothic Remake, Alkimia Interactive, THQ Nordic, GOG.com, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S



Magiczna bariera nagle odcina górniczą enklawę, w której więźniowie wydobywają rudę metalu o niezwykłych właściwościach, niezbędną królestwu do wyrobu broni. Zbuntowani skazańcy przejmują władzę. Bohater gry, dosłownie wrzucony w ten świat, próbuje przetrwać i znaleźć sposób na ucieczkę. Wydany ćwierć wieku temu „Gothic” natychmiast stał się fenomenem wśród gier fabularnych, do dziś cieszy się fanatycznym w niektórych kręgach uwielbieniem – zwłaszcza w Polsce. „Gothic Remake” nie tylko przynosi niezbędną po tylu latach wizualną restaurację tego klasyka, ale też wzbogaca go o atrakcje, które miały się znaleźć w oryginalnej grze. Twórcy dodali też sporo od siebie. W rezultacie „Gothic” zyskał nowe obszary do eksploracji, postacie, stworzenia, wątki fabularne, dialogi, możliwości rozwoju bohatera etc. Świetna gra stała się jeszcze lepsza.

Swobodna jazda 4/6

Forza Horizon 6, Playground Games, Xbox Game Studios, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5



Dla miłośników sportów samochodowych seria gier „Forza Horizon” zawsze stanowiła szczególną atrakcję. Wyróżniało ją to, że zamiast oferować wyścigi po zamkniętych torach czy rajdy po wytyczonych trasach, pozwalała na swobodną jazdę z azymutem na tytułowy horyzont. Tym razem mkniemy po drogach i bezdrożach Japonii. Dostępny obszar jest dwukrotnie większy niż wirtualny wycinek Meksyku w „Forza Horizon 5”, obejmując niemal 250 km kw. Można wybrać model jazdy bardziej lub mniej realistyczny, odnajdą się tutaj zatem także amatorzy bez prawa jazdy. Jazda swobodna zapewnia dużo emocji. Po ostrym skręcie w dół stromego zbocza ścinałem drzewa w gęstym lesie jak słomki, zbierając punkty za rekordową demolkę. Gra tradycyjnie nagradza, za co się da. Kolekcjonowanie i tuningowanie aut jest tu jedną z głównych atrakcji, a powiększanie kolekcji przychodzi bardzo łatwo. Może nawet zbyt łatwo.

Ukryty spam 2/6

Where Winds Meet, Everstone Studio, Xbox Game Pass, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5, Android, iOS



Premiera „Where Winds Meet”, baśniowego świata stylizowanego na X-wieczne Chiny, z mistrzami sztuk walki w rolach głównych, okazała się klapą. Autorzy zakasali zatem szerokie rękawy swoich hanfu i ruszyli z gruntownym remontem. Obecna obszerna aktualizacja jest zatem, zgodnie z zapewnieniami, premierą właściwą – 2.0. Owszem, gra bywa miła dla oka, a mistrzowie miecza i innych broni potrafią z gracją wykonywać akrobacje, którymi zawstydziliby bohaterów „Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka”. Problem polega na tym, że stworzono ją chyba głównie z myślą o smartfonach i tabletach, faszerując rozwiązaniami, które dla amatorów bardziej ambitnych produkcji są niestrawne. Szału można dostać, widząc kolejne komunikaty o zdobyciu nieistotnych punktów, którymi gra spamuje non stop. W jednej scenie dziewczynka zachwyca się gołębiami w locie, a już w kolejnej jej opiekun(ka) zestrzeliwuje je masowo w ramach lekcji łucznictwa. Brr.

OLAF SZEWCZYK

eprasa.pl 332c627450



Jacob Elordi (serialowy Nate) w roli Potwora stworzonego przez Frankensteina, za którą dostał nominację do Oscara i Złotego Globu

Euforia gwiazd

ANETA KYZIOŁ

Serial „Euforia” zostawił po sobie rozczarowanie, ale wypromował kilka nowych, pokoleniowych gwiazd aktorstwa. Teraz mogą zająć się swobodnie nowymi zadaniami.

Kto brnął przez kolejne odcinki ostatniego sezonu „Euforii” aż do boleśnie moralizatorskiego finału, łatwo mógł wymazać z pamięci, jak przedtem niepokorny i nowatorski był to serial. HBO zapowiadało w 2019 r. produkcję Sama Levinsona jako luźno inspirowaną izraelskim formatem „opowieść o grupie licealistów poszukujących miłości i przyjaźni w świecie narkotyków, seksu, traum i mediów społecznościowych”. A potem pojawiły się pierwsze odcinki i „Czarnobyl”, ówcześnie najbardziej dyskutowana serialowa nowość, stracił pozycję lidera.

Poznaliśmy 17-letnią Rue, rezolutną narratorkę tej historii, świeżo po odwyku, na który trafiła po przedawkowaniu. Jak informowała na wstępie, z nałogiem nie zamierza zrywać, bo tylko haj potrafi zatrzymać kołowrót myśli w jej głowie i złagodzić stany lękowe. Świeża przyjaźń z transpłciową Jules mogłaby pomóc, ale Jules akurat jest w trakcie internetowego romansu i przyjaciółki potrzebuje głównie do pomocy przy robieniu rozbieranych fotek, które zamierza wysłać obiektowi westchnień. W odpowiedzi na jego „kutafotki”, jak brzmiało serialowe tłumaczenie angielskiej frazy *dick pics*. A w kolejnych odcinkach pojawiały się m.in.: narkotykowe od loty i przedawkowanie, gwałt 40-latka na nastolatce, seks nastolatków z podduszaniem, czy szkolna męska szatnia po meczu z – jak doliczyli się krytycy i obrońcy moralności – 30 penisami.

Urodzonemu w 1985 r. twórcy serialu zarzucano seksualizację młodzieży, kicz i nasączanie opowieści o współczesnych nastolatkach własnymi doświadczeniami milenialsa, w tym z licznych odwyków, na które trafiał od dziecka. A jednak ten zbiorowy portret pokolenia Z jako nękanego przez traumy i lęki okazał się tyleż histeryczny i podkręcony, ileż trafny. W kolejnych dwóch sezonach, których tworzenie przypadło na trudny czas pandemii i strajku scenarzystów i aktorów, a także zostało naznaczone tragiczną śmiercią z przedawkowania jednego z członków obsady, świetnie się zapowiadającego 25-letniego Angusa Clouda, ta opowieść traciła jednak sens i moc.

Tymczasem obsada, dla której „Euforia” była jak aktorskie liceum i studia w jednym, w prawdziwym świecie odnalazła się znacznie lepiej niż bohaterowie serialu. Bo stał się on początkiem

© NETFLIX, GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE, GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450



Zendaya (serialowa Rue) z Robertem Pattinsonem w tegorocznym filmie „Drama”

zaskakującej liczby wielkich karier aktorów dopiero zbliżających się do trzydziestki. Branżowy magazyn „The Hollywood Reporter” lekko ironicznie żegnał serię, argumentując, że młodzi aktorzy, z których serial zrobił zapracowane gwiazdy, nie muszą już blokować w swoich napiętych kalendarzach terminów na kolejne sezony.

Droga mądrości

Zendaya (serialowa Rue) w 2019 r. miała 23 lata i ponad dekadę kariery na koncie jako tancerka, wokalistka i aktorka związana z koncernem Disneya. Była rozpoznawalna, jako 16-latka zajęła drugie miejsce w „Tańcu z gwiazdami”, zagrała już MJ, obiekt westchnień Petera Parkera w pierwszej części nowej hitowej ekranizacji „Spider-Mana”, a początek „Euforii” zbiegł się z premierą sequela; trzecią właśnie promuje wspólnie z grającym tytułowego bohatera Tomem Hollandem, a prywatnie są świeżo po ślubie.

W roli Rue, która jest jednocześnie niepoprawną ćpunką, gotową kłamać i oszukiwać, oraz wcieleniem niewinności, wnosi do przesterowanej, histerycznej opowieści zdrowy, paradoksalnie, dystans i dużo rozładowującego napięcie slapstickowego humoru – Zendaya mogła pokazać skalę swojego talentu. Świetne recenzje, rozgłos oraz stempel jakości w postaci dwóch statuetek Emmy i Złotego Globu pozwoliły jej z przytupem wkroczyć w kolejny, dorosły etap kariery.

Dziś może odmawiać: nie bierze dużo ani byle czego, buduje swoją markę jako ekskluzywną. W kinie autorskim – tylko główne role u interesujących reżyserów: w „Challengers” Luki Guadagnino wcieliła się w femme fatale uwikłaną w erotyczno-miłosno-tenisowy trójkąt, w tegorocznej „Dramie” z reżyserem Kristofferem Borglim i partnerującym jej Robertem Pattinsonem coś, co mogłoby być tylko przewrotną komedią romantyczną, zmieniają w wypowiedź społeczną. Z dających masową rozpoznawalność i odpowiednie honoraria blockbusterów, poza „Spider-Manem”, wybrała tylko widowiska artystów kina: gra w kolejnych częściach „Diuny” Denisa Villeneuve’a (który nazwał ją „samoistną, niezależną siłą twórczą” i „tworzącą się ikoną kultury”) i w wypakowanej gwiazdami „Odysei” Christophera Nolana. W tej ostatniej gra Atenę, boginię mądrości, i mimo swoich tylko 29 lat w środowisku ma opinię źródła spokoju, mądrości i klasy.

Z końcem roku zamierza sobie zrobić krótką przerwę na życie prywatne, ale rozwija kolejne projekty. Jako producentka i gwiazda grająca główną rolę pracuje nad filmem o Ronnie Spector, liderce zespołu The Ronettes z lat 60. Reżyseruje Barry Jenkins; zapowiada nie klasyczny biopic, tylko obraz eksperymentalny, na miarę oryginalności głównej bohaterki. I aktorki.

Biust niezgody

Podczas gdy Zendaya z uśmiechem dzieli się życiowymi mądrościami, druga gwiazda „Euforii” Sydney Sweeney musi stale walczyć o wiarygodność. W roli Cassie, szkolnej piękności, która zrobi wszystko – dosłownie wszystko – dla zaspokojenia głodu miłości i podziwu, włącznie z przebieraniem się za szczeniaka i bobasa w filmikach na platformie OnlyFans, wypadła tak przekonująco, że w wywiadach i komentarzach wciąż jest traktowana podejrzliwie. Nie jak profesjonalistka, bardziej jak ofiara reżyserskich fetyszy.

„Ludzie zapominają, że gram postać; myślą: »O, ona rozbiera się na ekranie, to symbol seksu«” – komentowała. „I nie potrafię tego przełamać. Nie mam żadnych problemów z tymi scenami i nie zamierzam przestać ich kręcić, ale chciałabym, żeby istniał łatwiejszy sposób na otwartą rozmowę o tym, jakie założenia przyjmujemy na temat aktorów”. Piersi aktorki stały się wręcz przedmiotem amerykańskiej debaty politycznej. Lewicowy komentariat w ich pokazywaniu widział konserwatywne uprzedmiotowienie kobiety, prawicowy ogłaszał „koniec ideologii *woke*”.

Sweeney przyszła do „Euforii” ze znacznie mniejszym zawodowym bagażem niż Zendaya, choć na ekranie pojawia się ▶

eprasa.pl 332c627450



Sydney Sweeney (serialowa Cassie) w biograficznym filmie „Christy" o losach amerykańskiej bokserki

▶ od 12. roku życia. Po „Euforii" sama steruje swą karierą, założyła firmę producencką i współprodukuje wiele z filmów, w których gra. W tym „Reality" o Reality Winner, sygnalistce, która ujawniła tajne dokumenty dotyczące rosyjskich prób ingerencji w wybory prezydenckie w USA w 2016 r. Albo „Christy", oparty na biografii najlepszej amerykańskiej zawodowej bokserki w latach 90., lesbijki i ofiary przemocy domowej. Do tej roli Sweeney przybrała na wadze i sama odgrywała sceny walk, korzystając z umiejętności zdobytych, gdy jako nastolatka trenowała kick boxing.

Dla równowagi zagrała też w kasowej komedii romantycznej „Tylko nie ty" z Glenem Powellem i w hitowej „Pomocy domowej", thrillerze w reż. Paula Feiga (powstaje sequel). A także w „Edenie" Rona Howarda, historycznym dramacie z gwiazdorską obsadą, oraz tytułową rolę zakonnicy w ciąży w horrorze „Niepokalana" Michaela Mohana.

Jako producentka i aktorka rozwija jednocześnie kilka projektów, w tym m.in. filmową wersję japońskiego anime „Mobile Suit Gundam", która ma być wojskową SF, kinem akcji i widowiskową space operą jednocześnie, oraz nowe odsłony „Barbarelli" i „Jeźdźca bez głowy". W tragikomedii według powieści Edith Wharton „Jak każe obyczaj" wcieli się w dziewczynę z prowincji, która walczy o awans społeczny w Nowym Jorku 1912 r., a w „Scandalous!" – w gwiazdę Kim Novak. Reżyserię tego ostatniego filmu zaproponowała koledze z planu „Euforii" Colmanowi Domingo.

Szczęka amanta

Dla Jacoba Elordiego rola Nate'a w „Euforii" była szansą na ucieczkę od emploi schematycznego wrażliwego bad boya, w którym utknął po tym, jak w 2018 r. ekranizacja romansu „The Kissing Booth" stała się wielkim hitem Netflixa. 21-letniemu, nieznanemu przystojniakowi z Australii w noc po premierze przybyło na Instagramie 4 mln fanów; zaskoczony rozmiarem nagłej popularności, w pośpiechu usuwał zamieszczane tam od czasów liceum prywatne zdjęcia.

Nate też jest przystojniakiem, ale jednocześnie uosobieniem toksycznej męskości, z całym pakietem patologii: od przemocy, przez manipulacje, zdrady (swojej dziewczyny z jej najlepszą przyjaciółką) i szantaż. A za tą maską kryje się chłopiec, który w dzieciństwie znalazł nagrania, na których jego ojciec uprawia seks z nastoletnimi chłopakami i transkobietami, po czym poprzysiągł sobie zostać jego przeciwieństwem.

Elordi o aktorstwie myśli w kategoriach starego Hollywood, predestynuje go zresztą do tego klasyczna uroda: 195 cm wzrostu, silnie zarysowane szczęka i brwi. Aktorstwa uczył się z biografii wielkich aktorów, książki zawsze ma przy sobie, słynie z noszenia wielkich toreb i fotografowania się w księgarniach. Zanim jednak w pełni doświadczył sukcesu „Euforii", musiał jeszcze trochę pomęczyć się w aktorskim czyśćcu, czyli wystąpić w mało istotnych horrorach, rom-comach i thrillerach. Przełomowy był 2023 r. oraz premiery „Saltburn" w reż. Emerald Fennell i „Priscilli" w reż. Sofii Coppoli. Pierwszy, kolejna satyra na bogatych w gwiazdorskiej obsadzie, był ważny także dlatego, że przyniósł mu propozycję roli Heathcliffa w kolejnym filmie Fennell, wizyjnej i erotycznej ekranizacji „Wichrowych wzgórz". Coppola wybrała go do roli Elvisa po tym, jak zobaczyła, jakie wrażenie robi na kobietach, gdy spotkali się na kolacji. Ale aktorowi udało się też przekonująco pokazać dwoistość natury Króla, także jego napady złości i okrucieństwo.

Z kolei rolę „potwora Frankensteina" dostał – jak wyjaśniał reżyser Guillermo del Toro – z powodu oczu: „Oczy Jacoba są tak pełne człowieczeństwa". „Ta istota mogłaby być Jezusem. Ale w przypadku Jacobe'a jest to Adam. To pierwszy człowiek, a on cechuje się tą niewinnością". Aktor spędzał po 10 godz. dziennie na nakładaniu charakteryzacji, ruch bohatera wzorował na japońskiej sztuce tańca butoh, głos ćwiczył, naśladując gardłowy śpiew mongolski. W efekcie dostał swoją pierwszą nominację do Oscara. Ma też na koncie nominację do Złotego Globu za australijski miniserial historyczny z romansem w centrum, „Ścieżki na daleką północ" na podstawie nagrodzonej Bookerem powieści Richarda Flanagana (HBO Max).

Na premierę – 28 sierpnia – czeka „Gwiazdozbiór psa", postapokaliptyczny obraz na bazie powieści Petera Hellera w reż. Ridleya Scotta, w którym występuje z Joshem Brolinem, Margaret

© BE&W, GETTY IMAGES

eprasa.pl 332c627450

Qualley czy Guyem Pearce'em (oraz psem). Zagra też w nowej ekranizacji powieści Cormaca McCarthy'ego „W ciemność", która będzie hollywoodzkim debiutem reżyserskim Lászlo Nemesa.

Ikony pokolenia

Gwiazdy „Euforii" płynnie łączą aktorstwo z udziałem w kampaniach reklamowych. Choć też na różne sposoby. Zendaya, obok ambasadorowania markom, razem ze swoim stylistą wprowadziła na rynek kolekcję odzieży sportowej. Sydney Sweeney też projektuje, ale bieliznę – nową kolekcję staników reklamowała, wdrapując się z nimi nocą na napis „Hollywood", co wywołało kontrowersje. Musiała się też tłumaczyć z reklamy jeansów opatrzonej hasłem „Syndey Sweeney Has Great Jeans", które niektórym, zasugerowanym klasycznie „białą" urodą aktorki, zrymowało się z *genes* (geny) i zabrzmiało rasistowsko. Do jej obrony rzucili się J.D. Vance i Donald Trump, co skomentowała jednym słowem: „surrealistyczne".

Zupełnie inaczej podchodzi do reklamy Hunter Schafer, dla której rola Jules, przyjaciółki i ukochanej Rue w „Euforii", była aktorskim debiutem, a pierwszym zawodem był modeling. Udział w kampaniach reklamowych największych marek miał dla transdziewczyny także wymiar aktywizmu i realizacji swojej wywalczonej kobiecości. Uzdolniona plastycznie, pierwotnie zamierzała studiować projektowanie ubrań, dostała się do prestiżowego londyńskiego Central Saint Martins, ale wybrała pracę, gdy pojawiły się propozycje reklam.

Po zagraniu transpłciowej Jules – także w odcinku specjalnym, skupionym na niej, który napisała razem z Samem Levinsonem – otrzymywała, jak mówi, „tony ról osób transpłciowych". Odmawiała, bo uznała, że jako aktywistka już spełniła swoją funkcję, jest dziewczyną i zamierza grać dziewczyny. W 2023 r. wystąpiła w „Igrzyskach śmierci: Balladzie ptaków i węży" w reż. Francisa Lawrence'a, rok później zagrała swoją pierwszą główną rolę w horrorze „Kukułka" w reż. Tillmana Singe'a – amerykańskiej nastolatki w przerażającym ośrodku wypoczynkowym w niemieckich Alpach. A na premierę czeka kilka projektów z jej udziałem. W tym „Krzyk w niebiosa" Toma Forda, kostiumowy dramat osadzony w XVIII-wiecznych Włoszech w środowisku kastratów, ekranizacja powieści Anne Rice. A także miniserial SF „Blade Runner 2099" i horrorowa gra wideo „OD" Hideo Kojimy i Jordana Peele'a.

Sam Levinson i jego spece od castingu mieli oko do młodych artystów bez doświadczenia aktorskiego, ale z osobowością i wszechstronnym talentem. Dla Hunter Schafer aktorstwo okazało się przygodą na dłużej, inna gwiazda „Euforii", muzyk Dominic Fike, który zagrał w drugim sezonie charyzmatyczny (i zmagający się z uzależnieniem od narkotyków) obiekt zainteresowania Rue i Jules, wrócił do muzyki – po drodze zagrał jeszcze z rozpędu w dwóch niezależnych filmach – ale już ze zbudowaną w serialu rozpoznawalnością. Piosenka „Babydoll" stała się tiktokowym wiralem, zdarzają mu się hity na Spotify. Nagrywa kolejne płyty i objeżdża świat z trasami koncertowymi. W maju oklaskiwała go polska publiczność na Orange Warsaw Festival.

„Wiele życia się wydarzyło od premiery" – mogą dziś powtórzyć za Zendayą wszystkie gwiazdy „Euforii". Aktorka powrót na plan w finałowym sezonie serialu porównała do nostalgii, jaka ogarnia nas, gdy wchodzimy do sypialni z dzieciństwa: „Dziwne uczucie".

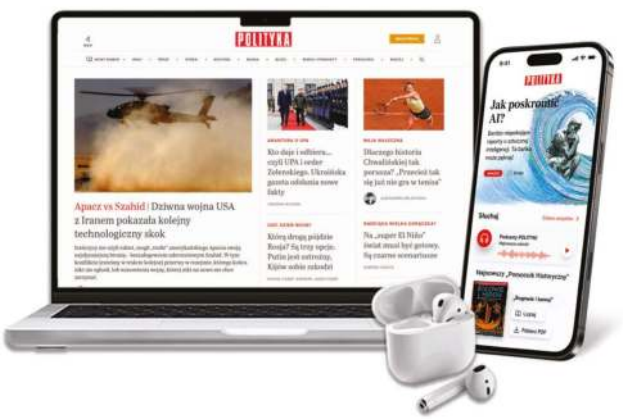
ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

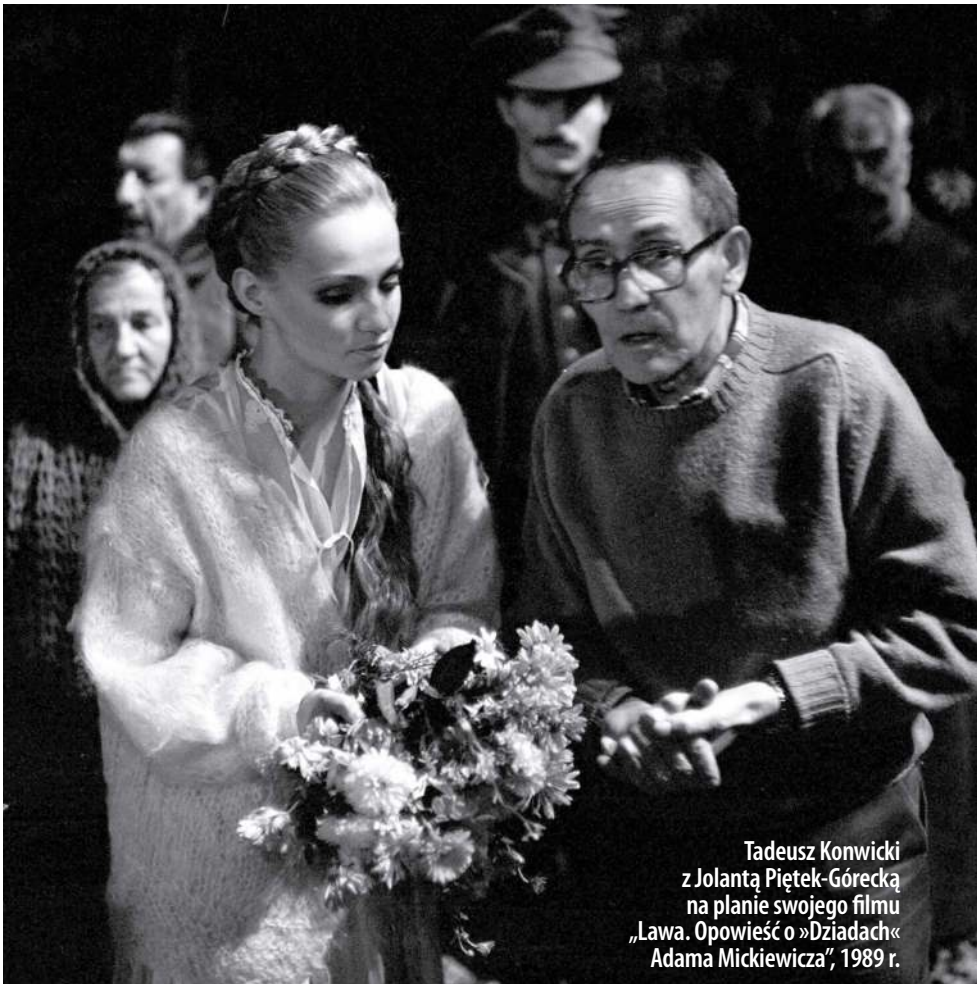
polityka.pl/powitalna

eprasa.pl/332c627450

Ostatni film

Maria Konwicka wspominała, że ostatnie słowa wypowiedziane przez jej ojca przed śmiercią brzmiały: „Trzeba zmienić producenta!”. Nie zdziwiło mnie to; dla Tadeusza Konwickiego kino było niemniej ważne od twórczości literackiej.

TADEUSZ LUBELSKI



Tadeusz Konwicki z Jolantą Piętek-Górecką na planie swojego filmu „Lawa. Opowieść o »Dziadach« Adama Mickiewicza”, 1989 r.

Mam rację Justyna Sobolewska: proza Konwickiego „czyta na dzisiaj brzmi ożywczo, a jej apokaliptyczność koresponduje z naszymi lękami” (POLITYKA 24). Trzeba jednak przypominać, że tego autora warto nie tylko czytać, ale też oglądać. Dwutworzywowość Tadeusza Konwickiego to fenomen w skali światowej: przez ponad 30 lat między 1958 a 1989 r. kreował na przemian powieści i filmy, uzupełniające się i wzajemnie dopełniające.

Festiwal Konwickiego

Należał do pokolenia, które zakochało się w kinie w okresie jego szczytowej popularności, w drugiej połowie lat 30. Słabo znosił więc filmowy styl paradokumentalny. „Nie, no... do kina się chodziło na te dwie godziny magicznej przygody” – wspominał w pierwszym z kilku wywiadów, jakie miałem szczęście z nim przeprowadzić (mówił z wileńską intonacją gotowymi akapitami ze swojej rytmicznej prozy). „Ja wychodziłem przed wojną z kina oszołomiony, wstrząśnięty, zdruzgotany, wracałem z innego świata i z innego wymiaru”. Toteż kiedy sam zaczął robić filmy, zależało mu na podobnym wpływie na widza: jednego, pojedynczego, na wywołaniu w nim „jakichś procesów fizycznych”.

Warto sprawdzić na sobie, jak to wciąż działa; jego filmy są dostępne w wersji odnowionej cyfrowo. Skoro jednak niedawno Sejm specjalną uchwałą oddał hołd Konwickiemu z okazji stulecia jego urodzin, pozwalam sobie pomarzyć o czymś więcej: o dużym, monograficznym przeglądzie dzieł Konwickiego na ekranach telewizorów, na podobieństwo festiwalu filmów Wajdy, jaki trwa jeszcze w TVP Kultura; byli przecież rówieśnikami, z racji nie tylko kalendarza, ale i rangi artystycznej. No i jeden piękny film zrealizowali wspólnie.

Próbuję sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać taki przegląd. Wychodzi mi 20 wieczorów – wymarzona liczba, co tydzień, od lipca do połowy listopada. Najpierw sześć filmów kinowych, które sam wyreżyserował. Także pod tym względem był fenomenem: wszystkie się udały, każdy utrwalił się w historii kina. Zacząłbym nietypowo: nie od pierwszego, tylko od najbardziej niezwykłego. Mam takie dwa ukochane filmy, które staram się oglądać regularnie, nierzadziej niż raz w roku; zawsze znajduję w nich coś nowego. Pierwszy to „Osiem i pół” (1963 r.) Federica Felliniego, drugi to Konwickiego „Jak daleko stąd, jak blisko” (1971 r.).

Dwa filmy o powstawaniu filmu. Ten pierwszy – o zbliżaniu się do filmu kinowego; ostatnia sekwencja to początek jego realizacji, ale całość to ten film, który oglądamy właśnie na ekranie. Konwicki przedkłada nam przypadek ambitniejszy: film, który autor-bohater przygotowuje dla siebie na moment swojej śmierci. Przez jedną krótką chwilę przesuwają się przed oczami człowieka obrazy z jego życia: od najstarszego, jaki zapamiętaliśmy, do... No właśnie, o to warto zadbać, byłoby szkoda zostawiać ten finałowy obraz na pastwę przypadku, przecież z nim pod powiekami mamy już pozostać. Tadeusz Konwicki proponuje olśniewający przepływ obrazów, wykreowanych operatorsko przez Mieczysława Jahodę, podkręconych muzycznie przez Zygmunta Koniecznego, z kreacją Mai Komorowskiej jako powstańczej łączniczki, której teraz dopiero wyznaje miłość.

© INPLUS/EAST NEWS (2), POLFILM/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 332c627450







Powyżej, od lewej: **Maja Komorowska i Andrzej Łapicki w „Jak daleko stąd, jak blisko", 1971 r.**

Irena Laskowska i Jan Machulski w „Ostatnim dniu lata", 1958 r.

Obok: **Gustaw Holoubek i Zbigniew Cybulski na planie filmu „Salto", 1965 r.**

Potem pokazałbym „Ostatni dzień lata" (1958 r.), Nowa Fala *avant la lettre*, na rok przed „Hiroszimą, moją miłością". Dwoje jeszcze młodych, ale już wypalonych ludzi spotyka się na pustej nadbałtyckiej plaży, a właściwie gdzieś we wszechświecie. Każde z nich chce ocalić siebie przez nawiązanie definitywnego związku – w fikcyjnym świecie na próżno, ale w świadomości widzów z powodzeniem, bo dostarczają nam nadziei. Ponieważ film trwa niewiele ponad godzinę, warto go uzupełnić o piękną półgodzinną „Maturę". Kolejny seans to „Zaduszki" (1961 r.) – inny wariant kina nowofalowego, utwór psychologiczny z długimi retrospekcjami; opowiedziane w nich trzy romanse Konwicki wybrał ze swoich wcześniejszych powieści, ocalając z każdej po wątku.

Tu następuje drugi punkt kulminacyjny: „Salto" (1965 r.). Warto po latach obejrzeć ten film na nowo. Choćby po to, by zauważyć, że wielka sekwencja rocznicy rozgrywa się w starej opustoszałej synagodze, a Zbyszek Cybulski jako Kowalski-Malinowski, w ciągłej wymianie z innymi mieszkańcami miasteczka, ucieleśnia cały konglomerat polskich losów, więc także los polskich Żydów. Kiedy Cybulski zamieszkuje w pokoiku, w którym (jakoby) kiedyś się ukrywał, gdy mówi, że nadal czuje się ścigany, kiedy próbuje odkopać to „coś, co ma schowane w ogrodzie" (a kopią tu wszyscy), kiedy pyta Martę Lipińską, „gdzie oni leżą?", a ona tłumaczy, że nie wie, bo urodziła się w leśnym bunkrze, gdy Maklakiewicz zarzeka się: „ja mam czyste ręce" – wszystkie te motywy składają się na całość usuwaną ze zbiorowej świadomości, obraz wielkiego wyparcia. Przewidująco mówił Tadeusz Konwicki w rozmowie ze Stanisławem Beresiem: „Przez sekundę będę bezczelny i powiem panu, że przypuszczam, iż »Salto« wyjdzie jeszcze kiedyś bardziej na wierzch. Gdy ta ogromna maska przekłamań politycznych i koniunkturalnych opadnie, bo one żywią się naszą moralną biedą, wtedy summa Zbyszka w »Salcie« będzie mogła znaczyć całą gamę swoich sensów".

Swojskie klasyki

Wreszcie mamy dwie adaptacje klasyków, w obu wypadkach – swojskich, wileńskich, co tłumaczyło uchylenie ustalonego ze sobą wcześniej zakazu reżyserowania adaptacji. Uchylił go, kiedy się zorientował, że teraz już może realizować te adaptacje w pierwszej osobie, we własnym imieniu. Decyzja o sfilmowaniu „Doliny Issy" (1982 r.), podjęta bezpośrednio po przyznaniu Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla, wynikła z niepowtarzalnego nakazu chwili. Po latach tak ją Konwicki tłumaczył: środowisko literackie zawiniło wobec Miłosza – niegdyś, po „wybraniu przezeń wolności", serią „potępiających utworów", wszystkich owych „Poematów dla zdrajcy" i „Nim będzie zapomniany", a potem nie dość zrobiło dla upowszechnienia w kraju znajomości jego poezji. Teraz więc polski pisarz powinien wykonać „małą ekspiację", aby oczyścić pole przed przybyciem poety do kraju w noblowskiej glorii. Taki też to był film – ekspiacyjny, a zarazem osobisty.

Natomiast punktem wyjścia filmu „Lawa. Opowieść o »Dziadach« Adama Mickiewicza" (1989 r.) była lektura prywatna. Tak odtwarzał ją Konwicki we wspomnieniu: „Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych zaczęły mi się przypominać »Dziady« Mickiewicza. Ale nie jako podniosłe dzieło patriotyczne korespondujące ze stanem wojennym. Wracały skądś z daleka, może spod Nowej Wilejki, jako wiersze współczesne, poezja mego rówieśnika".

Rezultat okazał się nadzwyczajny. Z niejednorodnego pierwowzoru, złożonego, jak wiadomo, z czterech części powstałych w różnych okolicznościach i uznawanego za „dramat do czytania", Konwicki wykreował jednolitą opowieść, toczącą się w ciągu jednej nocy święta zmarłych, rozpoczętą współcześnie na warszawskich Powązkach. „Lawa" przedstawiała duchową wycieczkę starego Mickiewicza, który – nie mogąc zasnąć w Paryżu – wyruszał w wyobraźni na Litwę. Całkiem jak sam Konwicki, który – kiedy ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ w stanie wojennym chciał sobie zrobić przyjemność – wyruszał w dobrze sobie znaną „drogę z Wilna, przez ulicę Subocz, przez Markucie, do Kolonii Wileńskiej". A że starego poetę kreował Gustaw Holoubek, trudno było nie wykorzystać jego obecności do wygłoszenia, w jednym ujęciu bez przerwy, Wielkiej Improwizacji. Dzięki temu ta recytacja idealna najpiękniejszego prawdopodobnie tekstu napisanego po polsku została na zawsze utrwalona.

Literacki łącznik

Konwicki rozpoczynał pracę w kinematografii jako scenarzysta, kolejne pięć wieczorów przeglądu wypada więc poświęcić na filmy innych reżyserów, zrealizowane według jego scenariuszy. Warto zacząć od scenariusza oryginalnego: „Zimowy zmierzch" napisał w 1955 r. dla Stanisława Lenartowicza, na podstawie jego pomysłu. Obaj wychowali się na Wileńszczyźnie i nadawali na tych samych falach. Dla Konwickiego, który był świeżo po napisaniu ważnej dla siebie powieści „Z oblężonego miasta" (wydanej dopiero w 1956 r.), ten scenariusz był etapem dochodzenia do własnej poetyki i wyzwalania się z socrealizmu. Socrealizm stawiał na „nowe" i „młodych", zatem „Zimowy zmierzch" zajmował się ostentacyjnie „starym" i „starymi", umieszczając w narracyjnym centrum postać starego kolejarza. W kinie socrealistycznym dominowały dialogi, więc bohater „Zimowego zmierzchu" prowokacyjnie milczał. Kiedy film miał premierę w lutym 1957 r., robiło to piorunujące wrażenie; i ten staroświecki wdzięk filmu nie opuścił.

Film trwa niecałe 80 minut, warto by więc poprzedzić go wstępem, przypominającym decydujący udział Konwickiego w tworzeniu Polskiej Szkoły Filmowej. Pisarz od początku związany był z Zespołem „Kadr", w którym powstała większość filmów nurtu, choć nominalnie pełnił funkcję kierownika literackiego od lipca 1956 do 1968 r. Był guru środowiska filmowego; jako człowiek świetnie osadzony w zbiorowości literatów mógł realizować swoją *idée fixe* opierania filmów na nowo powstającej ambitnej prozie. To on zachęcił Jerzego Stefana Stawińskiego do zapisania swoich powstańczych przeżyć w noweli „Kanał", a potem przekazał jego utwór Andrzejowi Wajdzie. To on poznał szukającego materiału do debiutu Kazimierza Kutza z Józefem Henem, czując, że łączy ich podobne poczucie humoru i środowiskowa osobność, co doprowadziło ich do wspólnej pracy nad „Krzyżem Walecznych" i „Nikt nie woła". Tom „Pamiętam, że było gorąco" mnoży podobne przykłady.

W takim razie kolejne cztery wieczory trzeba by poświęcić adaptacjom rodzimej prozy, dokonanym przez Konwickiego. Trzy z nich pisarz stworzył dla kierującego „Kadrem" Jerzego Kawalerowicza, z którym mieli „jedną wizyjność filmów". Były to: „Matka Joanna od Aniołów" (1960 r.) według Jarosława Iwaszkiewicza, „Faraon" (1965 r.) według Bolesława Prusa i „Austeria" (1982 r.) według Juliana Stryjkowskiego. Po nich „Jowita" (1967 r.) według „Disneylandu" Stanisława Dygata, dla Janusza Morgensterna.

Niecodzienny aktor

Kolejny punkt kulminacyjny przeglądu to „Kronika wypadków miłosnych" (1985 r.) Andrzeja Wajdy. Reżyser nie zdecydował się na realizację od dawna gotowego scenariusza, który Konwicki napisał jeszcze w połowie lat 70., zaraz po wydaniu książki, z myślą o Morgensternie. Wajdzie zależało na innym rozłożeniu akcentów, na wizerunku pułku ułanów jako obrazu chwały dawnej Rzeczpospolitej, przygotował więc swój skrypt sam. Zrealizował za to inny szczęśliwy pomysł: sam Konwicki zagrał Nieznajomego, tajemniczą postać pisarza, krążącego jak duch po krainie swojego dzieciństwa (jak wkrótce Poeta w „Lawie"). Dzięki temu pomysłowi film zyskał wartość naddaną: zapamiętuje się go jako swoisty dokumentalny portret Tadeusza Konwickiego.

Po latach ponownie przekonał go do występu aktorskiego pisarz Andrzej Bart, realizując film telewizyjny „Bezdech" (2013 r.). Tym razem Konwicki kreuje już nie ducha, ale siebie – z krwi i kości, przemierzającego codzienną drogę do swego mieszkania przy ul. Górskiego. Bogusław Linda zaś gra fikcyjną postać polskiego reżysera, który – osiągnąwszy sukces w świecie – przyjeżdża do Warszawy i spotykając Konwickiego na ulicy, wzruszony całuje go w rękę. To było półtora roku przed jego śmiercią.

Jako uzupełnienie przydałyby się jeszcze filmy według pierwowzorów Konwickiego. Niechętnie udzielał zgody na filmowanie swoich powieści. Zrobił wyjątek dla Wajdy i dla Francuza Costy-Gavrasa, ale „Mała apokalipsa", nakręcona przez tego ostatniego w 1992 r., kompletnie się nie udała. Wybrałbym więc trzy spektakle telewizyjne: „Zwierzoczłekoupiór" (1995 r.) w reżyserii Mikołaja Grabowskiego, z Krystianem Lupą w epizodzie Reżysera, „Kompleks polski" (także 1995 r.) Jerzego Markuszewskiego i najlepsze z nich „Wniebowstąpienie" (2002 r.) Macieja Englerta.

Obecność Konwickiego rejestrowali również dokumentaliści. Prekursorem był Andrzej Titkow, który w orwellowskim 1984 r. stworzył jego niecenzuralny portret w półgodzinnym dokumencie „Przechodzień". Skłonił pisarza do szczerych wyznań, montując je z groteskowymi obrazami codzienności kraju po stanie wojennym, poczynając od sceny montowania papierowego orła na fasadzie Pałacu Kultury. Na pierwsze pytanie: „Czy Pan wierzy w człowieka?" Konwicki odmówił odpowiedzi jako na zbyt patetyczne. „Proszę mi zadać – odrzekł – normalne, europejskie pytanie".

Film mógł zostać udostępniony publiczności dopiero w 1989 r., po czym w 2002 r. Titkow uzupełnił go o 50-minutowy dokument „Całkiem spora Apokalipsa". Te dwa tytuły złożyłyby się na jeden wieczór.

Drugi składałby się z dokumentów, w których Konwicki umieszczony został na dalszym planie. „Tam, gdzie ludzie się nie umawiali" (2007 r.) Dżamili Ankiewicz to opowieść o bujnym życiu towarzyskim PRL, z obrazami stołecznych miejsc legendarnych – Kameralnej i stolika w Czytelniku. W tym samym roku Jan Holoubek, pragnąc stworzyć portret swego ojca, sfilmował spacer po lesie dwóch starych mężczyzn; z nich obu Konwicki – przecież urodzony gawędziarz – elegancko ustąpił pola przyjacielowi, wiedząc, że to film dla niego. Jest wreszcie godzinny dokument „Co ja tu robię. Tadeusz Konwicki" (2009 r.), którego reżyser Janusz Anderman, wespół z Adamem Michnikiem jako rozmówcą, skłonili tytułowego bohatera do poruszającego wyznania, że czuje się odpowiedzialny za PRL.

Podliczam: wyszło 19 wieczorów. Zostaje miejsce na 20., końcowy. Proponuję bonus: raz jeszcze „Jak daleko stąd, jak blisko". Każde z nas może znaleźć ulubioną scenę, żeby lepiej przygotować dla siebie własny, wyobrażony, ostatni film życia. Podpowiadam osobisty wariant sceny finałowej, kiedy Holoubek mówi do Łapickiego: – Witaj, drogi. Czekam tu na ciebie od dawna.

TADEUSZ LUBELSKI

eprasa.pl 332c627450



Dawid Podsiadło na przedostatnim koncercie trasy na PGE Narodowym w Warszawie

Sztuka machania

Po kolejnej trasie stadionowej Dawida Podsiadły wiemy, że widownia stale ocenia, jak na scenie skacze jej ulubiony wykonawca. A tym razem musiał nie tylko skakać, ale też rozładować pierwszy wizerunkowy kryzys.

BARTEK CHACIŃSKI

Losy współczesnej polskiej rozrywki rozstrzygnęły się w ciągu kilku czerwcowych dni 2012 r. Choć wtedy te dwa fakty wydawały się ze sobą niepowiązane. 2 czerwca 19-letni Dawid Podsiadło wygrał telewizyjny talent show „X Factor", a sześć dni później otwarto piłkarskie Euro 2012. W ciągu tygodnia poznaliśmy więc cztery nowe stadiony zbudowane przed polsko-ukraińską edycją turnieju oraz gwiazdę, która – jak się okazało – miała świętować na nich sukcesy częściej niż polska reprezentacja piłkarska.

„W kraju nad Wisłą każdy mówi mi na ty, a moje nazwisko to czytany głośno szyld" – śpiewał Podsiadło na trzeciej, bestsellerowej płycie „Małomiasteczkowy" (nagrodzonej wtedy m.in. Paszportem POLITYKI). Ale i tak ten pierwszy stadion wydawał się gestem brawurowym. We wrześniu 2019 r., właściwie z miesiąca na miesiąc, artysta przeniósł się z lokalnych ośrodków kultury na PGE Narodowy, wcześniej zastrzeżony tylko dla największych zagranicznych gwiazd. Wystąpili we wspólnym koncercie z Taco Hemingwayem, chyba dla rozłożenia ryzyka. Po to, by razem wykonać „W piątki leżę w wannie", ale też przetestować formułę, która miała namieszać w branży: dać show w dużej skali, wykorzystujący energię całego pokolenia krajowych gwiazd, które da się zaprosić na gościnne występy (wtedy m.in. Krzysztof Zalewski, Quebonafide czy Bedoes). I wprawdzie Narodowy brzmiał trochę jak ta wanna albo raczej studnia, to przyszło 60 tys. osób. A ich wrażenia musiały być na tyle dobre, że na kolejne trasy widownia wracała coraz tłumniej. Dotąd sam Dawid Podsiadło zagrał 18 stadionowych koncertów, a łącznie tych stadionów polscy artyści, którym przetarł szlak, sprzedali – z przerwą na pandemię – ponad 30.

Nawet na tym tle ostatnia trasa Podsiadły zapowiadała się imponująco: udoskonalona formuła 360 st., czyli jeszcze większa scenografia, scena na środku płyty stadionu z dobrą widocznością dla wszystkich, specjalni goście w każdym mieście (m.in. Artur Rojek w Chorzowie, Sokół w Gdańsku, Pezet i Kaśka Sochacka w Warszawie), nowe piosenki i aranżacje na powiększony skład muzyków, ▶

© DOMINIKA SCHEIBINGER

eprasa.pl 332c627450

▶ świetna promocja, szybko sprzedające się bilety, łącznie niemal pół miliona widzów. Ale po raz pierwszy coś zazgrzytało.

Skacze moje 250 zł

Początek przypominał wcześniejszą burzę wokół słów Olgi Tokarczuk o sztucznej inteligencji. Podsiadło wypuścił klip do nowego utworu „Na błysk", w którym nawiązania do filmu „Zakochany bez pamięci" udało się wpleść dzięki efektom specjalnym generowanym przez AI. Reakcją były komentarze poirytowanych słuchaczy: „Tylko nie AI slop!", „Teledysk A.I. to niestety absolutna żenada, Dawidzie". O tyle zdumiewające, że jednym z najważniejszych źródeł sukcesu artysty – poza rzecz jasna umiejętnościami wokalnymi i repertuarem – wydawał się dotąd świetny, bezpośredni kontakt z fanami, modelowo prowadzony w social mediach.

Na ten wizerunkowy kryzys Podsiadło zareagował po kilku dniach, tłumacząc, że klip był efektem pracy całego zespołu ludzi, a bazą dla AI były jednak tradycyjnie kręcone zdjęcia z żywymi aktorami. Gest wydawał się niewinny, ale ostrzeżenie ze strony młodej publiczności artysty było wyraźne. Rozpoczęty w Chorzowie 6 czerwca Obrotowy Tour miał więc trudny start. I choć wprowadzał kolejne widowiskowe rozwiązania, np. rozdawane widowni świecące różnymi kolorami opaski LED, wcześniej obecne na koncertach światowych gwiazd jak Coldplay czy Taylor Swift, pierwszy raz tak często widać i słychać było głosy krytyczne.

„Na każdym poprzednim koncercie było widać na jego twarzy zadowolenie z tego, co robi. A tutaj jakiś taki nieobecny" – pisali fani. „Co mu się stało?" – pytali. Typowali, że zmęczony. Że pewnie imprezował trzy dni. Że może zatruł się pizzą. Albo jest tu za karę. „Było widać smutek w jego oczach, mimo że bawiłam się świetnie" – donosiła jedna z fanek. Częściej wyrzucano, że nagłośnienie na stadionie dalekie jest od ideału, ktoś zauważał, że to już nie nowa jakość, bo tę mamy na koncertach Podsiadły od kilku lat.

Krytyka przeniosła się na gości. U Sokoła na stadionie w Gdańsku najpierw słuchacze, a potem media zauważyły czytanie zwrotki wspólnego „Świadomego snu" z promptera. Sporo w tym było okrucieństwa (w stylu „Dawid, mi nie podsiadło"), trochę taniej prowokacji.

Jednocześnie fanki (zwane podsiadarami) bronią Dawida (zwanego Dawciem): że ciągle szalony, że zabawny, że hotówa (przystojny), a przede wszystkim – że to tylko człowiek i przecież ciągle potrafi się bawić, skacząc po scenie przez grubo ponad dwie godziny. „Moje 300 zł tańczące na scenie" – piszą w rolkach te, które kupiły droższe bilety. „Moje 250 zł skaczące na scenie" – odpowiadają te z nieco niższej biletowej kategorii. „Moje 200 zł zaraz spłonie na scenie" – żartują, kiedy Podsiadło podchodzi do ognistych efektów specjalnych w utworze „Diable", na scenie wykorzystującym tyle ognia, że wykonawcy potrzebują specjalnej choreografii, by nie znaleźć się w niebezpieczeństwie. „Nie no, bioderko zostało solidnie zarzucone. Brawo Dawcia" – chwalą ruchy miednicą bohatera koncertu jak u Presleya.



© PAWEŁ CEGIELSKI

Kaśka Sochacka – gość specjalny (obok Pezeta) na warszawskim koncercie Podsiadły

W tych uwagach nie ma zasadniczo nic niemiłego: oddana widownia – na tegorocznej trasie już nieco starsza, a nawet całkiem wielopokoleniowa – zainteresowana jest po prostu usługą na poziomie, do którego przywykła. A przy tym rejestruje przebieg usługi na bieżąco w rolkach i komentuje w social mediach, bo trasa Podsiadły to rozciągnięte na cały miesiąc wydarzenie społeczne.

Tylko hajs?

Po drugiej stronie jest za to 33-letni artysta po przejściach. Serwisy plotkarskie wyliczają mu miliony zarobione na scenie, ale nie wydaje się do niej przywiązany. Raz już zrobił sobie półtoraroczny urlop od występów, teraz trasy planuje raz do roku, w mediach pokazuje się rzadko, studiuje reżyserię w praskiej szkole filmowej i ma ambicje wykraczające poza muzykę.

Poza świetnym głosem wykazuje talent do kreowania wizerunku w niełatwych od razu kontaktach z zetkami, które prowadzi online i na koncertach, wychodząc poza standardowe „zróbcie hałas" i „wszystkie ręce w górę". W Poznaniu odnosi się więc do zarzutów z Chorzowa: „Po pierwsze, nie wiem, kiedy imprezowałem jeden dzień ostatnio. Chyba że macie na myśli, że gram w gry cały czas" – zwraca się do publiczności. „I naprawdę – chyba po prostu tak wyglądam, przepraszam was". Na krytykę występu w Poznaniu reaguje prosto: „Przepraszam, że was rozczarowuję i zawodzę" – mówi w Gdańsku. „Dziękuję, że mimo wszystko przychodzicie. Spotykamy się. Mam nadzieję, że łączy nas o wiele więcej miłych rzeczy niż przykrych".

Po odebraniu Paszportu zapowiadał w POLITYCE, że chce się zaprezentować jako aktor komediowy. „Jestem ogromnym fanem »Za chwilę dalszy ciąg programu« czy »K.O.C.«" – mówił. „Bardzo lubię Klub Komediowy i polecam wszystkim to miejsce, uwielbiam improwizację". Sam wystąpił w polskiej wersji komediowego serialu „The Office", wyróżnił się też 10 lat temu w roaście Kuby Wojewódzkiego – naturalnością pozbawioną wulgaryzmów i ostrych stand-uperskich chwytów.

Dziś to jego konferansjerka jest sposobem, w jaki te plany realizuje. Gra zwykle lekko nieporadnego chłopaka, któremu zdarzyła się jakaś szansa. Regularnie próbuje krótkich monologów na występach. W Warszawie zaprasza, żeby śpiewać „może nawet trochę za głośno" i zarządza *hydration breaks*, jak na meczach mundialu. „Dobry start, Warszawa" – komentuje ze sceny pierwsze zarejestrowane małżeństwo jednopłciowe. „Tutaj pan mówi: jesteśmy mężem i mężem. Cieszę się, wspieram bardzo pary jednopłciowe.

eprasa.pl 332c627450

I mamy nagłówki!" – uśmiecha się ze świadomością, że każda mocniejsza wypowiedź w sprawie elektryzuje media.

W Poznaniu brzmi za to gorzko. Dlaczego? Po każdym koncercie była zbiórka świecących opasek, w Chorzowie zwrócono ok. 97 proc., ale i tak pojawiły się doniesienia o aukcjach, na których ktoś wystawił bezużyteczny poza koncertem gadżet za kilkaset złotych. Podsiadło z dobrze graną nieporadnością wygłosił więc pogadankę o tym, że chodzi w tym tylko o pieniądze. „Ludzie w komentarzach, które czytałem, mają rację. Chodzi mi tylko o hajs, zawsze tylko o to mi chodziło" – wyznaje. „Uratował moją karierę Kuba Wojewódzki, istnieję tylko dzięki niemu. Przyjął mnie do swojego serca jako król TVN-u. A ja zawsze chciałem tylko więcej pieniędzy. Ciągle mam za mało. Dlatego proszę was, błagam – oddajcie nam opaski po koncercie". Odpowiadają mu salwy śmiechu, choć najwyraźniej znaleźli się tacy, którzy wzięli te słowa na serio, bo ostatecznie w Poznaniu udaje się zebrać tylko 86 proc. opasek.

Sytuacja machanna

O ile jednak zwroty malały, o tyle odbiór się ocieplał, a opowieść o AI zastąpiła „sytuacja machanna". Czyli refren kontaktów z publicznością na tegorocznej trasie. Machanie do pojedynczych osób na stadionie – obiekcie, który oddala artystę od publiczności (Roger Waters napisał o tym teksty na płytę „The Wall" Pink Floyd). I którego wpływ na branżę muzyczną bywa na świecie krytykowany jako drenaż rynku mniejszych występów w klubach.

„Patrzę na dwa tysiące osób przed sobą i macha do mnie jedna osoba. I wtedy myślę sobie, że zrobię precyzyjne machanie do tej osoby, która machała. I robię to, a wtedy tysiąc osób macha z powrotem" – objaśniał bohater trasy. „Wszystkie następne machania, które są w konsekwencji mojego machania – jesteście tak jakby trochę na gapę odmachani, nie?". I dodawał: „Bo potem taki człowiek mówi: miałem sytuację machanną, z Dawidem połączyło nas machanie. A chciałbym, żebyśmy byli uczciwi w pamiętniku".

Dla uczciwości warto odnotować, że Dawid Podsiadło ciągle jest w sytuacji na polskim rynku unikatowej. Od kilkunastu lat utrzymuje status najlepiej sprzedającego się artysty muzyki środka. Stał się też silnikiem, który pomógł podźwignąć po pandemii krajową branżę muzyczną. Gra trasy w polskich realiach „historyczne", jak chwali współpracująca z nim firma East Eventz. Tysiące metrów kwadratowych ekranów diodowych, tony konfetti i specjalne środki bezpieczeństwa uruchomione na czas czerwcowych upałów, włącznie z rozdaniem 50 tys. butelek wody (komentujący, tym razem z entuzjazmem: „tak powinno być zawsze"). Teraz jeszcze tym trasom towarzyszy – wymiennie – własny jeżdżący po kraju festiwal Zorza, dla którego sam jest centrum i główną gwiazdą. To Podsiadło – obok Męskiego Grania (które też pomógł wypromować) – nauczył polski show-biznes szukania nowej widowni poprzez synergię kojarzonych ze sobą gwiazd. W ubiegłym roku Zorzę zapowiadał jego duet z Kaśką Sochacką, osią przyszłorocznego festiwalu ma być duet z Soblem, wokalistą i raperem, którego nie łączy z nim zbyt wiele, ale niewątpliwą zaletą tej współpracy jest nowa publiczność – jeszcze młodsza niż ta, która towarzyszy Podsiadle.

Profesjonalizm zespołu kształtującego wraz z Podsiadłą jego karierę stał się ostatnio inspiracją dla tekstu Bartosza Nowickiego, który na łamach „Dwutygodnika" zarzucił młodej polskiej scenie jazzowej przyjęcie postawy prorynkowej, „podsiadłoizację". „Nie mogę się (...) oprzeć wrażeniu, że zachwyt nad profesjonalizacją przysłonił nam artystyczną wartość muzyki" – definiował to pojęcie. Rzucone pewnie na wyrost, biorąc pod uwagę olbrzymią różnicę zasięgów jazzmanów i stadionowego show Podsiadły. Ale dotykające istoty problemu z show-biznesem, w którym zawsze w końcu element biznesowy – choćby najrozsądniej prowadzony – zaczyna ciążyć.

Na przedostatnim koncercie trasy w Warszawie główny bohater zdawał się po swojemu otwarty i pozytywny, jednak zmęczony. Może to tylko upały na poziomie niemal 40-stopni, ale nie wydawało się, by mogły to zniwelować dwa tygodnie wakacji. Na scenie ironię zastąpił więc lekki sarkazm: „Bardzo fajna płyta, fajne piosenki będą, oczywiście nic rewolucyjnego" – zapowiadał Podsiadło tegoroczną nową płytę. „Po prostu więcej tego, co już znacie". Mówił to być może jedyny artysta w Polsce, który muzycznie w tym momencie kariery mógłby zrobić wszystko.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA



Wystawa czynna od 30 maja do 6 września 2026
ul. Mikołaja Kopernika 1, 26-600 Radom
www.mcswelektrownia.pl

Artystki: Anna Czarnota, Martyna Czech, Iwona Demko, Olga Dmowska, Monika Falkus, Laura Gutowska, Dorota Hadrian, Ida Karkoszka, Katarzyna Kukuła, Agata Kus, Angelika Markul, Jadwiga Maziarska, Marta Nadolle, Teresa Pągowska, Maria Pinińska-Bereś, Paulina Poczęta, Zuzanna Romańska, Jadwiga Sawicka, Julia Szymczykowska, Alex Urban

Kurator: Paweł Witkowski

PATRON HONOROWY:
Marszałek Województwa Mazowieckiego
Mazowsze. serce Polski
SZUM
Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej ELEKTROWNIA
artinfo.pl
POLITYKA

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" w Radomiu jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego.

eprasa.pl 332c627450

Budowa relacji

Zbudować mniej – to niewidoczna, ale może największa oszczędność, i to na lata – mówią Karolina Tunajek i Marcin Garbacki, laureaci Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI za nową siedzibę Wydziału Psychologii UW.





Reprezentacja zespołu pracowni Projekt Praga, od lewej: **Alina Rybacka, Zuzanna Sprogis, Damian Kasperowicz, Kinga Rzeplińska, Jacek Wochowski, Michał Sztolcman, Zofia Stachura, Patrycja Arasim, Karolina Tunajek, Joanna Ryżko, Katarzyna Krokos, Marcin Garbacki oraz Kamil Imbir, dziekan Wydziału Psychologii**

PIOTR SARZYŃSKI: **– Zacznijmy od nazwy waszego studia: Projekt Praga. Czyżby wzięła się z sentymentu do prawobrzeżnej części Warszawy?**

KAROLINA TUNAJEK: – Można tak powiedzieć, choć może bardziej niż sentyment to długofalowa obecność Pragi w życiu każdego z nas. A właściwie dwóch całkiem różnych Prag, bo Marcin wychowywał się na Saskiej Kępie, a ja na Grochowie. A po latach, w życiu zawodowym, wróciliśmy na Pragę, tym razem na Kamionek. Najpierw Marcin, we wczesnych latach dwutysięcznych, z pomysłem adaptacji i animacji niedziałających już Polskich Zakładów Optycznych przy Grochowskiej. I to właśnie na potrzeby tego przedsięwzięcia powstała nazwa Projekt Praga, która została z nami na dobre. A potem, kiedy już rozpoczęliśmy własną działalność, jednym z pierwszych zleceń były rewitalizacje na terenie dawnej Warszawskiej Fabryki Motocykli, gdzie produkowano skutery Osa. To były ciekawe lata, w których opuszczone poprzemysłowe przestrzenie gościły nową falę użytkowników, nowe formuły funkcjonowania i wszyscy zachwycaliśmy się ich atmosferą i potencjałem dla dzielnicy. Sporej części z nich dziś już nie ma, ustąpiły miejsca kwartałom nowej zabudowy.

Wespół pracujecie od 16 lat. Macie jakiś ukształtowany podział między sobą tzw. miękkich kompetencji i zadań?

MARCIN GARBACKI: – Nie mamy sztywnego podziału kompetencji, często się wymieniamy, konsultujemy wzajemnie, szczególnie w zakresie projektowania. Zdarzają się obszary, gdzie bardziej się dzielimy, ale zawsze ma to aspekt zespołowy. Architektura to dziedzina bardzo zespołowa.

Lubicie się bawić detalami. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ważna jest dla was pewna elegancja efektu końcowego. Czy owa skłonność wzięła się właśnie z wcześniejszej pracy z zakresu architektury wnętrz?

MG: – Zależy nam na spójności, trwałości i na tym, żeby budynki dobrze się starzały. Interesują nas też różne skale projektu – relacje budynku z otoczeniem, układ funkcjonalny, materiały, detale, meble. Kiedy udaje się to wszystko połączyć w spójną całość, pojawia się pewne poczucie harmonii, które być może odbierane jest właśnie jako elegancja. Lubimy się też trochę zamęczać detalami w trakcie projektowania. Najbardziej jednak ciekawi nas to, jak ludzie czują się w tych przestrzeniach i jak z nich korzystają na co dzień, czy sprzyjają one spotkaniom oraz budowaniu relacji. Dlatego dużo uwagi poświęcamy materiałom, światłu, akustyce, proporcjom czy detalom, które budują codzienne doświadczenie. To są często rzeczy, których nie zauważa się świadomie, ale które mają wpływ na to, jak się w danym miejscu czujemy.

W przypadku Wydziału Psychologii mieliśmy też wyjątkową szansę, bo mogliśmy zaprojektować nie tylko sam budynek, ale również wnętrza, meble i wiele elementów wyposażenia. Staraliśmy się wykorzystać ten czas projektowy jak najlepiej i dopracować jak najwięcej rzeczy.

Do dużych projektów prowadziła was droga przez konkursy. Ile ich było, zanim zdobyliście pierwszą realizację?

MG: – Konkursy towarzyszą nam właściwie od początku działalności

© NATE COOK, TEODOR KLEPCZYŃSKI/POLITYKA

eprasa.pl 332c627450



Projekt Praga – warszawskie biuro architektoniczne, założone w 2010 r. przez Karolinę Tunajek i Marcina Garbackiego. Początkowo zajmowali się projektami rewitalizacyjnymi oraz wnętrzami, dziś specjalizują się w obiektach użyteczności publicznej. Tegoroczne Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI otrzymali za nową siedzibę Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

pracowni. Jednym z naszych pierwszych sukcesów był konkurs na zadaszenie dziedzińca Zamku Sułkowskich w Bielsku-Białej, który udało się również zrealizować. Później były kolejne konkursy, wyróżnienia, ale też kilka wygranych, które ostatecznie nie zostały zrealizowane, jak np. na TBS na Nowych Żernikach we Wrocławiu.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że Psychologia była naszym pierwszym naprawdę dużym konkursem, który zamienił się w wieloletni proces projektowy i realizacyjny oraz otworzył nowy rozdział działalności pracowni. Następnie wygraliśmy też konkurs na Dom Studenta nr 7 – również dla UW – i przez kolejne lata byliśmy skupieni głównie na tych dwóch projektach. Później znowu przyszły konkursy i dwa drugie miejsca – chyba najbardziej frustrujące, bo realizacja była bardzo blisko, jednak jej nie ma. Nie prowadzimy dokładnych statystyk, ale wydaje nam się, że około połowy naszych prac konkursowych kończyło się jakąś formą sukcesu – nagrodą, wyróżnieniem albo zwycięstwem.

Na ile istotne w waszym myśleniu o projektowaniu są takie wyznaczniki jak ekologia, redukcja śladu węglowego, retencja, pasywność itd.?

KT: – Gdy zaczynaliśmy działalność, zajmowaliśmy się głównie rewitalizacjami. Przywracaliśmy do życia opuszczone budynki poprzemysłowe. Wtedy nikt specjalnie nie mówił o śladzie węglowym czy gospodarce obiegu zamkniętego. Po prostu szkoda nam było burzyć coś, co dawało się wykorzystać. Przez ostatnie kilkanaście lat bardzo zmieniło się myślenie o ekologii w architekturze.

Od strony projektowej interesujące jest poszukiwanie rozwiązań proekologicznych w formie systemu, w którym swoje równie ważne zadanie obok instalacji mają rozwiązania przestrzenne, zastosowane materiały i odpowiednio ukształtowana zieleń. Ot, prosty przykład z budynku Wydziału Psychologii: ze względu na duże koszty eksploatacyjne klimatyzacja miała być zredukowana do minimum. Jednocześnie najdłuższy bok działki jest wyeksponowany na południową, nasłonecznioną stronę. W związku z tym w części budynku najbardziej narażonej na przegrzewanie umieściliśmy pomieszczenia pracy, w których na jedną osobę przypada większa kubatura powietrza niż w salach dydaktycznych. Te pomieszczenia łatwiej i taniej jest wentylować, a chłód do powietrza pochodzi z gruntowych pomp ciepła. Dodatkowo okna zostały wyposażone w rolety zewnętrzne i wewnętrzne, każde z nich można otworzyć, a na płaszczyźnie dachu poniżej znajduje się łąka – pomaga w retencji wody, zapobiega przegrzewaniu i daje użytkownikom widok na zieleń.

Rozwiązania proekologiczne mogą przyjmować też nieoczywiste formy – budynek pierwotnie miał mieć znacznie większą powierzchnię i kubaturę. Jednak po analizie potrzeb przyszłych użytkowników udało się znacznie zoptymalizować powierzchnię. Zbudować mniej, to niewidoczna, ale może największa oszczędność, i to na lata.

Wydaje się, że w swoich projektach skutecznie opieracie się pokusie tworzenia architektury z efektem „wow". Zatem co jest priorytetem? Funkcjonalność?

KT: – Tak, funkcjonalność jest fundamentem, punktem obowiązkowym, który staramy się dopracować jak najlepiej. Szczególnie w projektach publicznych, w sytuacjach, kiedy instytucje programują swoje nowe budynki i przeprowadzają się do nich. Często są to dość rewolucyjne zmiany, a naszą rolą w toku projektu jest z jednej strony wysłuchanie wszystkich potrzeb, z drugiej – ich weryfikacja i profesjonalizacja niektórych wytycznych, które byłyby trudne do wdrożenia lub niepraktyczne. A wracając do priorytetów, to poza funkcjonalnością są nimi jakość, harmonia, trwałość, światło, ale też tworzenie przestrzeni, które sprzyjają spotkaniom i budowaniu relacji między ludźmi. To szczególnie ważne w budynkach publicznych i edukacyjnych, które są czymś więcej niż tylko zbiorem pomieszczeń.

Powróćmy do nagrodzonej realizacji. Konkurs wygraliście w 2017 r. Jak się patrzy na własne pomysły z perspektywy 10 lat? Bardziej z myślą, co by się dziś zrobiło inaczej, czy raczej ze stoickim „było, minęło"?

KT: – Pewnie i z jednym, i z drugim. Każdej realizacji towarzyszą myśli „dziś zrobilibyśmy to inaczej", szczególnie że cały proces trwa latami, a paradoksalnie na zaprojektowanie niektórych elementów wcale nie ma zbyt wiele czasu. Ale ▶

eprasa.pl 332c627450



Wizualizacja nowych obiektów studia Projekt Praga: gmach Sądu Apelacyjnego w Warszawie i nowa siedziba Sejmiku Województwa Mazowieckiego

▶ traktowałabym to nie w kategoriach żalu, tylko nauki, zdobywania doświadczenia czy zmiany perspektywy. I chyba warto nie hamować tych wycieczek myślowych, tylko potraktować je jako ćwiczenie, próbować wyciągać wnioski i wdrażać przy kolejnej okazji. W projekcie budynku Wydziału Psychologii koncepcja przestrzenna pozostała właściwie niezmieniona od konkursu, a proces projektowy był skupiony na nasycaniu, wzbogacaniu i doszczegółowieniu pierwszego pomysłu.

Słyszałem, że ogromnym atutem w projektowaniu budynku była wasza współpraca z Biurem Innowacji Przestrzeni Akademickiej (BIPA). Co to za formuła działania? Na czym polegała?

MG: – Uniwersytet Warszawski miał przed sobą kilkanaście inwestycji w ramach rozpoczętego w 2015 r. „Programu wieloletniego...", dlatego wiele miesięcy przed ogłoszeniem pierwszego z serii konkursów powołał specjalny zespół (BIPA) pod kierownictwem Ewy Rudnickiej i Michała Sikorskiego. W jego skład wchodzili m.in. architekci, którzy analizowali potrzeby uczelni, badali przykłady z innych uniwersytetów i prowadzili rozmowy z przyszłymi użytkownikami. W efekcie wykonano ogromną pracę przedprojektową, określono cele uczelni, sposób funkcjonowania poszczególnych jednostek oraz oczekiwania wobec nowych przestrzeni. Następnie przygotowano bardzo szczegółowe programy funkcjonalne, które stały się podstawą konkursów architektonicznych.

Dzięki temu nie startowaliśmy w konkursie opartym na kilku stronach ogólnych wytycznych, tylko na materiale będącym wynikiem wielomiesięcznych analiz i przygotowań. To pozwoliło nam i innym uczestnikom konkursu skupić się na szukaniu najlepszych rozwiązań architektonicznych, a nie na zgadywaniu rzeczywistych potrzeb inwestora.

Co równie ważne, ten sam zespół uczestniczył później w ocenie prac konkursowych i przez kolejne lata współprowadził proces projektowy, dbając o zachowanie wypracowanych wcześniej założeń i stanowiąc profesjonalny bufor pomiędzy nami a docelowymi użytkownikami. Przyznam, że mieliśmy ogromne szczęście trafić właśnie na ten moment w historii Uniwersytetu Warszawskiego, a sukces Wydziału Psychologii nie jest dziełem przypadku. To efekt bardzo świadomie przygotowanego procesu przez UW, zrozumienia potrzeb, stworzenia warunków do przeprowadzenia dobrego konkursu i odpowiednich warunków dla projektantów do wykonania pracy projektowej na odpowiednim poziomie (harmonogram i wynagrodzenie, współpraca).

Zaglądacie na Wydział Psychologii? Obserwujecie, jak ten projekt sprawdza się w życiu?

MG: – Często tam bywamy. Widzimy, jak użytkownicy korzystają z budynku, jak go oswajają, zajmują. Obserwujemy w życiu to, co sobie wyobrażaliśmy podczas projektowania, i szczęśliwie wydaje się, że się nie pomyliliśmy. Szczególną satysfakcję daje nam obserwowanie miejsc, które od początku projektowaliśmy jako przestrzenie wspólne – schodów, atrium, biblioteki czy tarasów. Widzimy, że rzeczywiście stały się miejscami spotkań i codziennego życia wydziału.

W planach są dwa kolejne ważne obiekty. Powiedzcie coś o nich.

MG: – Właśnie wystartowała budowa dwóch budynków przy ul. Świętojerskiej w stolicy: gmachu na potrzeby Sądu Apelacyjnego w Warszawie oraz nowej siedziby Sejmiku Województwa Mazowieckiego. W najbliższych miesiącach rozpocznie się też procedura wyłonienia wykonawcy robót dla budynku administracyjno-dydaktycznego na potrzeby Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, uzupełniającego działający już kampus. To budynek niewielki, ale o bardzo bogatym programie, mieszczącym wiele pracowni związanych z projektowaniem tkanin, jubilerstwem, ceramiką, szkłem, obiektami z drewna czy obróbką metali.

Gmach Sądu Apelacyjnego w Warszawie ma znane i mocne sąsiedztwo: budynek Sądu Najwyższego projektu Marka Budzyńskiego. Czy to przy projektowaniu było dla was obciążeniem, czy wyzwaniem?

KT: – Sąsiedztwo SN było punktem odniesienia. Musieliśmy odpowiedzieć na pytanie o relację nowych budynków do ikonicznego sąsiada, znaleźć dla nich wyraz, rytmikę, które uzupełnią kwartał, nie dominując zastanej zabudowy, a jednocześnie, zaznaczając swoją obecność i swój czas, wniosą swoją tożsamość.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

© PROJEKT PRAGA

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI

ATLAS

eprasa.pl 332c627450



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Media obiegły zdjęcia Moniki Olejnik rozmawiającej z Jarkiem Jakimowiczem. Okazało się, że on powiedział „dzień dobry", a ona go nie zna. Jarka prawie nikt nie zna. To jest jego główne źródło popularności.

●

Andrzej Duda kupił sobie Porsche 911 – spekulują dziennikarze „Newsweeka" i Radia ZET. Dobra strategia. Teraz pan Andrzej będzie straszył Niemcami w trybie indywidualnym.

●

Plotek demaskuje: „Zdjęcia pokoju córek Peli, na których albo jest grzejnik, albo grzejnika nie ma". Charles Bukowski pisał: „Na czym najłatwiej jest się op...ć? Na dziennikarstwie. Dobra, zostanę dziennikarzem".

●

Książulo bezkompromisowo ocenił stołeczny lokal Flaming & Co.: „To są, k...a, jajca". Panie Książu. Niektóre lokale mają ceny i dania obliczone na jeden cel. Żeby nie jadać w towarzystwie takich jak pan.

●

Krzysztof Gojdź zdekomponowany. Media dotarły do jego majątku w Miami, który okazał się kredytem, długami, rozwodem oraz bezrobociem. U nas nawet lekarze bez specjalizacji zarabiają lepiej.

●

Legendarny naczelny „Super Expressu" Sławomir Jastrzębowski ma swój sobotni program w TV Republika pt. „Jastrząb show". Angielskie słowo „set" ma 464 różne znaczenia. Słowo show od dzisiaj też.

„Jan Englert plażuje w Sopocie. Wystawił klatę do słońca niczym David Hasselhoff w »Słonecznym patrolu«". To „Super Express". Eksperci. Dla takich „Sól ziemi czarnej" to dokument o gleboznawstwie.

●

Nową prowadzącą program „Dzień Dobry TVN" została Iza Krzan, niegdyś TVP Jacka Kurskiego i Kanał Zero. W telewizji warto mieć dwie cechy. Charakter i talent. Izie nieustająco gratuluję talentu.

●

Z okazji 57. urodzin Zenka Martyniuka media obliczyły jego emeryturę. To kwota 5 tys. zł. Czyli się zgadza. Emerytura to niewielka suma pieniędzy przenoszona z ZUS do apteki za pomocą emeryta.

●

Marcin Meller ostro wypowiedział się o Koalicji: „Jest Donald Tusk i po prostu breja". Breja. Dobra nazwa. Może Szymon Hołownia? Podobno tworzy coś nowego?



© PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

Po pięciu edycjach Polsat pożegnał się z jurorką „Tańca z gwiazdami" Ewą Kasprzyk. Co najlepiej dowodzi tezy, że w tym programie najdłużej przetrwają ci, którzy nie mają pojęcia o tańcu.

●

Syn prezydenta Daniel Nawrocki startuje na YouTube z kanałem Pasmo. A tam takie tuzy jak Samuel Pereira czy Krzysztof Feusette. Czyli szerokie grono osób, których opinia nie ma dla nikogo znaczenia.

●

Doda ujawniła, jakie kwoty powinien zarabiać jej potencjalny nowy wybranek. 40–50 tys. zł miesięcznie. Mała szansa. Takie kwoty zarabiają przeważnie ludzie inteligentni.

●

Żurnalista twardo negocjował swoje warunki z Polsatem i wynegocjował 25 tys. zł za każdy odcinek „Tańca z gwiazdami". Teraz czeka nas wolny fokstrot i szybka windykacja.

●

Ewa Farna sprzedała w Pradze trzy stadiony. Szok. Fani Dawida narzekają, że u niego nic nie słychać. Dramat słuchaczy Ewy polega na tym, że nie dość, że śpiewa po czesku, to na domiar wszystko słychać.

●

Maciej Dowbor odchodzi z telewizji śniadaniowej. Napisali o tym m.in. TVN24, RMF, „Wprost", „Świat Seriali" i „Do Rzeczy". Polska. Tu nawet sezon ogórkowy można rozpocząć bez ogórków.

●

Beata Chmielowska, niegdyś gwiazda „Teleexpressu", poprowadzi talk-show dla kobiet w telewizji Active Family. Wcześniej była w Silver TV. Model kariery à la Jacek Kurski. Widz nie jest obowiązkowy.

Justyna Steczkowska wyznała, że posadziła drzewa na łożyskach swoich dzieci. Ciekawe. Kiedyś wystarczyło nagrać dobrą piosenkę.

eprasa.pl 332c627450

Mali na mundialu



40-letni bramkarz Vozinha podczas meczu pomiędzy Republiką Zielonego Przylądka a Hiszpanią

Wnioski po fazie grupowej mundialu: Europa trzyma się mocno, Afryka odrobiła lekcje z taktyki, Lionel Messi jest jak wino, a drabinka korzystna dla gospodarzy burzy faktyczny układ sił.

MARCIN PIĄTEK

Te słowa z trudem przechodzą przez klawiaturę, ale FIFA coś się udało. Reforma polegająca na powiększeniu grona uczestników mundialu do 48 zespołów i wynikający z niej przywilej awansu do fazy pucharowej turnieju 8 z 12 najlepszych drużyn, które w grupie zajęły trzecie miejsce, zdała egzamin. Choć jej faktyczny cel został obliczony – dzięki otwarciu drzwi mistrzostw świata przed słabszymi futbolowo krajami i kupieniu w ten sposób ich wdzięczności – na umacnianie obecnej władzy FIFA, z prezydentem Giannim Infantino na czele, sportowy aspekt, z punktu widzenia kibica najważniejszy, się obronił.

Według dotychczas obowiązujących zasad ostatnie mecze trzeciej kolejki fazy grupowej często były już meczami o pietruszkę, zwanymi w Polsce wzniośle meczami o honor. Nasza futbolowa reprezentacja osiągnęła w tym wysoką specjalizację. Wygrywała spotkania niemające już znaczenia, dla otarcia łez i pozbycia się wrażenia totalnej klęski, spowodowanej wcześniejszymi porażkami oraz brakiem awansu do fazy pucharowej. Teraz na palcach jednej ręki można było policzyć reprezentacje, które przed ostatnią kolejką grupową już zaczynały pakowanie walizek.

Okazało się, że można awansować, przegrywając dwa pierwsze mecze w grupie, ale postrzelawszy w trzecim (Senegal) albo mając minus w golach (Algieria, Bośnia i Hercegowina); o awans otarł się również Iran – z trzema remisami. Emocji byłoby jeszcze więcej, gdyby ktoś w FIFA przejrzał na oczy i zdecydował, że o kolejności w grupie w przypadku tej samej liczby punktów przesądza najpierw bilans bramkowy, a dopiero potem wynik bezpośredniego spotkania. Tylko taka formuła zapewniałaby, że każdy gol się liczy.

© JUSTIN SETTERFIELD/GETTY IAMGES

eprasa.pl 332c627450

Wszystkich zadowolić jednak nie sposób, a z obozu futbolowych konserwatystów (to ci sami, którzy twierdzą, że jeśli mundial będzie się rozrastał w takim tempie, niebawem zobaczymy w nim Narnię i Mordor) dochodzą głosy, że mistrzostwa świata to nie jest turniej, na którym powinno się dawać przegrywom trzecią szansę. I że rodzi to potem takie koszmarki futbolowe jak pierwszy mecz fazy pucharowej Republika Południowej Afryki–Kanada, a przebudzenie słabeuszy w dalszej części turnieju będzie bolesne. Może tak, może nie; sytuacje, gdy jeden mecz przesądza o turniejowym być albo nie być, wykreowały już niejedną boiskową nieracjonalność, a historia mundiali pisana jest też pojedynkami Dawida z Goliatem, z ostatecznym efektem jak w biblijnym pierwowzorze.

Na razie największym mundialowym Dawidem są Wyspy Zielonego Przylądka. Odkrycie nawet dla tych, którzy nauczyli się nie patrzeć na futbol z pozycji niepodważalnej i absolutnej dominacji Europy, Argentyny i Brazylii (nieco z rozpędu, z sentymentu dla tamtejszej *joga bonito*). Wyspy Zielonego Przylądka pewnie wywalczyły awans w strefie afrykańskiej, zespoły z tego kontynentu skutecznie wylobbowały sobie większą pulę miejsc w turnieju (z 5 do 9, a wygrana w interkontynentalnych barażach 10. miejsce dała Demokratycznej Republice Konga). Do fazy pucharowej nie awansowała tylko Tunezja. Wzrost poziomu afrykańskich reprezentacji jest widoczny gołym okiem, zarówno jeśli chodzi o umiejętności czysto piłkarskie, taktykę oraz – jak to się mawia w futbolowym żargonie – czytanie gry i regulowanie jej tempa. Ale niektórzy futbolowi eksperci wciąż żyją pod kamieniem: przed meczem Niemców z Wybrzeżem Kości Słoniowej mistrz świata z 2014 r. Bastian Schweinsteinger rywali podsumował tak: będzie to futbol afrykański, czyli trochę dziki, trochę nieortodoksyjny, niespętany taktyką, spodziewam się niespodziewanego. Wypowiedź została odebrana jako rasistowska, ale jej autor nie przeprosił.

Aby oddać skalę sukcesu drużyny z atlantyckiego archipelagu Zielonego Przylądka, podkreśla się, że reprezentuje ona zaledwie półmilionową populację. To fakt, tyle że jej piłkarze nie wychowali się w kraju, są członkami rozsianej po świecie kabowerdeńskiej diaspory i odebrali futbolowe nauki w krajach wysoko pod tym względem rozwiniętych, jak Holandia czy Portugalia.

Nie zmienia to faktu, że na co dzień grają w klubach niezbyt wysokich lotów (poza paroma wyjątkami), bramkarz, 40-letni Vozinha, przed turniejem został bez pracy (raczej długo to nie potrwa, bo wyceniany jest na ok. 50 tys. euro; to w futbolowym światku drobne), a selekcjoner Bubista (od sześciu lat) szlifował wcześniej fach, pracując z klubami na wyspie. Awansowali jednak z bardzo trudnej grupy: nie dali się pokonać Hiszpanii, odrobili straty w meczu z Urugwajem, zdominowali Arabię Saudyjską w spotkaniu, które przesądziło o drugim miejscu w tabeli. Trzy „zwycięskie" remisy wystarczyły do awansu; w podobnym przypadku w Polsce mielibyśmy jak w banku ogłoszony dzień wolny od pracy i podniesienie 800 plus.

Pod względem kreowania bohaterów z trzeciego szeregu wielkie wydarzenia sportowe są niezastąpione. Vozinha, mianowany mężem opatrznościowym swojej reprezentacji (tak było w meczu z Hiszpanią, w kolejnych koledzy z defensywy oszczędzili mu ciężkiej pracy), stał się najlepiej rozpoznawalnym ambasadorem Wysp Zielonego Przylądka i w mgnieniu oka zyskał globalną sławę, mierzoną instagramowymi followersami, których namnożyło się od 50 tys. do 17 mln. Jest to sława porównywalna z tą, na jaką przez długie lata kariery zapracowała Cesaria Evora, wokalistka rdzennie kabowerdeńskiego gatunku *morna*, włączonego przez UNESCO do światowego dziedzictwa ludzkości. Vozinha ma zresztą na swoim profilu ładne zdjęcie, którym symbolicznie składa hołd zmarłej kilka lat temu divie, a jeśli chodzi o mundial, wkrótce czeka go wyzwanie nie lada: powstrzymać mistrza świata – Argentynę, dla której Lionel Messi znów, na kolejnym mundialu, gra jak z nut.

Messi to temat na oddzielną mundialową opowieść. Odkąd parę lat temu zmienił Barcelonę na Inter Miami, znikł z radarów europejskich kibiców oraz ekspertów. Rychła czterdziestka na karku, występy w lidze nieco pogardliwie określanej jako przystań dla futbolowych emerytów, a co za tym idzie, odcięcie od rywalizacji na naprawdę wysokich obrotach, miały sprawić, że na mundialu co najwyżej trochę sobie potruchta, ewentualnie coś strzeli z karnego.

Tymczasem w fazie grupowej Messi strzelił sześć goli (i spudłował karnego), został najskuteczniejszym piłkarzem w dziejach mundiali (19 goli i na tym na pewno nie koniec) i pierwszym w historii, który zdobywał bramki w siedmiu kolejnych meczach swojej reprezentacji na mistrzostwach świata (wliczając poprzedni turniej). Niektórzy kontestują jego aktualny wkład do rekordu, argumentując, że Algieria i Jordania, rywale w grupie, to światowa trzecia liga. Ale od tego, komu Messi strzela, ważniejsze jest, w jaki sposób to robi. Technikę uderzenia ma wciąż bajeczną, balansem ciała potrafi posadzić obrońcę na trawie, niezawodny instynkt napastnika podpowiada mu, gdzie się ustawić, kiedy biec, kiedy się zatrzymać, jego skaner boiskowego otoczenia działa bez zarzutu, a do tego jeszcze ma wokół siebie kolegów, którzy sprawiają wrażenie, jakby się ścigali, kto będzie miał większy wkład w gole kapitana i talizmanu reprezentacji.

Obok swojego mundialowego wyczynu Messi przeszedł niewzruszony, nie ma obsesji śrubowania rekordu (na mecz z Jordanią wszedł z rezerwy w drugiej połowie, a i tak dołożył bramkę). To różni go od Cristiano Ronaldo, który zgrzyta zębami na każdą wzmiankę, że to jednak Argentyńczyk jest w tym równoległym pojedynku długowiecznych fenomenów piłkarskich lepszy, może nawet na tyle, żeby zasłużyć na miano GOAT (greatest of all time).

Cristiano też strzelał gole na sześciu kolejnych mundialach, ale uzbierał ich do tej pory raptem 10. Ani razu nie potrafił poprowadzić Portugalii do występu na miarę ambicji i nadziei, a teraz jeszcze, gdy nad formą Messiego cały świat wznosi ochy i achy, Ronaldo musi stawić czoło obrazoburczym tezom, że swoją uparta obecnością w reprezentacji bardziej jej szkodzi, niż pomaga. Nie podobają mu się te opinie, a od pytających żąda, by słuchając odpowiedzi, nie ośmielali się nie patrzeć mu w oczy. Nie pierwsza to w jego karierze dziecinada, a ma już 42 lata. Pocieszające jest dla niego to, że wygląda na coraz młodszego, więc niewykluczone, że i na kolejnym mundialu – zresztą na ojczystej ziemi, organizowanym do spółki z Hiszpanią i Marokiem – zagra.

Cristiano strzelił w grupie tylko dwie bramki, ale przynajmniej w ten sposób udało mu się nawiązać do formy innych snajperów. Na razie ten mundial jest pod względem spełniania przez gwiazdorów pokładanych w nich nadziei wyjątkowy. Messi, Haaland, Vinicius Jr, Kane, Mbappe, Dembele (jego hat-trick w meczu ▶

eprasa.pl 332c627450

▶ z Norwegią, w 32 minuty, to drugi najszybszy w dziejach mundiali, poprzedni, w zamierzchłym 1954 r., był dziełem Austriaka Ericha Probsta, potrzebował na to w meczu z Czechosłowacją 24 minut) – wszyscy strzelają jak na zawołanie. Ciekawe, że po raz pierwszy od dawna bohaterowie nie wyglądają na zmęczonych długim i naszpikowanym meczami sezonem klubowym, nawet mimo północnoamerykańskich upałów oraz niezbyt dogodnej z punktu widzenia fizjologii futbolowej pory rozgrywania wielu spotkań, czyli w okolicach południa.

Prezydent Infantino mógłby powiedzieć, że to również efekt jego reformy, bo świadomość, że do awansu wystarczy w praktyce zwycięstwo i remis, mogła wpłynąć na to, że gwiazdorzy łapią luz. Pod względem średniej goli na mecz w fazie grupowej (3) poprzednie mundiale były bardziej okazałe (3,5), ale tym razem mamy wysyp bramek wyjątkowej urody, zdobywanych po strzałach zza pola karnego. Nie odkryto jeszcze bezpośredniego przełożenia na ten fakt właściwości mundialowej piłki, jak również kopania jej przez zdecydowaną większość zawodników w korkach koloru różowego (choć Messi zakłada buty w barwach narodowej flagi), ale wysiłki trwają.

Temperatura meczów i uroda goli sprawiają, że piłka się broni i spycha na dalszy plan zmory tego turnieju, czyli horrendalnie drogie bilety i restrykcje wobec przyjezdnych, stosowane przez amerykańskie służby migracyjne, jak również jeden z największych skandali w dziejach mistrzostw, czyli zmuszenie reprezentacji Iranu do założenia bazy poza Stanami Zjednoczonymi oraz ograniczenie jej pobytu na terytorium USA przed i po meczem do 24 godzin. Takie warunki wykluczają właściwą regenerację piłkarzy, mającą niebagatelne znaczenie przy napiętym turniejowym grafiku. Iran odpadł, nie przegrawszy ani jednego meczu, przesądził bilans bramkowy. Jego piłkarze mogą mieć poczucie, że zostali skrzywdzeni, a Gianni Infantino, który niedawno obiecywał turniej inkluzywny i gościnny, wyszedł na wielkiego miękiszona, który nawet tak fundamentalnej sprawy dla mudialowego fair play nie jest w stanie załatwić u Donalda Trumpa – podlizuje mu się bez skrupułów.

Dla ogarniętego obsesją osobistych rekordów Cristiano Ronaldo zła wiadomość jest taka, że mundialowa drabinka wygląda dla Portugalii bez porównania trudniej (teraz gra z Chorwacją, jeśli wygra, prawdopodobnie z Hiszpanią) niż dla Argentyny (jeśli pokona Wyspy Zielonego Przylądka, spotka się z lepszym z pary Australia–Egipt). Układ gier w decydującej fazie turnieju jest w pewnej części zdeterminowany wynikami w grupach, aczkolwiek faworyci – jeśli zdobędą prymat w grupie – mogą na siebie wpaść dopiero na ostatniej prostej.

Tę logikę, niezbędną do budowania turniejowej temperatury, zakłóca jednak polityka FIFA. Gospodarze mundiali nie mają już co liczyć na zyski z imprezy, które zgarnia futbolowa centrala. Ale trzeba im zrekompensować organizacyjny trud, jak również idące w miliardy dolarów wydatki w inny sposób: przyznając w losowaniu grup miejsce w pierwszym koszyku, nominalnie zastrzeżonym dla futbolowych potęg. W ten sposób USA, Kanada i Meksyk miały gwarancję, że w grupach unikną Francji, Argentyny albo Hiszpanii. Jakby tego było mało, wszyscy gospodarze cudownie trafili na niezbyt wymagających rywali w grupach, a dalszą drabinkę ułożono w taki sposób, że nawet w fazie pucharowej pierwsze przeszkody nie straszyły. Kanada grała z Republiką Południowej Afryki, Amerykanie z Bośnią i Hercegowiną, a Meksyk z Ekwadorem. Porównując z innymi spotkaniami tej fazy (Maroko–Holandia, Brazylia–Japonia, Portugalia–Chorwacja), dysproporcja sił bije po oczach.

Jeśli mistrzostwa świata mają dać ostateczną odpowiedź na pytanie o prymat w światowym futbolu (przynajmniej w ostatnich czterech latach), takie reguły rządzące układem gier wyraźnie ów zamysł wypaczają. Mimo całego szacunku dla zwycięskiej i świętującej awans do jednej ósmej finału Kanady, nie jest ona silniejsza od przegranej drużyny z meczu Holandia–Maroko. Mundial to nie laboratorium, nie da się stworzyć dla wszystkich uczestników proporcjonalnych progów trudności, aby mieć słuszne poczucie, że zwycięstwo jest zasłużone i niekwestionowane, ale nadanie zespołom przed losowaniem rangi adekwatnej do ich siły wydaje się oczywiste.

Na reformę się jednak nie zanosi, FIFA zdecydowanie woli proste rozwiązania, dzięki którym dolary płyną rzeką. Więcej drużyn to więcej transmisji i więcej wpływów z reklam. Temu ostatniemu celowi służą również kuriozalne trzyminutowe przerwy w połowie połów, oficjalnie określane jako czas na nawodnienie. Stosuje się je również na klimatyzowanych stadionach z temperaturą w okolicach 20 stopni, jak i wtedy, gdy z nieba leje się deszcz, a nie żar. Zaburza to tempo gry, pozwala trenerom przekazać uwagi i przeorganizować szyki (a więc skorygować błędy, jakie popełnili przed meczem), a piłkarzom złapać oddech. Dochodzi do absurdalnych sytuacji, gdy strzegący meczu oficjele napominają piłkarzy, którzy sięgają po bidony poza powołaną do nawadniania przerwą. Publiczność gwiżdże, eksperci krytykują i szydzą, dominuje poczucie nienaturalnej ingerencji w meczowy rytm, a prezydent Infantino, podróżujący ze stadionu na stadion prywatnym odrzutowcem, uśmiecha się szeroko. Mało prawdopodobne, by ta nowinka ocalała po mistrzostwach. Ale niesmak pozostaje.

MARCIN PIĄTEK



© RYAN PIERSE/GETTY IMAGES

W fazie grupowej 39-letni Messi strzelił sześć goli i został najskuteczniejszym piłkarzem w dziejach mundiali



Kamizelki w modzie

Jakie są państwa ulubione zakazy? Historia to losy zakazów. Kraina dzieciństwa – czy to przez opacznie zrozumianego „Pana Tadeusza", czy przez nostalgię za czasem, gdy pieniądze wydają się pochodzić ze ściany, czyli od bankomatki – niektórym myli się z okresem jurności, durności i beztroski. Tymczasem rodzina i przedszkole to jeden wielki zakaz. A to czterolatek nie może posikać się na scenie z podniecenia, odgrywając rolę starego Scrooge'a, a to nie wolno grać w piłkę na podwórku będącym dziś przeważnie parkingiem lub „zielonym zaciszem", czyli oczkiem wodnym z tujozą.

Potem jest coraz gorzej. Nie można jeść drożdżówek, bo przez utwardzony cukier dziewica nie dopnie się w sukience komunijnej. Mieszkania mojego dzieciństwa były pełne zakazów hałasowania. Jednostronnych, bo starzy grzmocili w maszyny do pisania już od świtu, a mózg nastolatka uznaje godzinę 11:00 za środek nocy. PRL był krainą zakazów fotografowania – rzecz niewyobrażalna dziś, gdy ludzie, zamiast błogosławić posiłek przed jedzeniem, fotografują każdą kompozycję z kalarepy, a w górach narażają życie zwierząt, robiąc sobie z nimi słitfocie. Być może każdy zakaz to dla kochających wolność Polaków czerwona płachta na byka.

Spokoju wokół zakazów nie będzie – zestaw z czasu pandemii obudził w nas pokłady furii. Ale czy pamiętacie zakaz spożywania alkoholu podczas pielgrzymki papieża? Niespecjalnie to kogoś wtedy grzało. Przed wielu laty zabroniono palenia w miejscach publicznych. Od Nowego Roku – więc w sylwestra w kłębach dymu tańczyłam w barze w Berlinie, a barman czule żegnał się ze mną, przewidując, że zbankrutują z braku klientów. Z dziennikarskiej ciekawości 2 stycznia wieczorem stawiłam się trzeźwa i spionizowana w tym samym przybytku rozkoszy. Bawił się tam tłum. I wreszcie nic nie szczypało mnie w oczy.

> Ograniczenia transportu rozpalają ludzi bardziej niż zakazy publikacji. Kto tego nie wie, kończy jak prezydent Krakowa.

Dziś zakazy związane z transportem rozpalają gwałtowniej niż kiedyś zakazy publikacji. Władza, która to lekceważy, skończy jak prezydent Krakowa. Owszem, Paryż czy Kopenhaga wprowadzają do miasta byliny, ścieżki rowerowe i ograniczenia prędkości, ale czy my, turyści, bywamy na marszach żółtych kamizelek? Dla sfrustrowanych mieszkańców blokowisk i przedmieść urocze idee 15-minutowych miast chyba nie są *instafriendly*.

Atmosfera na konsultacjach w sprawie „transportu przyszłości" w Warszawie była tak napięta, że menopauzalne uderzenia gorąca to przy tym pikuś. Oczywiście nic – nawet wybuch wulkanu, przegrane dwie szanse na prezydenturę czy hucpa rozpasanych radnych w salonikach onkologicznych – nie jest w stanie zepsuć dobrego humoru Rafałowi Trzaskowskiemu. Martwi mnie jednak brak merytorycznej dyskusji z Warszawiakami. Także dlatego, że każdy z nich ma inne potrzeby transportowe. A czasy, gdy na jeden blok przypadały po trzy Maluchy i dwie Łady, dawno minęły. Dziś nawet studenci mają swoje Ople.

Rozumiem, że wjazd do miast musimy ograniczać. Jednak starzy mieszkańcy nigdzie się nie „wybierają", tylko tu jeszcze jakoś zipią! Jako mieszkanka ścisłego centrum zostałam niemalże pod osłoną nocy okradziona z miejsc postojowych, które jeszcze rok temu przydzielono mi w ramach abonamentu (skądinąd za niską opłatą). Oto urzędnicy Ministerstwa Rozwoju, którym w ramach walki z betonozą i samochodozą miasto zlikwidowało parking, nie przesiedli się na rowery i zbiorkom, lecz postawili znaki zakazu parkowania wzdłuż okolicznych ulic. Czy wyrzucanie starych mieszkańców z miasta tylko po to, by dojeżdżali z „obwarzanka", a swoje lokale wynajmowali na Airbnb, służy ograniczeniu ruchu w centrum? Moje auto całymi dniami stało nieruszane pod domem, potrzebne było na wycieczki, na działkę czy zakupy (bo nie ma marketów w centrum, tylko raczej sklepy z Roleksami i dizajnem za milion monet). Tymczasem turyści krążą po mieście taksówkami nieustannie.

Sytuacja transportowa to łatwa okazja dla radykałów. Konsultacje zdominowane są przez wszelkie lobby – od aktywistów rowerowych po samochodziarzy głoszących, że nie tylko mieszkanie, ale i auto to prawo człowieka – i prawdziwej debaty brakuje. Chciałam się dowiedzieć od prezydenta Trzaskowskiego, jak Warszawa szykuje się na pojazdy autonomiczne. Będzie zgoda czy zakaz? Lecz do głosu nie doszłam, bo aktywista z Homokomando domagał się tęczy na Pradze, a panowie konfederaci w marynarach z mieczykami Chrobrego pytali, kiedy miasto coś zrobi z imigrantami szalejącymi na elektrykach. A miasto tak subtelnie informuje o konsultacjach, że większość z nas tych zaproszeń nie dostrzega. Stąd wrażenie (?), że urzędnicy, gdzieś tam w ratuszu, a może w Brukseli czy Monachium, miastach odległych historycznie i społecznie od Polski, podjęli już decyzję, a my mamy przestać gęgać i się dostosować. Uwaga, bo kamizelki są w modzie.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 332c627450

FELIETON

Koziołek



Najsłynniejszy polski lekarz

Ile byłoby dość? – zapytała sąsiadka, a ja wiedziałem, o co pyta, więc niezwłocznie odpowiedziałem:

– Jak ktoś chce kupić czyjąś pracę, to musi zapłacić tyle, na ile rynek ją wycenia. Weźmy na przykład korepetycje...

– A jak nie ma rynku, tylko NFZ i kontrakty? – przerwała mi.

– No to wynagrodzenie zależy od pozycji negocjacyjnej lekarza wobec szpitala, czyli nie ma granicy.

– Ciekawe, co by na to powiedział najsłynniejszy polski lekarz – zadrwiła bez uśmiechu.

Pół wieku wcześniej, zanim ulubiony doktor Polaków rozpoczął praktykę, Karol Marks i Fryderyk Engels umieścili w „Manifeście Komunistycznym" (1848 r.) bluźniercze, ale prorocze słowa o sytuacji, w jakiej znajdują się nowocześni absolwenci medycyny. Oto kapitalizm „odarł z aureoli świętości wszystkie rodzaje zajęć, które cieszyły się dotychczas szacunkiem i na które spoglądano z trwożną czcią. Lekarza, prawnika, księdza, poetę, uczonego zamienił w płatnych, najemnych robotników". Autorzy nie twierdzili, że lekarze w czasach przedkapitalistycznych leczyli za darmo. A jedynie, że ich zawód – razem z kilkoma innymi – długo uznawany był przez ludzkość nie tylko za pracę usługową, ale za powołanie i misję. I więcej.

Zamiast zmierzać do naprawy służby zdrowia, Judym rzuca karierę, by leczyć robotników w Zagłębiu Dąbrowskim.

Tytuł filmu Łukasza Palkowskiego o Zbigniewie Relidze („Bogowie") wskazuje jasno ludzkie nadzieje i pragnienia związane z leczeniem. W czasach przednaukowych bycie uzdrowionym niemal za każdym razem było rodzajem cudu, nic zatem dziwnego, że kultura chrześcijańska wyeksponowała rolę Jezusa jako uzdrowiciela. Boska aura profesji pozostała nam w języku. Kiedy powiedzie się szczególnie trudna operacja, mówimy, że lekarze dokonali cudu.

To jednak już tylko słowa. W Polsce dokonuje się właśnie opóźniona o sto lat wymiana języka wartości, jakiego używamy w odniesieniu do leczenia ludzi. „Służba zdrowia" zmienia się w „opiekę zdrowotną". Nawet jeśli oczekujemy od lekarzy niemożliwego, to w ramach ich obowiązków służbowych. Kapitalizm nie zważa na ideowe wartościowanie ludzkich profesji. Jedna jest jego miara wszechrzeczy – gotówka. Romantycznych idealistów w połowie XIX w. może to szokowało, ale my z Wokulskim wiemy, że wszystko można kupić, nawet Izabelę (ok. 6 tys. rubli). Jak również: dobrą celę w więzieniu (82 dol. za noc); donoszenie ciąży przez indyjską matkę zastępczą (6250 dol.); prawo zastrzelenia czarnego nosorożca (150 tys. dol.); przestrzeń reklamową na czole człowieka (777 dol.); numer komórki lekarza domowego (1500 dol. na rok, przykłady za: M. Sandel, „Czego nie można kupić za pieniądze").

Powiedzmy uczciwie: sami lekarze mieli dość misyjnej aureoli, która – jak w przypadku nauczycieli – bywa cynicznie wykorzystywana do wzbudzania poczucia winy, że nie dość poświęcają się dla swoich pacjentów lub uczniów. Nagle wszystko wydaje się proste. Wystarczy zapłacić i oczekiwać wykonania usługi. A jednak ta prosta logika rynku nie działa w odniesieniu do leczenia ludzi.

Pierwszym, który przewidział systemową przyczynę afery w Szpitalu Południowym, był Stefan Żeromski jako autor „Ludzi bezdomnych". Jego bohater, doktor Tomasz Judym, „romantyk w kapeluszu pozytywisty", buntuje się przeciw krzywdzie, jaką wyrządza człowiekowi choroba, ale zdaje sobie sprawę, że instytucje opieki zdrowotnej pozbawiają najbiedniejszych dostępu do lekarzy, gdyż są w gruncie rzeczy firmami nastawionymi na zysk.

I tu Żeromski robi zadziwiającą przewrotkę. Zamiast zmierzać do naprawy służby zdrowia, Judym rzuca dobrze zapowiadającą się karierę, ukochaną, która go rozumie , i udaje się leczyć robotników w Zagłębiu Dąbrowskim. A przecież mogliby żyć skromnie i uczciwie, przyjmując za bardzo niewielką opłatą ubogich pacjentów, „których ty uzdrowisz, dobry lekarzu" – kusi go Joasia. Jednak Żeromski mu nie pozwala, ponieważ Judym jest trawiony inteligenckim poczuciem winy za dług talentu i wykształcenia, który trzeba spłacić społeczeństwu.

Mylił się Marks. Zawód lekarza jest i zawsze będzie inny, ponieważ tym, którzy go wykonują powierzamy zajmowanie się ludzkim życiem w znaczeniu dosłownym. Celem pracy lekarza jest sprawić, abym nadal żył. Nie ma ceny, której bym za to nie zapłacił. Nie ma NFZ, który mógłby taką procedurę obiektywnie wycenić. Wartość życia i zdrowia każdego z nas nie da się zmierzyć pieniędzmi. Nie dlatego, że są bezcenne, ale ponieważ należą do sfery wartości egzystencjalnych. To pierwotny lęk o zdrowie i życie stoi za wzburzeniem na skandale w Szpitalu Południowym. Wszystko, co się we mnie boi choroby i śmierci, chce, aby utrzymanie mnie przy życiu było misją, powołaniem lekarza; wyższą racją jego życia zawodowego; imperatywem niezgody na moją chorobę i śmierć. Albo żeby przynajmniej udawał, że jest spadkobiercą Judyma, bo wtedy boję się mniej.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 332c627450



Wręcz i wnóż

Czasy, gdy Jarosław Kaczyński oświadczał z klasową wyższością, że on się na podwórku nie chował, minęły bezpowrotnie. Po wygranej Karola Nawrockiego zaczął się przedstawiać jako uczestnik ustawek organizowanych przez „środowiska kibicowskie", i to od najmłodszych lat. Przyznał, że na Żoliborzu, w owej inteligenckiej enklawie, gdzie obaj z bratem wyrastali ponad plebs w rodzaju Donalda Tuska, działy się „różne rzeczy". Nie do końca wiadomo jakie, ale z wypowiedzi prezesa przypominanej często w Radiu TOK FM idzie pomiarkować, że takie, po których człowiek jedzie na SOR z ranami do zszycia i kośćmi do nastawienia. Ponoć szczególnie Lech Kaczyński nie oszczędzał się w tych szlachetnych potyczkach wręcz i wnóż, ale i Jarosław miał nie stronić od potu i krwi na polu walki o honor ulubionej drużyny. Czy była to warszawska Legia, czy raczej ZKS Granat Skarżysko-Kamienna? Można tylko zgadywać.

Zagadek jest zresztą więcej. Nikt z żyjących nie ma najmniejszego pojęcia, kiedy i jak w życiu prezesa PiS rozpoczęła się sławetna epoka rodeo. Sprawy bynajmniej nie rozjaśnia fakt, że ze swojej słabości do tej dyscypliny Kaczyński zwierzył się publicznie dopiero jako mężczyzna co najmniej dojrzały. Co więcej, ujął swą pasję z perspektywy widza, a konkretnie – nocnego telemaniaka, który po ciężkiej politycznej harówce ogląda w samotności zmagania jeźdźców w strojach kowbojskich z rozjuszonym byczkiem. Ale czy jego samego kiedykolwiek poniósł rozhukany koń? Czy to tylko potęga hollywoodzkich westernów schwytała go na lasso i powlokła za sobą przez prerię? Wskutek ran odniesionych w ulicznych bitwach ten dzielny Żoliborczyk zaiste mógł zacząć stronić od walk toczonych osobiście. A siła oddziaływania obrazów takich jak „W samo południe", „Rio Bravo" czy „Tajemnica Brokeback Mountain" jest powszechnie znana. Byłoby zrozumiałe, gdyby padł ich ofiarą. Słodsza od malin byłaby taka *sweet surrender*.

> Mały cezarek przenosi mordobicie na środek sceny. Wpuszcza ryczące bestie do centrum świata, którym huśta.

Z biografii wybitnych mężów zawsze można się wiele nauczyć. I tak żywot Jarosława Kaczyńskiego uczy nas, że nawet człowiek o bujnej sportowej przeszłości napotyka kiedyś granice, których przekroczyć już nie potrafi. Rubieżą Kaczyńskiego okazały się mieszane sztuki walki. „MMA to nie moja bajka" – stwierdził weteran ustawek i miłośnik poskramiania byków, gdy poproszono go o opinię na temat głównej atrakcji 80. urodzin Donalda Trumpa, podwieszonych skromnie pod 250. urodziny Stanów Zjednoczonych. W sprawie walki dwóch mężczyzn w ośmiokątnej klatce przed Białym Domem odezwał się w Kaczyńskim ewidentnie żoliborski gen. Przekazywane z dziada pradziada ziarno przyzwoitości i konserwatyzmu, którego nie wydłubiesz. Wystarczy popatrzeć: zarówno kibole, jak i kowboje walczą w długich spodniach (przynajmniej na początku), w oktagonie natomiast już od pierwszych ciosów króluje bezwstydna golizna. Na coś takiego nie ma zgody. Takie rzeczy to może w Niemczech.

MMA na urodzinach Trumpa to zakręt, na którym inteligent z Żoliborza spadł z rowerka. Odpadł i pozostał na zawsze w tyle. Aż do tej pory udawał pobratymca ostro faszyzujących populistów, popierał ich i torował im drogę do władzy, ale tej poprzeczki już nie przeskoczy. Barierą nie do pokonania okazała się dla niego estetyka bliska walkom kogutów czy psów. Można rzec, że poległ w oktagonie.

W gruncie rzeczy jednak MMA nie jest kwestią estetyczną. Nasze gusta zależą od środowiska, w którym wzrastamy. Co dla jednych jest przekroczeniem, dla innych bywa swojskim sygnałem uprawomocnienia i przynależności. Ocena MMA na płaszczyźnie gustu zawsze będzie względna. Problemem nie jest to, że w tej nawalance reguły nieprzesadnie rzucają się w oczy, ani to, że towarem, za który płacą widzowie, jest spektakl fizycznej brutalności i dominacji. To wszystko istniało już wcześniej. Nowy jest kontekst i to on czyni różnicę.

Ustawiając klatkę do MMA na trawniku przed Białym Domem, Trump we własnej wyobraźni małpuje rzymskich cesarzy urządzających walki gladiatorów i wpuszczających na arenę głodne lwy. Zapewne napawa się tym wcieleniem. Jednak przy okazji mały cezarek przenosi mordobicie na środek sceny. Wpuszcza ryczące bestie do centrum świata, którym od początku swoich rządów huśta i który podkopuje. Demolka porządku opartego na rządach prawa tworzy ramy, w których pokaz MMA staje się symbolem mocno już nadgryzionych reguł i wartości. Śmiesznym i strasznym znakiem rządów pięści.

Zwykło się mówić, że MMA obrazuje kult męskiej siły. To prawda, ale są i niuanse. W Waszyngtonie walczyli ze sobą dwaj zdrowi, silni mężczyźni, a nie starzec z objawami demencji, który ich wynajął. Siła ich mięśni jest faktem, jego siła – fantazją i uzurpacją. Władza, którą dzierży, nie opiera się na męskim wigorze, tylko na zasobach państwa. Gdyby stanął do walki w oktagonie z Wołodymyrem Zełenskim, szybko by się okazało, kto tu naprawdę ma karty. Trump jest tylko tchórzliwym tyranem. Podobnie jak inni trzęsący dzisiejszym światem starcy.

RENATA LIS

eprasa.pl 332c627450

FELIETON

Witkowski



Gorzkie próżnowanie

Piszę do państwa, omiatany strumieniem powietrza z wentylatora kolumnowego. Powietrza, które jest, w zależności od momentu, za zimne lub za ciepłe, bo nie chciałem się specjalnie wykosztowywać na sprzęt. W końcu będzie mi służył najwyżej przez trzy miesiące. Poza tym wakacje za pasem, więc nadmiarowych wydatków nie zabraknie. Mamy więc lato i kapitalizm.

Wbrew powyższym żaden ze mnie jesieniarz czy zimiarz. Należę do dumnej, choć zdaje się, że stosunkowo niewielkiej, sekty letniarzy. Uwaga: nie mylić z letnikami, acz odnajduję się czasem i w tej roli (jest to, tak pożądany przez pracodawców, multitasking, nazywany w czasach piastowskich „wielozadaniowością"). Obecnie jakaś połowa rozmów ze znajomymi upływa mi na walce z jesieniarskim malkontenctwem: wszak, jako się rzekło, w naszym kraju jest w ciągu roku ciepło przez chwilę, lato można śmiało traktować jako okienko pogodowe lub odstępstwo od reguły. Nie spotykam się na ogół ze zrozumieniem, nie poradzę nic jednak na to, że jestem sympatykiem witaminy D i rozpuszczających się synaps.

Niezależnie jednak, do którego obozu należymy, wakacje nastręczają nam jednakich problemów. Podtuczeni urlopową nadzieją i mantrami w rodzaju „w końcu odpocznę", natykamy się na przeszkodę. Łatwo bowiem powiedzieć: „Nie będę robić nic, pełna regeneracja". Realizacja planów okazuje się jednak często... dodatkową pracą. Miało być leżenie odłogiem, książki ze „stosiku wstydu", gry wideo, spacery po lesie. A gdy przychodzi co do czego: „Dolce far niente? Nie znam człowieka".

Łatwo powiedzieć: „Nie będę robić nic, pełna regeneracja". Realizacja tych planów okazuje się jednak dodatkową pracą.

Wizja życia opartego na regularnym znoju, inkrustowanego tylko gdzieniegdzie krótkim urlopem, nie należy oczywiście do najbardziej optymistycznych. Załóżmy jednak, że ktoś całkiem lubi swój zawód, ba, może nawet szczerze się nim pasjonuje. Ale tu również pojawiają się problemy, łatwo jest bowiem przeoczyć, że interesująca praca pozostaje, hm, pracą. A ta wymaga riposty w postaci czasu ściśle wolnego, nieobarczonego obowiązkiem. My tymczasem jak te małpki z talerzami orkiestrowymi: robić, działać, życie jest krótkie, ostatnie dwa lata trwały może tydzień. Skąd ta dysfunkcja? Mówiąc językiem internetowych coachów szarlatanów: „Kto nam zabrał marzenia?".

Odpowiedź stanowi oczywiście bogacz z laską i z cylindrem, ten z pudełka gry „Monopoly": „To ja, głuptasie, i bardzo to sobie chwalę". Niewykluczone, że wszystko, o czym piszę, to milenialska przypadłość. Na rynek pracy wchodziliśmy uśmiechnięci, z pręgierzem zamiast plecaka: musi być efektywnie, ale i efektownie, a nade wszystko produktywnie. Ani się obejrzeliśmy, a czas przestał być zarówno „nasz", jak i „wolny".

Nadrabianie zaległości lekturowych? Dobrze, ale takich, które poszerzą nasze kompetencje. Oczywiście bez napinki, lekka książka – dobrze byłoby jednak wykorzystać jej znajomość w przyszłości. Albo jakaś nowa umiejętność? Kurs ceramiki? W końcu jest na to czas. Wreszcie: błogosławione próbowanie nowych rzeczy, wychodzenie ze strefy komfortu, czymkolwiek by była. Bodaj trzy lata temu spróbowałem kanioningu, czyli, w dużym skrócie, łażenia po kanionach i jaskiniach połączonego z pływaniem i nurkowaniem. W trakcie opuszczania strefy komfortu przypomniałem sobie, że od małego miałem koszmary z jaskinią pełną wody w tle.

Oczywiście można też postawić na odpoczywanie zupełnie niezobowiązujące, np. legnąć gdzieś na plaży, wysmarować się kremem SPF i doznawać szumu fal. Szybko może się to jednak zamienić w procedurę upiększającą („No muszę się trochę opalić, cały rok taki blady"), czyli działanie nastawione na wielorakie korzyści. Opalenizna zwiększy atrakcyjność, a więc da nam lepszą pozycję negocjacyjną w nadchodzących interakcjach z ludźmi. Ludzie to w ogóle kolejna pułapka. Już nawet nie chodzi o stare dobre „piekło to inni", lecz o to, że coraz wyraźniej nakrapiana parawanami plaża mówi coś o naszej otwartości wobec współwylegujących się. Zresztą, nawet jeśli z tej melaninowej maligny nie wyrwą nas sąsiedzi słuchający muzyki z głośnika Bluetooth, to zrobi to drobny przedsiębiorca handlujący „piwem, zimnym piwem".

Czyli co? Zostać w domu, połykać seriale i reality show, pozbywając się szarych komórek jak balastu? Brzmi nieźle, dopóki nie przypomnimy sobie, kim są najwięksi emiterzy rozrywki. Zachodzi bowiem podejrzenie, że celebryci zmagający się z trudami życia w tajskiej dżungli oraz fabuły skrojone tak, abyśmy mogli dołączyć w dowolnym momencie, służą tylko temu, byśmy nabrali energii przed kolejnymi zmaganiami. I po urlopie pracowali jeszcze bardziej produktywnie. Podsunąłbym złote rozwiązanie, gdybym takowym dysponował. Pozostanę więc przy dobrych wróżbach: życzę państwu w najbliższych tygodniach lenistwa, czasu dla siebie i braku produktywności. W momencie, w którym czytają państwo te słowa, jestem już na urlopie. Choć właśnie zdałem sobie sprawę, że jednocześnie publikuję w POLITYCE.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 332c627450

Ordery do zwrotu



Po tym, jak prezydent Nawrocki pozbawił Wołodymyra Zełenskiego Orderu Orła Białego, trzech byłych prezydentów Ukrainy i inni tamtejsi politycy sami oddali swoje ordery, uznając widocznie, że im się nie należą. Pokazuje to polityczną siłę Nawrockiego, a także rosnący prestiż polskich orderów, które stają się dobrem coraz rzadszym, posiadanym przez coraz mniej osób.

Miejmy nadzieję, że odebrane ordery po wyczyszczeniu i konserwacji będą służyć Polsce i Karolowi Nawrockiemu, który ponownie wręczy je komuś, kto będzie na nie zasługiwał (a po jakimś czasie odbierze, bo już nie będzie zasługiwał), promując w ten sposób w świecie nie tylko siebie, ale także te ordery i Polskę.

W reakcji na odebranie orderu prezydentowi Ukrainy Jarosław Kaczyński i inni liderzy PiS na znak lojalności wobec Nawrockiego sami sobie odebrali ordery nadane im przez władze Ukrainy i odesłali je tym władzom. Mateusz Morawiecki swojego orderu nie odesłał, co tylko potwierdza, że jego czas w PiS dobiega końca. Co z ukraińskim orderem zrobił Czarnek, nie wiadomo. Możliwe, że Ukraińcy byli na tyle przytomni, że żadnym orderem go nie odznaczyli. Ale znając krętactwa Czarnka w sprawie paneli na jego dachu, można sądzić, że jeśliby jakiś order dostał, to i tak powiedziałby, że nie dostał, a jeśli nie dostał, oświadczyłby, że już go odesłał.

Odzyskanie przetrzymywanych przez Ukraińców polskich orderów uważam za kolejny sukces prezydentury Karola Nawrockiego. Kto wie, czy niewiększy niż weto w sprawie programu SAFE, mające na celu wzmocnienie polskiej armii poprzez odcięcie jej od wielomiliardowych pożyczek na nowoczesny sprzęt. Na pewno większy niż niezaprzysiężenie czworga nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Zwłaszcza że pozostałą dwójkę Nawrocki z niewiadomego powodu zaprzysiągł, co jedni wzięli za przejaw słabości, a inni za dowód umysłowej niedyspozycji doradców, którzy mu ten pomysł podsunęli.

Najbardziej spektakularnym sukcesem prezydenta było to, że pozbawiony orderu Zełenski się na niego obraził i nie przyjechał do Gdańska na konferencję, której był współgospodarzem. Niestety, konferencja i tak się odbyła, z tym że moim zdaniem nie jest to wina Nawrockiego, tylko jego ministra Przydacza, który w celu storpedowania imprezy straszył Tuska, że swoją absencją Zełenski go upokorzy i wystawi na pośmiewisko. Problem w tym, że straszył tak nieudolnie, że Tusk się nie przestraszył i konferencji nie odwołał, co trochę dziwi, bo wiemy, jak straszny jest Przydacz w swoich wystąpieniach. Niektórzy uważają, że to, co ten polityk wygaduje, jest straszniejsze nawet od sytuacji w Szpitalu Południowym, w dodatku nie ma nadziei na to, że przestanie.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint Leipa passion process technology

eprasa.pl 332c627450

Będziemy pamiętać, nie będziemy pamiętliwi

Reporterka Hanna Krall oraz autorzy „Leksykonu getta łódzkiego" Adam Sitarek i Ewa Wiatr odebrali Specjalne Nagrody Historyczne POLITYKI. A Grand Prix pierwszej edycji Nagrody Funduszu Nieobojętnych otrzymały ex aequo Fundacja Strefa Dorastania i Stowarzyszenie Pro Civium. W ten sposób – ale nie tylko w ten, o czym zaraz – uczciliśmy setną rocznicę urodzin naszego Przyjaciela, szefa działu historycznego POLITYKI niemal od początku jej istnienia, Mariana Turskiego. Z naszą redakcją był związany przez niemal 70 lat! Aż do śmierci 18 lutego ubiegłego roku.

Główne uroczystości odbyły się w czwartek 25 czerwca w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Marian Turski był jego pomysłodawcą i współtwórcą, a także przewodniczącym rady muzeum.

– Byliśmy pewni, że Marian zawarł szczególny pakt z losem i biologią i że będzie w te urodziny z nami – mówił Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI, rozpoczynając uroczystość. Witał osoby z rodziny Mariana Turskiego, dyplomatów, parlamentarzystów i byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który w dawnych latach był dziennikarzem i jednym z następców Turskiego na stanowisku naczelnego „Sztandaru Młodych".

– Marian jest postacią historyczną, ale jego przekaz właśnie teraz staje się gorący. Przestrzegał przed powrotem rasizmu, antysemityzmu, dyskryminacji – a to się dzieje. Dziś na nowych wrogów narodu kreuje się Ukraińców – mówił Baczyński.

– Głos Mariana byłby dziś potrzebny, ale pewnie nie tym, którzy szczują „na wrogów polskości", byłby potrzebny nam. Potrzeba nam tego, o czym mówił w 80. rocznicę wyzwolenia Auschwitz – żeby się nie lękać, żeby „nie bać się wcale", żeby mieć odwagę protestować, gdy widzimy przemoc, nie ustępować ani o krok.

– Najważniejsze, żeby tatę pamiętać i działać według tego, o czym mówił – dodała Joanna Turska, córka naszego Przyjaciela. *– Żeby tata był dumny z tego, co robimy.*

Dyrektor Muzeum POLIN Dariusz Stola przypomniał, że chyba nikt na świecie nie przewodniczył kapitule żadnej nagrody tak długo jak Marian Turski, twórca Nagród Historycznych POLITYKI (przyznawanych od 1959 r.): *– I sprawiał, że decyzje kapituły zawsze były zgodne. To jest wielka umiejętność.*

Wprawdzie Nagrody Historyczne przyznaliśmy w maju, ale z okazji rocznicy urodzin ich twórcy wręczyliśmy specjalne wyróżnienia – dla reporterki, pisarki Hanny Krall oraz autorów „Leksykonu getta łódzkiego" Adama Sitarka i Ewy Wiatr.

– Mówi się o ewenemencie polskiego reportażu literackiego. Hanna Krall była założycielką tego gatunku. Został przez nią doprowadzony do perfekcji. Ktoś napisał, że to jest pisarstwo metafizyczne. Hanna Krall potrafi zdaniem, słowem, szczegółem uderzyć w sedno prawdy. Mamy w niej dar, skarb kultury i skarb dziedzictwa narodowego – opowiadał Wiesław Władyka.

– I ja mam dziś jubileusz – wyznała laureatka. *– Minęło 50 lat od publikacji „Zdążyć przed Panem Bogiem" w „Odrze". Z tej okazji zrobiłam małe podsumowanie – policzyłam książki i moich bohaterów. Od tamtej pory napisałam 16 książek. Wystąpiły w nich 983 osoby, dwie trzecie z nich to mężczyźni, jedna trzecia kobiety. Policzyłam też dobro i zło, i okazało się, że jest po równo. Co nie było zaskoczeniem, od dawna wiem, że zło zawsze towarzyszy dobru. I na odwrót, gdzie jest zło, tam i dobro musi być. Ten chleb, Marianie, który w Oświęcimiu ludzie ci dali, żebyś mógł go zamienić na okulary, jest tego niezłym dowodem. I jeszcze upewniłam się, że zło wcale nie jest banalne. Na odwrót, wyszukane jest, niekiedy wręcz kunsztowne i zawsze dba o puenty. To dobro chowa się za banał. Ciche jest, powściągliwe i niepozorne* – kontynuowała pisarka.

– Kiedy się czasami do mnie odzywałeś, zawsze miałeś pod ręką dobre słowo. Niekiedy – i słowo pociechy. Może i tym razem powiedziałbyś – nie wiemy, czy stał się mądrzejszy i lepszy ten świat. Ale bez tej pamięci może byłby gorszy jeszcze. Dziękuję ci za słowa otuchy. W którą – dobrze to oboje wiemy – coraz trudniej nam będzie uwierzyć – dodała.

Współautorka „Leksykonu getta łódzkiego" Ewa Wiatr deklarowała,



Hanna Krall odbiera specjalne wyróżnienie z rąk redaktora naczelnego POLITYKI Jerzego Baczyńskiego, wraz z nim dyrektor wydawniczy Piotr Zmelonek i komentator Wiesław Władyka



Klaudia i Joanna, czyli wnuczka i córka Mariana, prezentują różę Mariana Turskiego podczas ceremonii „chrzcin"



Rabata z różami Mariana Turskiego przy Muzeum Polin

eprasa.pl 332c627450

że z Adamem Sitarkiem mają jeszcze sporo pomysłów: – *Będziemy robić dalej to, co mówił Marian Turski, będziemy pamiętać i nie będziemy pamiętliwi. Jak wielu przyjaciół, z którymi badamy te czasy – mądrych, współodczuwających i nieobojętnych.*

Tego samego wieczoru Fundacja Strefa Dorastania i Stowarzyszenie Pro Civium ex aequo otrzymały Grand Prix pierwszej edycji Nagrody Funduszu Nieobojętnych. Pomysł powołania tego Funduszu zrodził się w stowarzyszeniu Żydowski Instytut Historyczny, w porozumieniu z rodziną Mariana Turskiego. Fundusz wspiera inicjatywy, które zapobiegają dyskryminacji, wykluczeniu i uprzedzeniom oraz budują tolerancję i równość. Słowem: wspiera tych, którzy kierują się w życiu XI przykazaniem: „Nie bądź obojętny".

– *Marian powtarzał, że wielkie kryzysy społeczne nie spadają z nieba, ale zaczynają się wcześniej, od wykluczenia i jego akceptacji, od hejtu, od przekonania „to nas nie dotyczy" i od sytuacji, gdy ktoś potrzebujący zostaje sam* – wspominał Piotr Wiślicki, przewodniczący Stowarzyszenia ŻIH.

Ale nieobojętność jest dopiero początkiem. – *Pytanie, co zrobimy dalej, by człowiek wykluczony nie został sam. Jak sprawić, by odpowiedzialność nie była jednorazowym gestem. Wyróżnione inicjatywy łączy to, że przeciwdziałanie wykluczeniu zaczyna się według nich dużo wcześniej, niż myślimy* – argumentowała Joanna Turska.

Dwie wyróżnione organizacje to Fundacja Strefa Dorastania za projekt „Reaguj, nie odwracaj wzroku" i Stowarzyszenie Pro Civium za projekt „Nie wykluczam, szanuję i wspieram". Pierwsza pracuje z młodzieżą i dorosłymi z lubelskich dzielnic, ucząc rozpoznawania przemocy słownej, hejtu, wykluczania, stygmatyzacji i innych przejawów dyskryminacji w codziennym życiu oraz reagowania na nie. Druga – tworzy punkt reagowania, zapewniający bezpieczną ścieżkę zgłoszeń i uzyskania wsparcia, m.in. przez infolinię 800 201 211. – *To są bohaterowie!* – mówił o laureatach Wiślicki.

Goście wysłuchali koncertu wiolonczelistki Dobrawy Czocher, której towarzyszyły Natalia Czekała (syntezatory) oraz Wiktoria Błaszczak (altówka).

Następnego dnia, 26 czerwca, czyli w urodziny Mariana, przed Muzeum POLIN w sąsiedztwie Pomnika Bohaterów Getta nadaliśmy uroczyście imię „Marian Turski" nowej odmianie róży i odsłoniliśmy rabatę.

Róża „Marian Turski" została stworzona przez polskiego hodowcę Łukasza Rojewskiego. To roślina o dużych kwiatach, klasycznej formie i wyraźnym zapachu. – *Róża symbolizuje piękno i miłość, ale też braterstwo, trwanie, odrodzenie. Biała róża wskazuje, że po końcu zawsze przychodzi coś nowego* – mówił Rojewski. – *Kwiaty najpierw są pąsowe, nieco różowe. Kiedy się otwierają, nabierają czystej bieli i stają się kielichowate. W pełnym otwarciu róża pokazuje piękny środek. Czuć w niej nuty zieleni i cytrusów – ściętą trawę, a na końcu paczulę i tuberozę. To zapach, do którego pragnie się wracać* – opowiadał hodowca.

Jako pierwsza różę tę otrzymała poprzedniego dnia Hanna Krall. Osoby spostrzegawcze odkryją, że przy Muzeum POLIN rabaty są dwie.

Tak zakończyliśmy obchody setnej rocznicy urodzin Mariana Turskiego. Towarzyszyła im książka Marka Zająca „Nieobojętny. 100 portretów Mariana Turskiego", wydana nakładem Wydawnictwa Znak, oraz cykl debat poświęconych czasom, w których dorastał i żył Marian Turski. Dziękujemy, że byli Państwo z nami! (JHP)



© LESZEK ZYCH, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), FUNDACJA IM. JANINY PARADOWSKIEJ I JERZEGO ZIMOWSKIEGO

Zdążyć przed wojną

Wojna za miedzą trwa już piąty rok. A gdyby konflikt się rozlał? Czy Polska jest na to gotowa? Nad tym wszystkim zastanawiali się urzędnicy państwowi, eksperci i samorządowcy. Do dyskusji zaprosiły ich Fundacja im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego oraz tygodnik POLITYKA.

Półtora roku temu weszła w życie ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej. Rządowy Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej na lata 2025–26 miał budżet: 34 mld zł (nowe środki są przewidziane w kolejnej odsłonie programu na lata 2027–31). Jednym z jego najważniejszych zdań jest budowa schronów i miejsc ukrycia. Na razie skupiono się na budowie i remoncie obiektów magazynowych stanowiących zabezpieczenie na wypadek wojny. Zinwentaryzowano też istniejące miejsca ukrycia. Teraz – jak powiedział Wiesław Leśniakiewicz, wiceminister spraw wewnętrznych – trwają prace nad ich oznakowaniem i zapewnieniem, że będą otwarte dla ludności w chwili zagrożenia.

Sama budowa – która spocznie na barkach samorządów – jest jeszcze w powijakach. Dlaczego? Tłumaczył to burmistrz Grodziska Mazowieckiego Tomasz Krupski – który buduje w centrum miasta schron mogący pomieścić 2,5 tys. osób: „W czasie pokoju będzie tam parking podziemny. Inwestycję zaczęliśmy, jeszcze zanim powstał program rządowy, więc zyskaliśmy trochę czasu. Ale tak dużego obiektu nie da się wybudować szybko".

Nowe schrony zapewne powstaną niewcześniej niż za pięć lat. Nieźle jest natomiast, jeśli chodzi o ratownictwo. Coraz więcej tzw. zwyczajnych ludzi potrafi udzielać pierwszej pomocy. Wprowadzana przez OSP aplikacja „Pierwszy ratownik" łączy potrzebujących nagłej pomocy ze znajdującym się w pobliżu przeszkolonym wolontariuszem.

Innym wyzwaniem rozwijanie technologii dronowych. Wojciech Stawiarski, ekspert od zarządzania systemami dronowymi, namawiał samorządy do szkolenia personelu w kierowaniu bezpilotowymi (to dobra zabawa, dzięki której na wypadek „W" będziemy mieli wyszkolonych operatorów). Do tego drony da się wykorzystywać w warunkach pokojowych. Przydają się do szybkiego dostarczania informacji (np. w czasie katastrofy), monitorują skażenie środowiska, ochraniają obiekty.

Plany więc są. Dobrze byłoby zrealizować je na czas.

(P.W.R.)

Żarłoczne cyberszafy

Projekty centrów danych wskazane w artykule Adama Grzeszaka (POLITYKA 26), zlokalizowane w Regułach i Kajetanach, nie należą do inwestycji realizowanych przez firmę Microsoft.

ANNA KLIMCZUK
DYREKTORKA KOMUNIKACJI MICROSOFT W POLSCE

Katarzynie Kaczorowskiej

wyrazy ogromnego współczucia
z powodu śmierci **Taty**
składają przyjaciele z POLITYKI

eprasa.pl 332c627450

W Paryżu gaz łzawiący, w Londynie psy policyjne, w Nowym Jorku aresztowania. Tak się dziś kończą premiery luksusowych produktów.

Bijatyka o luksusy



TREND

„Uprzejmie prosimy, aby nie przychodzić do sklepów w bardzo dużych grupach w celu zakupu tego modelu" – czytamy na stronie Swatcha, który połączył się z luksusową marką Audemars Piguet i wraz z nią stworzył kolekcję ośmiu zegarków **Royal Pop**. Wyglądają jak kolorowe gumowe zabawki naśladujące styl klasycznego Royal Oak, legendarnego modelu Audemars Piguet. Nie nosi się ich na ręce, tylko na krótkiej, elastycznej smyczy – jak zegarki kieszonkowe. Za pomocą smyczy można je przypinać do ubrań, torebki, plecaka. To bardziej pstrokaty gadżet niż klasyczny zegarek, właściwie żart z elitarnego stylu miłośników luksusu.

A teraz najważniejsze: prawdziwy zegarek Royal Oak od Audemars Piguet kosztuje 30–70 tys. euro, jego masowa wersja zaś, czyli Royal Pop – jedynie 400 euro. Dlatego obok kolekcjonerów i miłośników limitowanych edycji przed sklepami Swatch w gigantycznych kolejkach stoją głównie spekulanci, którzy nowo nabytą zdobycz natychmiast wystawiają na eBayu czy Chrono24 z ceną już kilku tysięcy euro. To przez nich robi się groźnie: w Paryżu do okiełznania kolejki użyto gazu łzawiącego, w Londynie – psów policyjnych, w Nowym Jorku doszło zaś do aresztowań. A Swatch jeszcze podkręca tzw. *hype* – sprzedaż odbywa się tylko stacjonarnie, do tego w wybranych sklepach Swatch (w Polsce w Warszawie, we Wrocławiu, w Krakowie i Gdańsku); dostawy są małe. Pojawia się efekt konsumenckiego FOMO, które polski klient starszego pokolenia zna doskonale: strach, że towaru zabraknie.

Pierwsze komentarze na Reddit, największym internetowym forum dyskusyjnym, pochodzą od rozczarowanych: zegarek wygląda tanio. Choć są i zachwyty – w jednej z dyskusji młodzi fani zarzucili rozczarowanym tradycjonalistom: „Boli was, że biedniejsi ludzie też mogą teraz nosić logo AP?". I dalej: „Snobi zegarkowi myślą, że na markę trzeba specjalnie zasłużyć pracą".

Przy okazji sprzedaż zegarka Royal Pop ujawnia różnice w wartościach pokoleń. Dla starszych liczy się zaufanie do luksusowej marki, od której oczekują jakości i podkreślenia statusu – bo całe życie pracują, żeby kupować drogie przedmioty. Są więc rozczarowani i zarzucają Audemars Piguet dewaluację. Z kolei zetki są zachwycone, bo chętnie kupią coś, co jest tylko trochę luksusem – wystarczy im pozór elitarności. Oczekują luzu, zabawy, wolą zarabiać mniej, kupować taniej – za to wychodzić z pracy o czasie.

Akcja Swatcha i AP jest jedną z wielu, w których marka masowa odświeża wizerunek marki luksusowej, dostarczając rozgłosu i skandali. Producent masowy zyskuje prestiż, luksusowy zaś – masową rozpoznawalność i szum medialny. Czy metoda tzw. dropów – czyli rzucania do wybranych sklepów krótkich serii masowo-luksusowych produktów – jest w stanie skłonić młode pokolenie do kupna? Swatchowi już raz się to udało. W 2022 r. razem z marką Omega wypuścił limitowaną serię zegarków MoonSwatch, naśladujących kultowy Omega Speedmaster, który nosili Neil Armstrong i Buzz Aldrin, pierwsi ludzie na Księżycu. Sprzedano 5 mln sztuk, co stało się najwyższą sprzedażą w historii zegarmistrzostwa. Dzięki tej jednej kolekcji roczny obrót marki Swatch wzrósł trzykrotnie.

Ile jest jeszcze tradycyjnych marek, które kurzą się w hermetycznym świecie luksusu? Ile masowych firm marzy o poprawie wizerunku i współpracy z dostojnymi klasykami? Już dziś nic nie jest zbyt popularne, by luksus nie chciał się po to schylić: buty Crocks, uważane za najbrzydsze obuwie świata, stały się fetyszem mody, kiedy ubiegłego lata zaprojektował je geniusz mody Jean-Paul Gaultier. Ten sam, który przez lata szefował domowi mody Hermès! Sportowe buty Nike doczekały się limitowanej edycji z jubilerem gwiazd – samym Tiffanym. Ten twórca najpiękniejszych na świecie kolii z brylantami dodał do modelu Nike x Tiffany & Co. Air Force 1 „1837" srebrną blaszkę na zapiętkach i srebrne końcówki na sznurowadłach, podnosząc ich wartość 18 razy w stosunku do zwykłej pary Nike ze sklepowej półki. ■



Katarzyna Rzehak
– historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

© SWATCH, ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KIEZUN

eprasa.pl 332c627450

Dobrze obudzić się w Barcelonie. Mógłbym narzekać, że całą noc ktoś darł mi się pod oknem, ale nie było czasu do stracenia. Przyleciałem tu, żeby zjeść pewien tajemniczy placek.



Goła coca

KUCHNIA

Camilo Sesto w radiu informował, że: Vivir así es morir de amor (Żyć w ten sposób to umrzeć z miłości). W takim rytmie wybiegłem z domu. Daleko nie miałem: za rogiem, przy stacji metra Sant Jaume, znajduje się cukiernia, w której – jak głosiły plotki – można dostać **cocę**.

Było po dziewiątej, Pastisseria La Colmena była już otwarta. To jedna z najstarszych cukierni w Barcelonie. Na początku nazywała się Ca l'Abella. Rosendo, który ją założył, nosił nazwisko Abella – czyli pszczoła (w języku galisyjskim) – a cukiernię nazwał Domem Pszczół. W 1868 r. rodzina Costa kupiła firmę, przeniosła się do obecnej lokalizacji i zmieniła nazwę na tę wciąż obowiązującą. Teraz prowadzi ją Toni Roig, jeden z głównych cukierników pracujących w kuchni pod sklepem.

Sprawa z *cocą* jest niejasna. To chleb albo ciastko, coś, co nadaje się na śniadanie. *Coca* może być słona lub słodka, płaska jak deska i puchata jak babcine pierzyny. Można ją zrobić, używając drożdży, ale taka na zakwasie też się zdarza. W ratuszu w Dénii, kurorcie w prowincji Alicante, odnaleziono dokumenty, w których wymienia się *cocę*, więc minimaliści zakładają, że jest przyrządzana od 1627 r. Maksymaliści, których stronę trzymam, są odważniejsi w opowiadaniu o historii tego skromnego placka. *Coca* to bliska kuzynka wszystkich płaskich chlebów, które pojawiły się na świecie naprawdę dawno temu, w czasach, gdy ekonomia i zwykła zręczność były ważniejsze niż nakładanie jedzenia na talerz. Chwytano za kawałek placka i tworzono coś na kształt kanapki, bo wtedy niepotrzebne są talerz ani sztućce. Nie trzeba ich nosić, nie trzeba ich nawet mieć.

Hiszpańska *coca*, greckie pity, włoskie pizze i piadniny czy kaukaskie lavashe to porcja chleba, ale i okazja, by zjeść szpinak, szynkę czy – gdy wreszcie przybyły do Europy – pomidory, i nie wybrudzić się za bardzo. Nie można też zapomnieć, że chleb na zakwasie był po prostu nowszym pomysłem, zdecydowanie bardziej czasochłonnym niż jego płascy koledzy. Płaski chleb, choć niepozorny, jest matką i ojcem wielkich bochenków.

Przodkowie *coci* pojawili się na Półwyspie Iberyjskim z Rzymianami, którzy małe okrągłe placki wiązali z przedchrześcijańskimi kultami słońca, a później z niektórymi świętami, jak Saturnalia. Chleby składano bogom w ofierze, by podziękować za wszystko, co dobre. Historia *coci* to też opowieść o czasach, gdy mieszkańcy spotykali się przy publicznych piecach, by razem szykować jedzenie. Zbierano produkty z pola, kawałki ciasta obrzucano tym, co było pod ręką, i wkładano do pieca. Tak powstały receptury wciąż obecne w kuchniach katalońskich.

Jeszcze inni twierdzą, że początków *coci* należy upatrywać w niewyrośniętym cieście chlebowym, którego nikt nie chciał wyrzucać. Samo słowo *coca* jest zagadką dla językoznawców. Jedni twierdzą, że pochodzi od łacińskiego *coquere* (gotować, piec), inni, że z czasów, gdy sporą częścią Europy rządził Karol Wielki, i że ma źródłosłów niderlandzki. Na końcu liczy się to, że *coca* została bohaterką stołu i pod różnymi nazwami można ją zjeść na wybrzeżu Morza Śródziemnego mniej więcej od Prowansji (tu nazywa się *fugassa*) aż po Walencję.

Tego dnia w Colomenie zjadłem słodką *cocę* z kremem, ale najlepiej zacząć tę przygodę od *coca desnuda*, czyli gołej *coci* – bez dodatków. Ona zapewne dała początek wszystkim pozostałym. ■



Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Coca desnuda (4 placki)

Składniki:

- 500 g mąki tortowej
- 7 g suszonych drożdży
- łyżka soli
- łyżka cukru
- 250 ml letniej wody
- 50 ml oliwy *extra vergine*

Wykonanie:

- Suche składniki ciasta wsypujemy do miski, mieszamy i robimy zagłębienie pośrodku. Wodę mieszamy z oliwą. Wlewamy w zagłębienie i delikatnie, mieszając palcem lub łyżką, zaczynamy łączyć składniki. Kiedy będzie to już możliwe, zaczynamy zagniatać ciasto przez minimum 5 min. Potem obsypujemy je mąką i wkładamy do miski, by wyrosło. Miskę przykrywamy folią lub wilgotną bawełnianą ściereczką. Ciasto powinno podwoić objętość, co zajmie mu mniej więcej godzinę.
- Gdy wyrośnie, dzielimy je na cztery części. Każdą wałkujemy na niezbyt grube placki o podłużnym kształcie. Dajmy im wyrosnąć drugi raz. Tym razem przez pół godziny. Następnie każdy z placków nacinamy nożem, skrapiamy oliwą i delikatnie solimy. Pieczemy w 200 stopniach na blasze wyłożonej papierem przez mniej więcej kwadrans, na złoto.

eprasa.pl 332c627450

W wakacyjnym cyklu „Pocztówka POLITYKI" będziemy opisywać ulubione kraje polskich turystów – ale od naszej, czyli właśnie politycznej strony. Kto i jak rządzi, co to za system, czym martwią się obywatele, co im leży na sercu. Nasi najlepsi autorzy co tydzień będą opowiadać o kolejnym kraju. Zaczynamy od Meksyku.



Meksyk: tak daleko od Boga, tak blisko USA

Bogactwo kultury walczy w tym kraju o palmę pierwszeństwa ze społecznymi plagami. A wśród tych o podium rywalizują: nierówności, przemoc i maczyzm.



Obecnie na czele państwa stoi pierwsza w meksykańskiej historii kobieta: Claudia Sheinbaum, polityczka lewicowej partii Morena. Morena to skrót nazwy: MOvimiento de REnovación NAcional (Ruch Odnowy Narodowej). Po hiszpańsku *morena* znaczy brunetka. Sheinbaum jest szatynką, a założyciel Moreny, jej poprzednik – szpakowatym mężczyzną w późnośrednim wieku.

Trochę historii. Meksyk toczy plaga społecznych nierówności od czasów hiszpańskiej konkwisty. Egalitarna rewolucja z początku XX w. obaliła długowieczną dyktaturę, wprowadziła demokrację i poprawiła położenie milionów ubogich. Reforma rolna objęła jedną trzecią ludności kraju, choć zatrzymała się w pół drogi; wielu chłopów pozostało bez ziemi, latyfundiów nie zlikwidowano, powstały nowe.

Ludzie z nizin społecznych stworzyli nową klasę średnią, uboższą od przedrewolucyjnego mieszczaństwa, i administrację państwowo-partyjną. Przez 71 lat rządziła tu monopolistyczna, zrośnięta z państwem Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna (PRI). Raz prowadziła politykę etatystyczną i egalitarną – zgodnie z interesami klas ludowych. Innym razem przechylała się ku interesom świata biznesu.

Prezydent wybierany na jedną sześcioletnią kadencję układał się z gubernatorami prowincji i wskazywał kandydata na swojego następcę. Wybory były autentyczne, ale żadna opozycja nie była w stanie przełamać tego monopolu machiny partyjno-państwowej – aż do 2000 r. Dzięki szczególnemu układowi wewnątrz PRI, delegowaniu władzy w prowincjach, Meksyk nie doświadczył wojskowego zamachu stanu, jakie w XX w. wstrząsały większością krajów Ameryki Łacińskiej.



Artur Domosławski – pisarz i reporter POLITYKI. Pisze o Globalnym Południu („Gorączka latynoamerykańska", „Śmierć w Amazonii", „Wykluczeni") i opowiada niebanalne żywoty („Kapuściński non-fiction", „Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana").

Starym nierównościom i tym nowym, powstałym już w czasach globalizacji, próbuje dziś zaradzić partia Morena. Gdy dwa lata temu Sheinbaum obejmowała rządy po swoim politycznym patronie i mentorze Andrésie Manuelu Lópezie Obradorze (AMLO), gospodarka była w dobrym stanie. Dzięki podniesieniu pensji minimalnej, wypłacaniu coraz większej liczby emerytur, a także programom socjalnym zmniejszył się ogólny poziom biedy. Umocniło się peso, a bezrobocie znajdowało się na jednym z najniższych poziomów od dekad.

Sheinbaum kontynuuje politykę poprzednika. Wprowadza program powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego, a także serię praw wyrównujących pozycję kobiet i mężczyzn wobec prawa i na rynku pracy. Kobiety stanowią 52 proc. ludności 125-milionowego kraju. Nierówności płci są widoczne w wielu obszarach życia, m.in. w wysokości wynagrodzeń czy braku parytetów. Zwłaszcza ubogim kobietom, o niskim poziomie wykształcenia i bez środków, trudniej bronić się przed wszechobecną tu przemocą – fizyczną i symboliczną.

Jednym z paradoksów kraju, w którym na szczytach władzy znajduje się kobieta, jest to, że zabija się tu (średnia z ostatnich lat) 3,5 tys. kobiet rocznie. To ilustracja tego, że polityka wyprzedza czasem dominujące

© GERARDO VIEYRA/NURPHOTO/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 332c627450

zachowania społeczne, czyli kulturę. Około jednej trzeciej tych zbrodni określa się jako kobietobójstwo.

Meksykańscy akademicy, prawnicy, aktywiści byli pionierami w nazwaniu tego rodzaju przestępstwa. Po fali zabójstw młodych kobiet w latach 90. XX w. – w przygranicznym Ciudad Juarez, gdzie singielki wybijały się na ekonomiczną i życiową niezależność od mężczyzn, pracując w montowniach – zidentyfikowano powtarzające się prawidłowości towarzyszące zabójstwom.

I tak za kobietobójstwo uważa się pozbawienie kobiety życia, jeśli zaszła co najmniej jedna z okoliczności: 1) ofiara miała na ciele ślady przemocy seksualnej; 2) ciało ofiary było okaleczone w poniżający sposób; 3) gdy doszło do aktu nekrofilii; 4) gdy sprawca dopuszczał się wcześniej aktów przemocy domowej, w miejscu pracy lub szkole; 5) gdy ofiara i sprawca byli w związku o charakterze uczuciowym lub opartym na zaufaniu; 6) gdy znane są informacje o wcześniejszych pogróżkach, napastowaniu bądź urazach zadawanych ofierze przez sprawcę zbrodni; 7) gdy przed pozbawieniem życia ofiara była kiedykolwiek pozbawiona przez sprawcę możliwości komunikacji ze światem zewnętrznym; 8) gdy ciało ofiary zostało wystawione na widok publiczny.

Meksyk nie był pierwszym krajem, który wprowadził do prawa zbrodnię kobietobójstwa, ale to właśnie tu wypracowano koncept osobności tej zbrodni. Kara: od 40 do 60 lat więzienia.

„Tak daleko od Boga, tak blisko Stanów Zjednoczonych" – powiedzenie lament meksykańskiego pisarza z pierwszej połowy XX w. określa jedno z kluczowych wyzwań meksykańskiej polityki. Bez wiedzy o wojnie z lat 1846–48, kiedy USA zagarnęły połowę terytorium Meksyku, trudno w ogóle rozmawiać o uczuciach Meksykan do potężnego sąsiada. Po tamtej wojnie USA traktowały Meksyk jak kolonię; np. o mapie kolei, którą budowali Jankesi, decydowało położenie kopalni miedzi i złóż ropy, a nie potrzeby ludności. Zależność od Stanów pogłębiały stosunki handlowe – 80 proc. eksportu szło na rynek amerykański.

W centrum wzajemnych niechęci od zawsze znajduje się kwestia migracji. Co roku tysiące Meksykan migrują do Stanów w poszukiwaniu pracy – a część dochodów wysyłają rodzinom w kraju. Za pierwszej kadencji Donalda Trumpa wrogość wobec meksykańskich imigrantów była jego taranem. Oskarżał, że Meksykanie „sprowadzają do USA narkotyki, przestępczość i są gwałcicielami". Rozpoczął budowę muru wzdłuż granicy mierzącej ok. 3,2 tys. km. Meksykanie odebrali jego słowa i politykę jako policzek, a poprzednik Sheinbaum oświadczył, że Trump mówi o Meksykanach tak, jak Hitler mówił o Żydach.

W USA mieszka blisko 40 mln Meksykan lub osób deklarujących meksykańskie korzenie. Od relacji między krajami zależy los tych ludzi i ich rodzin w rodzinnym kraju. Z kolei od eksportu z USA do Meksyku zależy ponad 5 mln miejsc pracy Amerykanów. Kraje są zrośnięte wzajemnymi potrzebami.

Obecnie Trump zaostrzył antyimigracyjną politykę: państwowa milicja ICE urządza uliczne łapanki na imigrantów; kryterium zatrzymań jest przeważnie kolor skóry; deportowano już ok. 150 tys. Meksykan. Trump zapowiadał, że USA zrzucą bomby na laboratoria meksykańskich karteli, w których produkuje się fentanyl na rynek amerykański, i dokończą budowę muru. Sheinbaum odpiera te ataki bądź ich zapowiedzi: nie jesteśmy niczyją kolonią ani protektoratem, współpraca – tak, podporządkowanie – nie.

Prezydentka przestrzega przed „duchem interwencjonizmu, który zbliża się do bram" Meksyku, i zaskakująco dobrze radzi sobie z napadami agresji Trumpa. W bezpośrednich rozmowach już kilka razy potrafiła rozładować napięcie. Na początku roku m.in. informacjami o zniszczeniu wielu laboratoriów fentanylu i zmniejszeniu o połowę przemytu tej substancji do Stanów.

Meksyk jest krajem olśniewającej przyrody, mekką turystów, a zarazem krajem na wpół upadłym. Nie dlatego, że gospodarka się chwieje czy rząd nie działa, lecz dlatego, że części terytorium nie kontroluje państwo – robią to przestępcze kartele. Produkcja i przemyt substancji psychoaktywnych (potocznie: narkotyków) istnieje tu od dawna, ale dopiero nadejście demokracji w 2000 r. rozbiło stare struktury władzy, układy, zależności, które zapewniały równowagę sił i gwarantowały pokój.

Równo 20 lat temu rząd wysłał do walki z kartelami armię, co doprowadziło do nieszczęścia, krwawej łaźni i ponad 100 tys. ofiar (bynajmniej nie tylko wśród przestępców), których do dziś nie udaje się doliczyć (mówi się czasem o 200 czy wręcz 250 tys. zabitych).

Nowo powstałe kartele trudnią się niekoniecznie narkotykami – często żyją z kontroli terytoriów i haraczy. Opłacać muszą się wszyscy na danym terenie: od ulicznego sprzedawcy napojów po przedsiębiorstwo naftowe i władze miejskie. Kartele porywają też migrantów wędrujących z Ameryki Środkowej przez Meksyk do USA. Zmuszają do pracy, zabijają, „znikają". Dane są przerażające: liczbę „zniknięty" szacuje się obecnie na 133 tys. osób.

W latach erupcji wojen narkotykowych, masowych zabójstw, porwań, wymuszeń haraczy ostatnich dwóch dekad odrodził się kult **Santa Muerte – Świętej Śmierci**. Śmierć jako ponury żniwiarz – szkielet z kosą – wydaje się właściwą patronką na takie czasy. Wyznawcy wznoszą ołtarzyki ku jej czci, w stolicy jest ich podobno kilkaset. Większość wyznawców to ubodzy Meksykanie – pospolici złodzieje, wyrzutki, cyngle karteli. Wyznawcy wierzą, że Santa Muerte nie potępia, nie karze, nie dyskryminuje, przeciwnie – chroni i kocha wszystkich niezależnie od statusu i występków. Psychologowie społeczni uważają, że skoro tradycyjne wierzenia nie zaradziły nieszczęściom, ludzie szukają nowych opiekunów i patronów.

W Meksyku wybitni twórcy kultury rodzą się na kamieniu. Frida Kahlo, Diego Rivera, José Clemente Orozco, Elena Poniatowska, Carlos Fuentes, Alejandro G. Iñárritu, Guillermo del Toro... Meksyk to monumentalne piramidy i równie spektakularne murale; nowatorskie filmy i powieści. A także obfitość kultur rdzennych mieszkańców, z ich 68 językami.

A obok tego Meksyk „małych spraw" – jak pisał Fuentes: „Skromność rękodzielników i wyniosłość kucharki. Melancholia śpiewaczki i krzyk buntownika. (...) Wrodzona uprzejmość grzecznych Meksykan. Trwała, niewiędnąca piękność najurodziwszych Meksykanek. Cierpliwość, gdy potrzebny jest mądry namysł. Niecierpliwość, gdy przyszedł czas na przemyślany bunt".

W naszych czasach to w Meksyku wydarzył się bunt inspirujący kontestatorów na całym świecie. W 1994 r., w wigilię wejścia w życie układu o wolnym handlu NAFTA (między Meksykiem a USA i Kanadą), powstali z bronią w ręku rdzenni mieszkańcy regionu Chiapas – zapatyści (ich nazwa upamiętnia Emiliana Zapatę, chłopskiego lidera z czasów rewolucji meksykańskiej w XX w.). Garstka zbuntowanych nie walczyła o władzę – chciała zwrócić uwagę na ciemne strony globalizacji, nowe nierówności i nową biedę. To od nich z Meksyku wyszła inspiracja dla hasła „inny świat jest możliwy", które poniosły później inne ruchy emancypacyjne na Globalnym Południu. ■

eprasa.pl 332c627450

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Szpitalna gra w klasy

Czy afera w Szpitalu Południowym w Warszawie to poza wszystkim nowa odsłona polskiej walki klas? Zastanawiamy się nad tym w „Polskim demo”, podkaście POLITYKI i Fundacji Batorego. O napięciach i nierównościach społecznych opowiada nasz gość, socjolog i politolog prof. Mikołaj Cześnik. Jak dowodzi, w Polsce toczy się nadal stary dobry konflikt dworu z folwarkiem. Więcej na YouTube i polityka.pl.



Marian naprawdę

Kim tak naprawdę był Marian Turski, który skończyłby właśnie sto lat? W jaki sposób opowiadał o pobycie w getcie łódzkim, trzech obozach koncentracyjnych i dwóch marszach śmierci? **O niezwykłej pamięci Mariana Turskiego i nieodłącznym poczuciu humoru rozmawiamy w naszym podkaście historycznym z Markiem Zającem**, autorem książki „Nieobojętny. 100 portretów Mariana Turskiego”. Kilka tych portretów kreślimy.





Po szkole

Uczniowie i rodzice mogą ruszać na wakacje, ale nauczyciele myślą już powoli o nowym roku szkolnym. Co ich czeka i jakie świadectwo wystawiliby ministrze Barbarze Nowackiej – pisze na polityka.pl Dariusz Chętkowski, polonista i bloger POLITYKI. „Kolejny rok zapowiada się jako wyjątkowo opresyjny dla osób chodzących do szkoły”, ostrzega. Żeby przetrwać, trzeba teraz solidnie wypocząć.



Gorące pytania

Czy życie w znośnym klimacie to prawo człowieka? W jakim stopniu za nasz dobrostan zdrowotny odpowiada państwo? **Czy państwo można pozwać do sądu za zaniedbania i zaniechania klimatyczne? Objaśnia szczegółowo w podkaście pulsara dr Robert Rybski z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego**, opiekun Koła Naukowego Prawa Ochrony Środowiska. Do słuchania i oglądania w upalne dni.



Rekord studia pobity

Goście podkastu „Polityka o książkach” Justyny Sobolewskiej zawsze przynoszą do naszego studia ulubione lektury. Reporter i dziennikarz Marcin Meller przyniósł pełne dwie siaty i ustanowił rekord. Rozmawiamy m.in. o czytaniu w dzieciństwie, najlepszych powieściach pisanych przez kobiety i o fascynacji książkami Edmunda Niziurskiego. Tak wielkiej, że Meller kazał się nazywać Wiktorem.

© MARIA ZAWADA/REPORTER, MP, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 332c627450

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!



Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 332c627450

BIAŁA PLAMA CZARNEGO LĄDU



W sprzedaży

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 332c627450